OFIARY RODZINY
Krzywdą dzieci żyjemy przez tydzień

MOJA DROGA
Autostrady nie są dla egoistów

WYCZYNOWA PAMIĘĆ
Mistrz świata radzi, jak ją trenować

JUŻ W SPRZEDAŻY WYDANIE SPECJALNE

Kraków 28 lipca 2019 nr 30 (3655) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Wakacje reportera

WOJCIECH JAGIELSKI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

KS. ADAM

Boniecki: *Mrugać jednak nie należy*

Tak, mrugałem światłami. Stary nawyk. Mruganiu innych zawdzięczam uniknięcie mandatów i niewpisane punkty karne. Więc odruchowo mrugnąłem, sygnalizując, że przy kościele w Antolce stoją. No i zatrzymali mnie za to mrugnięcie. Pokornie wysłuchałem wykładu, dlaczego mruganie-ostrzeganie jest wykroczeniem i działaniem społecznie szkodliwym.

Nie broniłem się, nie powiedziałem, że skoro mój GPS może ostrzegać przed stałymi kamerami, to ja podobnie przed patrolem za krzakami. W końcu policjant z drogówki miał rację. Tak, nie jestem konsekwentny, bo ostrzegam, a potem, gdy przestrzegając ograniczeń wlokę się 50, 40 i wyprzedza mnie pędzące jak rakieta bmw (co najmniej 60 km/h), to sobie życzeniowo marzę, że za zakrętem zobaczę, jak drogówka nakłada na faceta mandat i punkty karne. To brzydkie marzenie nigdy zresztą się nie ziściło. Skąd oni wiedzą, że patroli nie ma, że bezkarnie można pędzić? Można? Żałosna jest ta nasza moralność, która wyrzuty sumienia uruchamia, kiedy nas złapią, a budzi ciche zadowolenie, kiedy się uda.

Powiedz mi, jaki jesteś za kierownicą, a powiem ci, kim jesteś. Kim jesteś, kiedy przez tereny zabudowane pędzisz jak szalony, choć twoja droga hamowania będzie dłuższa niż odległość dzieląca cię od pijanego rowerzysty? To jest dokładnie wyliczone. Na suchej równej powierzchni przy szybkości 50 km/h droga hamowania wynosi 12–13 m, przy 70 km/h – 24–25 m, a już przy 90 km/h – 40–42 m itd. ABS skraca ten dystans, ale nie do zera przecież. A jeszcze dochodzi kwestia szybkości reakcji. Przeciętny kierowca potrafi zareagować w czasie 1,5 sekundy od momentu zdiagnozowania zagrożenia. Zanim więc zareaguje, poruszając się z prędkością 70 km/h, przejedzie jeszcze 30 metrów. Gdy dodamy do tego co najmniej 20-metrową drogę hamowania samochodu, okaże się, że nawet samochód jadący z prędkością tylko 70 km/h zatrzyma się dopiero po przejechaniu 50 metrów. Tyle o śmiertelnie poważnym problemie dozwolonej szybkości. Tu naprawdę chodzi o coś więcej niż o mandat i punkty karne.

Ponieważ o innych problemach związanych z bezpieczeństwem na drogach wciąż wiele się mówi i pisze, nie będę tego wszystkiego powtarzał. Powiem tylko o dwóch sytuacjach, które można uznać za sprawdziany poziomu ludzkiej kultury kierowców, a nawet społeczeństwa.

W Skarżysku kończy się obwodnica Kielc przedłużona świetną drogą ekspresową S5. Obwodnica Skarżyska tymczasem jest w budowie, więc stoi znak zwężenia jezdni. Normalni kierowcy wloką się więc jeden za drugim przez prowizoryczny, wąski odcinek, a „pomysłowi" pasem awaryjnym jadą do samego zwężenia i tam wymuszają wpuszczenie ich na czoło kolejki „normalnych". Nie ma jak powiedzieć im „pan tu nie stał". Można tylko się wściekać i zwątpić w sens bycia „normalnym".

Sytuacja klasyczna druga. Często zdarza mi się w Krakowie wyjeżdżać z bramy wychodzącej na ruchliwą ulicę Kurniki. Lubię patrzeć na sunące – w tym miejscu dość powoli – samochody i zgadywać, czy ktoś i kto mnie wpuści. Sporządziłem nawet prywatną statystykę z rubrykami: mężczyźni, kobiety, młodzi, starzy, wypasione bryki, automobile skromne itd. Czekający w bramie samochód widzą oczywiście wszyscy, ale włączenie się do ruchu człowiekowi najczęściej umożliwiają – nie zgadniecie – kierowcy miejskich autobusów.

Pokaż mi, jakim jesteś kierowcą, a powiem ci, kim jesteś... Oglądając z boku siebie na autostradzie, drodze ekspresowej czy po prostu w mieście, także słuchając, co bliźni o nas jako kierowcach myślą, możemy zdobyć o sobie sporo informacji, doprawdy, czasem zaskakujących. ©℗

TEMAT TYGODNIKA

12 Tajemnica trzech sekund
MARIUSZ SEPIOŁO
Na szosach nie powinno istnieć słowo „ja”, standardem powinno być „my”.

17 Bezpieczeństwo bez przepisów
Z KRZYSZTOFEM LISEM Z SERWISU PATROL112.PL ROZMAWIA KRZYSZTOF STORY:
Szarpanina zamiast płynności, podjeżdżanie jak najbliżej, złe wykorzystanie pasa awaryjnego – to grzechy główne kierowców na autostradzie.

46 Pamięć zarabia na piwo
ŁUKASZ LAMŻA ROZMAWIA Z JOHANNESEM MALLOWEM, DWUKROTNYM MISTRZEM ŚWIATA W SPORTACH PAMIĘCI:
Dziękuję Ci Boże Nik, że użyłeś swej mocy, by dać mi czek, żebym mógł polecieć do Nowego Jorku. Tak się zapamiętuje słowa „Tygodnik Powszechny”.

86 Domy na wodzie
WOJCIECH JAGIELSKI
Kaszmir uchodzi za jeden z najpiękniejszych zakątków świata. Zwłaszcza wczesną jesienią, gdy liście platanów przybierają barwę purpury i starego złota.

52 Już nie przymarznięci
ADAM MATEJKO Z ARCHANGIELSKA
Mieszkańcy obwodu archangielskiego nad Morzem Białym walczą przeciw budowie wysypiska dla odpadów z Moskwy. To jeden z oddolnych protestów, które coraz liczniej wybuchają w rosyjskich regionach.

26 Blanka nie będzie ostatnia
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Czy śmierć dziewięciomiesięcznej dziewczynki z Olecka to tragiczny błąd systemu pomocy społecznej, czy także memento dla polityków i urzędników, którzy dobro dzieci składają na ołtarzu ideologicznych fantazji o rodzinie?

79 Gorączka biograficzna
INGA IWASIÓW
Żeby opowiedzieć o artystce takiej jak Maria Jarema – trzeba odtworzyć jej uniwersum – świat sztuki z zamazanymi dziś powiązaniami, przyjaźniami, ideami, miejscami spotkań.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER // ADAM MATEJKO // GETTY IMAGES // ARCHIWUM ALEKSANDRA FILIPOWICZA // ALBERT ZAWADA DLA „TP” // CLAUDIO VERBANO

85.

6 Opozycja dzieli się na nowo
ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

26 Blanka nie będzie ostatnia
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

30 Tysiąc złotych dla każdego
ROZMOWA Z MACIEJEM SZLINDEREM, SOCJOLOGIEM I EKONOMISTĄ, CZŁONKIEM ZARZĄDU LEWICY RAZEM: *Rozmowa o dochodzie podstawowym będzie łatwiejsza*

33 Mnożenie przez podział
JAROSŁAW FLIS: *Na nic się zdały apele o jedność opozycji*

WIARA

36 Chwały drewnu nie oddawać
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA: *Czy w obrazach Boga – mieszka Bóg?*

39 Król i pasterz, grzesznik i wzór ROZMOWA Z ANDRZEJEM KLUCZYŃSKIM, TEOLOGIEM EWANGELICKIM

43 Przebudzenie ducha
PIOTR SIKORA

Z ODDECHEM

46 Pamięć zarabia na piwo
ROZMOWA Z JOHANNESEM MALLOWEM

51 Tygodnik Czytelników

ŚWIAT

52 Już nie przymarznięci
ADAM MATEJKO

GRAŻYNA MAKARA

22 Dusza w podróży
MICHAŁ OKOŃSKI
Najpierw zobaczyłem po prostu dziennikarza. Był rok 1991, w Polsce rozkręcała się zimna wojna religijna, a on przyjechał właśnie z Watykanu, by objąć w „Tygodniku" stanowisko asystenta kościelnego.

24 Ksiądz, który jest
ABP GRZEGORZ RYŚ
Właściwie nie pamiętam momentu, kiedy pierwszy raz spotkałem księdza Adama, choć pamiętam kilka ważnych dla mnie z nim spotkań.

FELIETONY
35 ANNA DZIEWIT-MELLER **45** SZYMON HOŁOWNIA
84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO
90 ANDRZEJ STASIUK **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: WOJCIECH JAGIELSKI
Fotografia: ALBERT ZAWADA DLA „TP"
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

56 Żadne z nas królowe
SARA NOWACKA: *Studentka została okrzyknięta symbolem rewolucji w Sudanie. Czy słusznie?*

58 Dwa billboardy za Missoulą
MARTA ZDZIEBORSKA: *Zaginione kobiety i problemy rdzennych Amerykanów*

61 Państwo Islamskie wciąż walczy PAWEŁ PIENIĄŻEK Z SYRII

HISTORIA

64 Polska teologia wyzwolenia
REMIGIUSZ OKRASKA

NAUKA

68 Zmierzch istotności
MIROSŁAW SZREDER: *Czy szykuje się rewolucja w działaniu nauki?*

KULTURA

72 Gombro na kryzys
ELIZA KĄCKA: *Gombrowicz zmarł pięćdziesiąt lat temu. Jako wieszcz pozostał w permanentnym czyśćcu. Pora go stamtąd wydobyć*

76 Człowiek płonie BARTEK DOBROCH: *Rammstein – zespół, którego fenomen niełatwo wytłumaczyć*

79 Gorączka biograficzna
INGA IWASIÓW

82 Drażnienie językiem ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Mowa ptaków" Xawerego Żuławskiego*

84 Śmierć jest w nas
LEKTOR *o książce „Dziennik 1967–1976" Sándora Máraia*

WAKACJE

86 Domy na wodzie
WOJCIECH JAGIELSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata: Południowa Afryka
Odszedł, jak żył – wciąż w drodze, w tańcu, śpiewając ludziom o ich codziennym życiu, nadziejach i troskach – **WOJCIECH JAGIELSKI** *żegna Johnny'ego Clegga: pieśniarza, kronikarza, kustosza tożsamości i pamięci.* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Kryzys klimatyczny – serwis specjalny
Tematu klimatycznej katastrofy nie da się już dłużej ignorować – *w* **SERWISIE SPECJALNYM** *poruszamy na bieżąco najważniejsze zagadnienia związane z naszą planetą.*
tygodnikpowszechny.pl/kryzys-klimatyczny

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

OPOZYCJA DZIELI SIĘ NA NOWO

Próba zjednoczenia partii przeciwnych PiS zakończyła się fiaskiem – Koalicja Europejska nie przetrwała nawet pół roku. Do wyborów sejmowych Platforma idzie sobie, lewica sobie, a PSL najbardziej sobie. Choć czy PSL na pewno jest jeszcze przeciw PiS?

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Opozycja liże rany po przegranych wyborach europejskich w specyficzny sposób. Dzieli się między sobą, kłóci i atakuje – i to na progu wyborów do Sejmu. Najpierw z Koalicji Europejskiej wystąpili ludowcy, twierdząc, że to za bardzo lewicowe towarzystwo. W praktyce powód był nieco inny – uznali, że to ostatni moment na walkę o polityczny byt pod zielonym sztandarem, zanim PiS zabierze im resztki wyborców. W tej sytuacji lider PO Grzegorz Schetyna odprawił z kwitkiem SLD, uznając, że bez konserwatywnego PSL koalicja z postkomunistami jest zbyt dużym ryzykiem. Tą decyzją Schetyna naraził się i PSL, i SLD. Szef SLD Włodzimierz Czarzasty zarzucił mu abdykację z pozycji lidera opozycji i brak wiary w zwycięstwo z PiS. A lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz najpierw nazwał Platformę lewicą – to w jego ustach obelga – następnie zaś drwił z zapowiedzi Schetyny, że weźmie na listy samorządowców.

Czarzasty był gotowy na to, że dostanie czarną polewkę. Dlatego dobrze się przygotował. W dniu, w którym Schetyna ogłosił śmierć

Włodzimierz Czarzasty (SLD), Robert Biedroń (Wiosna) i Adrian Zandberg (Razem) ogłaszają wspólny start lewicy do parlamentu. Warszawa, 19 lipca 2019 r.

Koalicji Europejskiej, Czarzasty wraz z Robertem Biedroniem oraz Adrianem Zandbergiem zapowiedzieli lewicową koalicję SLD-Wiosna-Partia Razem. Elektorat lewicowy jest nieliczny, ale stabilny, co daje im szansę na sukces. Tyle że wzajemna, wieloletnia niechęć i braki w kasie mogą utrudnić kampanię.

Już się spierają o to, czy wystartować jako koalicja, bo wówczas próg wyborczy jest wyższy (8 proc.). Mogliby wystartować jako lista partyjna (5 proc.), z tym że każdy chciałby być gospodarzem, bo to gospodarz dostaje po wyborach pieniądze.

Lewicy nie można jednak odmówić jednego – nie zmienia swej wyraźnej, antypisowskiej linii politycznej. Inaczej jest z PSL. Ludowcy wyraźnie ograniczyli krytykę PiS. Co więcej, część prominentnych działaczy, w tym Waldemar Pawlak i Marek Sawicki, zaczęła sugerować, że po wyborach ludowcy mogliby rozważyć koalicję z PiS. Oczywiście może to być tylko gra. Tyle tylko, że obserwująca ludowców podejrzliwie Platforma widzi coś jeszcze. Rządzące PiS nie tylko zawiesiło brutalne ataki na PSL, prowadzone przez ostatnie cztery lata. W napiętym budżecie rząd znalazł ponad 80 mln zł dla strażaków ochotników, a to ludowcy z krwi i kości – i kieruje nimi Pawlak. Nieformalnie zwie się to 5000 plus, bo tyle przypadnie średnio na remizę.

Schetyna stara się ratować resztki pozorów, że jest współpraca po stronie opozycji. Wraca do szyldu Koalicji Obywatelskiej, czyli porozumienia z Nowoczesną z okresu wyborów samorządowych na jesieni 2018 r. Właśnie jako KO – razem z Nowoczesną i lewicową partią Barbary Nowackiej – Platforma wystartuje w wyborach do Sejmu.

To jednak w dużej mierze fikcja. Liczy się tylko Platforma, bo ma struktury i pieniądze. Nowoczesna to pusty szyld, partia bez ludzi i z kilkumilionowym długiem, którą w dodatku Schetyna skłócił, rozbił i podporządkował sobie. A partia Nowackiej to ugrupowanie kanapowe, które ma małą szansę zrealizować swe zadanie – pozyskać dla Schetyny część wyborców lewicy. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Czytaj także analizę Jarosława Flisa w dziale Kraj.

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Białystok, 20 lipca 2019 r.

Plucie i bicie w obronie wartości

PIOTR SIKORA

Marsz Równości w Białymstoku 20 lipca: nie zawsze grzeczni i pobożni, ale raczej spokojni uczestnicy idą w szpalerze wulgarnych wyzwisk, plucia, obrzucani niebezpiecznymi przedmiotami. Pojedynczy uczestnicy (także kobiety) są bici i kopani przez grupki „obrońców tradycyjnej rodziny i chrześcijańskich wartości".

Te wydarzenia nie tylko po raz kolejny obnażyły postępującą polaryzację polskiego społeczeństwa i rosnący poziom agresji. W białostockiej erupcji agresji ujawniły się też trujące owoce narracji wielu prawicowych mediów i polityków. W tym kontekście przeraża wypowiedź ministra edukacji Dariusza Piontkowskiego, który uczestników marszu obarczył winą za doznaną przez nich przemoc i zasugerował zakaz Marszów Równości.

Wydarzenia te są też świadectwem kryzysu Kościoła katolickiego w Polsce. Próbując bowiem zrozumieć, co się stało w Białymstoku, nie można przemilczeć wypowiedzi biskupów i księży opisujących środowiska LGBT+ jako zagrożenie dla wszystkiego, co najświętsze. I taki ich obraz bezkrytycznie przejęły liczne grupy katolików: sądząc z różańców i świętych obrazów w rękach wielu przeciwników marszu, to katolicy uczestniczyli w obrażaniu, poniżaniu i atakowaniu.

Przemoc potępił rzecznik episkopatu, ks. Paweł Rytel-Andrianik, a później też metropolita białostocki abp Tadeusz Wojda, którego wypowiedzi sprzed marszu odbierano jako zachętę do wrogości. Te spóźnione głosy to w najlepszym razie zaledwie początek zmiany. Kościelna narracja nie może być pretekstem do pogromów. ©℗

Dwutlenek węgla podgrzeje inflację

PONAD 29 EURO ZA TONĘ – tego pułapu sięgnęła w ubiegłym tygodniu cena certyfikatu emisji CO_2. Eksperci nie mają wątpliwości: ceny tych pozwoleń będą nadal rosnąć, bo po zeszłorocznej zmianie przepisów, liberalizującej obrót certyfikatami, prawa do emisji dwutlenku węgla zaczęli skupować także spekulanci. Dla polskiego sektora energetycznego, uzależnionego od węgla, który podczas spalania uwalnia mnóstwo CO_2, oznacza to tylko dalszy wzrost kosztów działalności. Prof. Władysław Mielczarski z Politechniki Łódzkiej szacuje, że rosnące ceny pozwoleń już dziś odpowiadają w Polsce za ok. 40 proc. wzrostu kosztów operacyjnych polskiej energetyki.

Klienci indywidualni na razie nie odczuli podwyżek, bo pod koniec 2018 r. rząd zamroził ceny prądu. W przyszłym roku – jak szacują analitycy banku Credit Agricole – należy liczyć się jednak ze wzrostem cen energii dla firm o ok. 40 proc. Te podwyżki już na pewno znajdą odzwierciedlenie w cenach produktów i usług, co z kolei musi skutkować wzrostem inflacji.

Gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości co do ceny zaniedbań kolejnych rządów w unowocześnianiu polskiej energetyki – w przyszłym roku odczuje ją we własnej kieszeni. ©℗ MAREK RABIJ

ANETA MIKULSKA / WWW.ANETAMIKULSKA.COM

Doba w piekle

„NAJWSPANIALSZE CHWILE przeżywałem wtedy, kiedy sięgałem w głąb siebie i odnajdywałem tam pokłady energii, z których istnienia nawet nie zdawałem sobie sprawy" – pisał Scott Jurek, amerykańska legenda biegów długodystansowych, który dwukrotnie zwyciężył w Badwater 135, uznawanym za jeden z najtrudniejszych ultramaratonów świata.

Patrycji Berenzowskiej, utytułowanej polskiej biegaczce (dzierży m.in. nieformalny tytuł rekordzistki świata w 24-godzinnym biegu non stop, w którym pokonała 259,99 km), pokłady energii wystarczyły 16 lipca do zwycięstwa w tegorocznym Badwater 135 wśród pań i do poprawienia kobiecego rekordu aż o ponad półtorej godziny (24 godziny i 13 minut). Polka zameldowała się na mecie jako druga z wszystkich finalistów.

„To nie bieg. To podróż przez piekło" – mówią uczestnicy o 217 kilometrach trasy dnem kalifornijskiej Doliny Śmierci, która za dnia nagrzewa się do ponad 50 stopni Celsjusza, i po otaczających ją górach, gdzie nocą temperatura spada często poniżej zera. Palące słońce i wiatr niosący pył zmuszają zawodników do noszenia długich rękawów lub oklejania kończyn plastrami. Na pokonanie dystansu i około 4 kilometrów różnicy wzniesień uczestnicy mają 48 godzin. Tegoroczny zwycięzca Yoshihiko Ishikawa potrzebował jednak na to tylko 21 godzin i 33 minut, a na mecie zdołał jeszcze oświadczyć się partnerce.

Nazwa biegu pochodzi od słonego jeziorka Badwater w Dolinie Śmierci, które jest najniżej położonym miejscem w Ameryce Północnej (86 m p.p.m.). ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

STREFA WOLNA OD KONTAKTU Z RZECZYWISTOŚCIĄ. Polska jest krajem, w którym każdy może czuć się bezpiecznie – powiedziała Beata Szydło podczas pikniku rodzinnego w Tokarni. Jej zdaniem „jesteśmy krajem, który docenia i szanuje innych", natomiast bardzo często szacunku i tolerancji brakuje w Europie, której „trzeba pokazać, że to jest możliwe".

STREFA WOLNA OD OPOZYCJI. À propos szacunku i tolerancji: poseł PiS Marcin Horała wykluczył możliwość przedwyborczej debaty Jarosława Kaczyńskiego z Grzegorzem Schetyną, gdyż „nie urządza się meczów ekstraklasy z okręgówką".

JAN MOREK / PAP

STREFA WOLNA OD SPRAWDZANIA. Przez największe portale przetoczyła się wiadomość o śmierci Adama Słodowego, autora kultowego w czasach PRL programu telewizyjnego „Zrób to sam". „Informacje mieliśmy z dwóch niezależnych źródeł" – tłumaczy swoją wpadkę Interia, a my życzymy panu Adamowi dużo zdrowia.

STREFA WOLNA OD SNU. Tłumaczenia Interii są dobre, ale jeszcze lepsze wydają się frazy Jerzego Miziołka, któremu najważniejsze postacie polskiej kultury zarzucają „demolowanie" rangi i prestiżu kierowanej przezeń placówki. „Bycie dyrektorem Muzeum Narodowego w Warszawie to wysiłek prawie ponadludzki – wyznaje dziennikarzom, deklarując, że wielkość tej instytucji jest jedyną wartością, jaka dlań istnieje (a co z szacunkiem i tolerancją?), i że wstaje o wpół do czwartej, żeby redagować książki na jej temat.

Niemcy: dowartościowanie sojuszy

DLA NIEMIECKIEJ ARMII TO DOBRY WYBÓR. A skoro jest on dobry dla Bundeswehry, to jest dobry dla Polski – w kontekście polsko-niemieckich relacji sojuszniczych.

Nominując Annegret Kramp-Karrenbauer na szefową resortu obrony – po tym, jak poprzednia minister objęła Komisję Europejską – kanclerz Merkel postanowiła, jak się zdaje, realizować dwa cele. Pierwszy ma charakter polityczny: Kramp-Karrenbauer, przewodnicząca CDU, jest następczynią Merkel i kandydatką chadecji na przyszłą szefową rządu (przypomnijmy, że w grudniu 2018 r. Merkel zapowiedziała, że nie będzie startować w 2021 r.). Objęcie resortu obrony daje jej możliwość wejścia w świat polityki międzynarodowej, w świat sojuszy. I pokazania zdolności polityczno-zarządczych w jednym z najtrudniejszych ministerstw. To zaś wiąże się z drugim celem: dowartościowania obronności, także finansowo – po tym, jak po 1989 r. Bundeswehra, po Amerykanach nasza główna armia sojusznicza, została doprowadzona do katastrofalnego stanu. Plan jej odbudowy, przyjęty w 2017 r., zależy od woli politycznej, której brakuje koalicyjnej SPD. Zadanie, które stoi przed Kramp-Karrenbauer, jest więc trudne i politycznie ryzykowne. Ale, jak mawiają, ludzie dorastają w zadaniach. ©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Rewolucja przy urnach

WOJCIECH KONOŃCZUK

W przedterminowych wyborach na Ukrainie partia prezydenta Wołodymyra Zełenskiego Sługa Narodu odniosła druzgocące zwycięstwo, zdobywając ponad połowę mandatów. Po raz pierwszy w historii ukraińskiego parlamentaryzmu jedno ugrupowanie obejmie samodzielne rządy. W połączeniu ze zwycięstwem Zełenskiego w niedawnych wyborach prezydenckich (zdobył w drugiej turze 73 proc. głosów) w ukraińskiej polityce mamy sytuację bez precedensu. Trudno to nazwać inaczej niż rewolucją przy urnach. Jej przyczyny to ogromna frustracja i złość Ukraińców na niezrealizowane obietnice poprzedniej ekipy rządzącej oraz wielka nadzieja na naprawę państwa.

Rezultat wyborów niesie jednak wiele pytań bez odpowiedzi, w tym kluczowe: co Zełenski zrobi z tym podwójnym zwycięstwem? Konsolidacja władzy w jednych rękach daje wielkie możliwości, ale niesie też wiele pokus. Inne pytanie brzmi, w jakim stopniu będzie on w stanie kontrolować własną partię, która ma też innych „akcjonariuszy"? Mimo tych zastrzeżeń, Ukraina stanęła przed wyjątkową szansą na dokończenie – ledwie rozpoczętej po Rewolucji Godności – modernizacji i wprowadzenie reform, które złamią system oligarchiczny pasożytujący na państwie. Najbliższe miesiące pokażą, czy niedoświadczony prezydent ze swoją kształtującą się ekipą będą umieli zrobić użytek ze „złotego rogu", tak niespodziewanie otrzymanego od losu. ©

AHMED SALAHUDDIN / NURPHOTO / GETTY IMAGES

TEGOROCZNY MONSUN W AZJI POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ będzie jednym z najtragiczniejszych w ostatnich latach. Dotychczas potwierdzono śmierć 180 osób. W Bangladeszu władze szacują, że ok. 30 proc. powierzchni kraju znajduje się pod wodą. Powodzie uderzyły również w indyjskie prowincje Sikkim, Bihar i Assam, gdzie przesiedlono już 130 tys. ludzi. Powódź objęła także około 75 proc. powierzchni parku narodowego Kaziranga w Assamie, wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO jako habitat najliczniejszej populacji nosorożca indyjskiego. Władze prowincji próbują zorganizować akcję ratunkową po zwierzęta, ale dostarczenie ciężkiego sprzętu pływającego utrudniają warunki na drogach. ©℗ MR

Jak odmłodzić aplikację

FACEAPP, APLIKACJA DO POSTARZANIA TWARZY na zdjęciu (a także jej odmładzania albo zmiany płci), to przypadek wart studiów. Ale nie dla specjalistów od cyberbezpieczeństwa, lecz dla marketingowców. Wykorzystując mechanizmy rządzące internetem, firma Wireless Lab swój stary produkt przekuła na milion dolarów: tyle zarobiła w zaledwie dziesięć dni od startu ostatniej kampanii reklamowej #AgeChallenge, za sprawą której po dwóch latach od pojawienia się aplikacji w sieciach społecznościowych znów zaroiło się od leciwych *selfie*. Oraz od obaw o to, jakie dane o użytkownikach aplikacja zbiera, gdzie je przetwarza i czy posłużą Rosjanom – jako że siedzibą Wireless Lab jest powstałe z inicjatywy Kremla podmoskiewskie Centrum Innowacji Skołkowo, zwane „rosyjską doliną krzemową".

Bo FaceApp zadebiutowała w 2017 r. – i obawy pojawiły się już wtedy. Teraz wielu specjalistów od bezpieczeństwa w sieci powołuje się na własne analizy sprzed dwóch lat. I potwierdza, że FaceApp zbiera m.in. informacje o urządzeniu, na którym działa aplikacja, czy sposobie korzystania z niej. Tyle że nie ma w tym nic, co nie miałoby uzasadnienia biznesowego. Co więcej, robią to niemal wszystkie darmowe aplikacje. Nasze dane traktowane są jak towar. FaceApp nie jest straszna, bo jest rosyjska, tylko dlatego, że jest kapitalistyczna.

EAST NEWS / FACEAPP

Władimir Putin postarzony przez FaceApp

Owszem, dwa lata później Wireless Lab wypracowało zgrabne odpowiedzi na wszystkie wątpliwości, zaprasza też ekspertów, by sami je rozwiali. Marketingowcy firmy, odgrzewając niemłodą już aplikację, musieli być pewni, że obawy powrócą. Może nawet sami, dla większego rozgłosu, je podsycili. A przy okazji obnażyli najczęstsze kłamstwo naszych czasów. Brzmi ono: „Przeczytałem politykę prywatności i ją akceptuję". Popełniają je wszyscy. Codziennie. Wiele razy. © AGATA KAŹMIERSKA

Chiny rosną wolniej

PIOTR BERNARDYN
Z TOKIO

RADIO NORDAFM

6,2 PROCENT: O TYLE WZRÓSŁ produkt krajowy brutto Chin w ostatnim kwartale – to najsłabszy wynik od blisko trzech dekad.

Donald Trump twierdzi, że jest to efekt ceł (na 250 mld dolarów), którymi obłożył chińskie towary. Firmy mają bowiem przenosić produkcję z Chin do innych krajów, by taniej sprzedawać na rynek amerykański. Jednak eksport do USA stanowi tylko 4 proc. chińskiego PKB. Bardziej niepokojące dla chińskiej gospodarki jest to, że słabnie poziom konsumpcji i inwestycji. Dotąd, gdy pojawiały się oznaki dekoniunktury, władze Chin luzowały politykę monetarną, pompując pieniądze głównie w infrastrukturę. Miało to jednak swoją cenę: od 2008 r. dług wewnętrzny kraju podwoił się i dziś sięga 300 proc. PKB. Dalsze stymulowanie wzrostu w ten sposób może być niebezpieczne dla gospodarki. Tym bardziej że niektóre jej sektory już są przeinwestowane: ponad 20 proc. mieszkań w Chinach stoi pustych.

Władze w Pekinie wiedzą, że dla podtrzymania rozwoju konieczne jest unowocześnienie struktury gospodarki. Dotyczy to choćby konglomeratów państwowych, które są nieefektywne, ale – stabilizując rynek pracy – zapobiegają niepokojom społecznym. Z drugiej strony rozwój nowych technologii, mimo znacznych postępów, napotkał ostatnio przeszkodę w postaci Trumpa, który uznał, że Amerykanie zbyt łatwo dzielili się nimi z Chińczykami.

Wizje o nieuchronnej dominacji Chin na świecie nie są zatem wciąż przesądzone. Podobnie jak losy chińskiego eksperymentu, próbującego łączyć kapitalizm z dyktaturą i komunistyczną propagandą. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

VATICAN OBSERVATORY

KSIĘŻYC I WIARA. Lądowanie na Księżycu przed 50 laty ma ukryty aspekt religijny, niekoniecznie związany z konkretnym wyznaniem – powiedział br. Guy Consolmagno SJ, dyrektor Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego. „To ważny symbol tego, co ludzkość może osiągnąć, odkładając na bok swoje małostkowe ego i współpracując" – wskazał. Takie osiągnięcia „odróżniają ludzi od innych żywych istot poprzez to, że dążą do nowych odkryć, zdobycia wiedzy, przygody" (na zdjęciu: Paweł VI obserwuje Księżyc, 21 lipca 1967 r.).

MĄDROŚĆ I POŚPIECH. Nie daj się przytłoczyć tym, co masz do zrobienia, ale słuchaj głosu Pana, aby dobrze wypełniać zadania, które wyznacza ci życie – powiedział Franciszek, komentując opowieść o wizycie Chrystusa u Marty i Marii. Nie chodzi w niej o „potępienie postawy służby, lecz raczej pośpiechu, z jakim niekiedy żyjemy". „Mądrość serca polega na umiejętności połączenia kontemplacji i działania" – stwierdził papież.

ZAMACH I HOŁD. Uczestnikom zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu 20 lipca 1944 r. (pod przywództwem Clausa von Stauffenberga) złożyli hołd przedstawiciele niemieckich władz państwowych i kościelnych. Abp Heiner Koch z Berlina podkreślił: „Socjaldemokraci, konserwatyści i liberałowie, chrześcijanie, wśród nich wielu duchownych, połączyli się, by wystąpić przeciwko władzy bezprawia". Kard. Rainer Maria Woelki z Kolonii ocenił, że zamachowcy „w najbardziej mrocznym rozdziale historii Niemiec ukazali smugę światła", a fakt, że „odważnie poszli za głosem sumienia, dodaje odwagi również i dziś".

W Watykanie nowe twarze i stare nawyki

EDWARD AUGUSTYN

Matteo Bruni został nowym dyrektorem Biura Prasowego Watykanu. Rutynowa nominacja nie zasługiwałaby może na komentarz (nie chwali się dnia... itd.), gdyby nie była domknięciem zmian w dykasterii komunikacji – sztandarowym projekcie, mówiącym wiele o kierunku reform w rzymskiej kurii.

Wbrew obiegowej opinii Bruni nie jest rzecznikiem prasowym papieża. Franciszek chce sam kontaktować się z mediami, a dyrektor biura prasowego ma mu to ułatwiać. Pierwszym zadaniem watykańskich urzędów jest wspieranie działań papieża.

Pewnie nie będzie nawet przygotowywał informacji dla prasy. Za politykę informacyjną połączonych w jeden „departament" (a wcześniej rozproszonych) watykańskich mediów odpowiada Andrea Tornielli, znany dziennikarz-watykanista. Urzędy mają być efektywne, ekonomicznie zarządzane, a ich przekaz spójny z poglądami papieża.

Dyrektor Bruni będzie odpowiadał za organizację pracy akredytowanych dziennikarzy. Jest przez nich lubiany i ceniony – dotąd przygotowywał ich zagraniczne podróże z papieżem. Wpisuje się w model urzędnika profesjonalnego (mówi biegle czterema językami), życzliwego, a w dodatku – jako członek Wspólnoty św. Idziego – bliskiego „Kościołowi na peryferiach".

Jest też kolejną (9 na 11) świecką osobą w zarządzie dykasterii komunikacji. To też symptomatyczne, podobnie jak obsadzenie niemal wszystkich stanowisk kierowniczych (10 na 11) mężczyznami, w dodatku Włochami (9 na 11). Jak widać, łatwiej zmieniać przepisy i ludzi, trudniej mentalność i nawyki. ©℗

Katolicy bronią imigrantów

SIEDEMDZIESIĄT OSÓB – w tym wielu księży, zakonników i sióstr zakonnych – zatrzymała policja podczas demonstracji przeciwko polityce imigracyjnej Donalda Trumpa. Protest w budynku Kongresu USA zorganizowały katolickie organizacje charytatywne, które domagają się zaprzestania akcji rozdzielania rodzin zatrzymanych na granicy i przetrzymywania dzieci przez wiele dni w osobnych obozach, gdzie warunki zagrażają ich zdrowiu i życiu.

REUTERS / FORUM

„Gdzie są biskupi" – wołali demonstranci, krytykując milczenie elit Kościoła. Większość hierarchów (podobnie jak i konserwatywne media) unika otwartej krytyki prezydenta Trumpa, widząc w nim sojusznika w polityce prorodzinnej i ograniczeniu aborcji (choć trzeba przyznać, że ostatnio także im zdarza się krytykować prawo imigracyjne).

Wszyscy zatrzymani zostali zwolnieni po kilkugodzinnym pobycie na komisariacie, gdzie założono im policyjne kartoteki i nałożono mandaty za zakłócanie porządku. ©℗ EA

RFN: wiernych ubywa

216 078: TYLU NIEMIECKICH KATOLIKÓW opuściło swój Kościół w 2018 r.; było to o 29 proc. więcej niż rok wcześniej (w RFN przynależność do wyznań chrześcijańskich wiąże się z płaceniem podatku kościelnego, można więc policzyć wiernych). Nie ma danych o przyczynach, dla których odchodzili, ale powszechna jest interpretacja, że ma to związek zwłaszcza ze skandalami pedofilskimi. Uwzględniając demografię (więcej zgonów niż chrztów i nowych akcesji), liczba niemieckich katolików spadła o niemal pół miliona, do 23 mln. Spada też liczba chodzących do kościoła (w 2018 r. – 9,3 proc., spadek o pół procenta) i udzielanych sakramentów (poza ślubami, gdzie był lekki wzrost do 43 tys.), a także liczba księży (z 13 560 do 13 285).

Przedstawiając te dane, sekretarz episkopatu ks. Hans Langendörfer mówił o gotowości biskupów i parafii do szukania nowych dróg rozmowy w Kościele: „Rozumiemy, jeśli za sprawą procesu wyobcowania lub ogromnej utraty zaufania powstała nieufność, a Kościół tracił wiarygodność"; celem podejmowanych reform jest odbudowa wiarygodności i zaufania.

Wiernych traci też Kościół ewangelicki: w 2018 r. wystąpiło 220 tys. osób, a liczba ewangelików spadła do 21,1 mln. Łącznie w 2018 r. wszyscy chrześcijanie (doliczając np. prawosławnych) stanowili 56,1 proc. ludności Niemiec; w 2017 r. było to 57,6 proc.

©℗ WP / KNA

MARCELLO MENCARINI / LEEMAGE / EAST NEWS

Ostatni tom z Montalbanem

ANDREA CAMILLERI przeżył 94 lata, ale jako pisarz zasłynął w ostatnim ćwierćwieczu – za to był najbardziej poczytnym ze wszystkich, jakich Włochy wydały. Jego ponad sto książek sprzedało się w nakładzie przekraczającym 30 mln egzemplarzy, z czego najwięcej tych z serii o komisarzu Montalbano – są to głębokie portrety ludzi, środowisk i epoki osnute wokół skonstruowanego wedle reguł gatunkowych wątku śledczego, inspirowane prozą Georges'a Simenona. Powieści Francuza Camilleri znał na wylot, przygotowywał bowiem ich adaptacje do teatru telewizji. Kierował też innymi teatrami, przez większość życia wykładał reżyserię i sztukę aktorską, był wychowawcą wszystkich liczących się postaci włoskiego teatru końca XX w. Ślady teatralnego żywiołu dobrze widać w twórczości literackiej, choćby w swoistej suwerenności postaci, które nieraz otwarcie występują przeciwko zamiarom narratora. Taka też ma być podobno puenta ostatniej powieści z serii, którą zawczasu napisał i zdeponował w wydawnictwie: komisarz, jeśli wierzyć przeciekom, zbuntuje się wobec roli, jaką każe mu raz po raz odgrywać Camilleri. Dzięki talentowi opowiadacza dziejów ojczystych (*gros* jego książek to reinterpretacje wydarzeń historycznych) zyskał status mędrca, który biczował swój kraj. Obecnej władzy zarzucał, że „odsłania klapy narodowego szamba" – mimo to Matteo Salvini (tytułowany, przez analogię do dawnego Duce, „kapitanem") poczuł się zmuszony oddać mu publicznie hołd. ©℗ PAWEŁ BRAVO

KULTURA W SKRÓCIE

MISJA.
Brytyjskie muzeum Tate Modern zobowiązało się do zmniejszenia swojego śladu węglowego o 10 proc. W ciągu najbliższych czterech lat w galeriach zamontowane zostaną bardziej przyjazne dla środowiska systemy elektryczne, zmieni się także menu w muzealnych restauracjach.

MUZA.
Bardziej eko będzie także rozpoczynający się na początku sierpnia katowicki OFF Festival. W tym roku aż 80 proc. oferty gastronomicznej będą stanowiły dania wegetariańskie i wegańskie. Organizatorzy zapowiadają całkowite przejście na naczynia biodegradowalne oraz wprowadzenie wielorazowych kubków. Symbolem zmian będzie zaprojektowana przez Kasię i Wojtka Sokołowskich brama wykonana z kontenerów służących równocześnie za pojemniki na odpady.

PRESJA.
Tymczasem w Paryżu wyznaczono plan i termin odbudowy katedry Notre Dame. Prezydentowi Francji Emmanuelowi Macronowi zależy, by prace zostały ukończone w ciągu najbliższych pięciu lat, do planowanych na 2024 r. igrzysk olimpijskich. Specjaliści krytykują decyzję wskazując, że przyjęty termin jest zdecydowanie zbyt krótki na właściwą i zgodną z zasadami konserwatorskimi renowację.

PRACA.
Mniej ciśnienia jest na stronach francuskiego odpowiednika popularnego portalu biznesowego LinkedIn – nie znajdziecie tam pełnych hurraoptymizmu statusów na temat awansów czy odbytych szkoleń. LinkedOut powstał z myślą o osobach wykluczonych i bezdomnych, które z pomocą wolontariuszy mogą teraz dotrzeć do potencjalnych pracodawców. Portal zdobywa coraz większą popularność, liczba zamieszczanych ogłoszeń rośnie.

Tysiące e-mocji

CHOĆ EMOJI KOŃCZĄ WŁAŚNIE DWADZIEŚCIA LAT 🎂 – ich twórcą był japoński projektant Shigetaka Kurita – popularność zyskały dopiero około roku 2010, gdy na życzenie Google i Apple włączono je do Unikodu (czyli komputerowego zestawu znaków wszystkich alfabetów świata), a następnie udostępniono posiadaczom iPhone'ów i Androidów. Nie obyło się wówczas bez kontrowersji – dotyczyły one nie tylko prezentacji rasy, narodowości czy płci, ale także sposobów oznaczenia 🔫 broni palnej, a nawet... 🍔🍔 burgerów.

Dziś, ze względu na różnorodność piktogramów (są ich już tysiące), większość z nas nie wyobraża sobie bez nich codziennej komunikacji. 65 proc. użytkowników smartfonów czuje się bezpieczniej wyrażając emocje ❤️ za pomocą emoji niż podczas rozmowy telefonicznej – wynika z raportu opublikowanego z okazji Światowego Dnia Emoji. Wierzymy, że ludzie, którzy używają 😊, są przyjaźniejsi i bardziej empatyczni. Ponieważ – jak wynika z raportu – wciąż odczuwamy niedosyt emoji, wkrótce pojawią się kolejne – ilustrujące m.in. aparaty słuchowe i wózki inwalidzkie, ale także gofry oraz czosnek. Znajdzie się także coś dla znudzonych 🥱. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Wojna płci u straszyków

FAKULTATYWNA PARTENOGENEZA – o której mówimy, gdy samice pewnego gatunku mogą rozmnażać się płciowo (z zapłodnionych przez samców jaj rozwijają się samce) lub bezpłciowo (z niezapłodnionych jaj powstaną samice-klony matki) – to zaskakująco rzadka strategia rozrodcza w świecie zwierząt. Jest bardziej elastyczna od obligatoryjnego rozmnażania płciowego i wydaje się, że dobór naturalny powinien ją faworyzować. Dlaczego nie faworyzuje – nie jest jasne.

Nathan W. Burke i Russell Bonduriansky opisali w „Animal Behaviour" wyniki eksperymentu z udziałem rozmnażającego się w ten sposób gatunku owadów – straszyków australijskich. Młode samice, które miały pozaseksualne kontakty z młodymi samcami, wykazywały później więcej zachowań obronnych, zapobiegających kopulacji, niż samice dorastające bez samców, ale w wieku dorosłym znacznie rzadziej reprodukowały się partenogenetycznie. Badacze twierdzą, że uzyskane wyniki rzucają nieco światła na zagadkę rzadkości fakultatywnego dzieworództwa: obecność samców może wymuszać zmiany w rozwoju płciowym samic, prowadzące do „spopularyzowania" rozmnażania płciowego – starego wynalazku ewolucji, który dziedziczony jest także przez gatunki fakultatywnie dzieworódcze. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

TAJEMNICA TRZECH SEKUND

Na szosach nie powinno istnieć słowo „ja”, standardem powinno być „my”.

MARIUSZ SEPIOŁO

MARKUS SPISKE / PIXABAY

Choć to niemal rytuał, że media w wakacje piszą o bezpieczeństwie na drodze, dane pokazują niezbicie: problem jest realny i coraz poważniejszy. W 2018 r. policji zgłoszono 31,6 tys. wypadków (na wszystkich rodzajach dróg), w których śmierć poniosło 2,8 tys. osób. Najwięcej na jednojezdniowych, dwukierunkowych drogach (25 tys.). Ale szerokość drogi wcale nie gwarantuje bezpieczeństwa. Na autostradach i ekspresówkach było łącznie 841 wypadków i 107 ofiar śmiertelnych, a na drogach jednokierunkowych o dwóch jezdniach, niekwalifikowanych jako ekspresówki – 4,4 tys. wypadków i 210 zabitych. Trzy czwarte wypadków miało miejsce w dobrych warunkach pogodowych, 84 proc. nastąpiło na suchej nawierzchni, a 85 proc. przy świetle dziennym.

Nie dostosowujemy prędkości do warunków ruchu (149 wypadków) i nie zachowujemy odległości między pojazdami (114). W 2018 r. byliśmy na czwartym miejscu w Unii pod względem liczby ofiar wypadków na milion mieszkańców. Jednocześnie autostrad nie mamy wiele – to zaledwie ponad 1660 km, tyle co z Warszawy do Budapesztu i z powrotem. Dlatego zatrważa liczba wypadków – 434 w ubiegłym roku. Rany odniosło 636 osób, zginęły 52.

Tymczasem ciągle przybywa samochodów (w 2018 r. zarejestrowanych było ich ok. 29 mln). A spora część wypadków na autostradach klasyfikowana jest jako karambole: zdarzenia, w których bierze udział wiele pojazdów.

Przepełnienie to jedno, drugie – brak umiejętności połączony z brawurą. Z jakiegoś powodu wierzymy w niezawodność pojazdów (z danych portalu Autobaza.pl wynika, że co trzeci z nich może być powypadkowy) i własne zdolności, tymczasem policyjne statystyki mówią, że aż 87 proc. wypadków to wina kierowców.

– Prędkość? Nie ma znaczenia, czy są to autostrady, czy drogi wojewódzkie. To problem na wszystkich polskich drogach. Niestety, prędkość w tragiczny sposób łączy się ze wskaźnikiem śmiertelności – przyznaje podinspektor Radosław Kobryś z Biura Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji. Z danych Krajowej Rady Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego wynika, że w 2018 r. największy spadek liczby wypadków zarejestrowano właśnie na autostradach (-9,2 proc.). Wzrost wypadków śmiertelnych wyniósł 1,1 proc.

Komendy wojewódzkie policji w regionach, przez które przebiegają nitki autostrad, przeprowadzają akcje kontroli prędkości i trzeźwości kierowców. Policja organizuje akcje informacyjne. W 2018 r. opublikowała broszurę „Bezpieczna autostrada". Na kilku odcinkach autostrad w Polsce pracują specjalne jednostki policji autostradowej. Poruszają się nieoznakowanymi pojazdami, rejestrują zachowania kierowców na wideo.

– Mamy szereg działań edukacyjno-profilaktycznych – mówi Radosław Kobryś. ↦

– Jesteśmy m.in. członkiem Krajowej Rady Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego przy Ministerstwie Infrastruktury. Ciągle wierzymy, że te złe nawyki da się zmienić. Jak? Budować świadomość kierowców. Na drodze, bez względu na to jakiej, brakuje nam partnerstwa i empatii. Na szosach nie powinno istnieć słowo „ja", standardem powinno być „my".

Wybierz sobie przepis

– Mamy dziwną przypadłość samodzielnego oceniania, czy dany przepis prawa jest dobry i potrzebny, czy nie. Z łatwością dobieramy sobie te, które są nam wygodne i które chcemy stosować – mówi Filip Grega, socjolog bezpieczeństwa ruchu drogowego, prezes fundacji SOS Odpowiedzialne Szkoły Jazdy. – Jeździmy tak, jak nam wygodniej. Stąd moje porównanie, którego często używam: morderstwo na drodze zaczyna się od kradzieży jabłka z cudzego sadu. Złamanie raz norm społecznych, może prowadzić do powtarzania tego w różnych dziedzinach życia, także na drodze.

Z jednej strony, wylicza socjolog, mamy nikłe umiejętności zachowania się na drodze szybkiego ruchu i niewielkie doświadczenie – masowo po autostradach poruszamy się zaledwie od kilkunastu lat, podczas gdy Niemcy czy Francuzi od kilku dekad. Jednocześnie bogacimy się: stać nas na drogie, duże i mocne samochody, autostrady są szerokie i równe, podróż dzielona na postoje w czystych, nowoczesnych stacjach benzynowych i restauracjach szybkiej obsługi. Nic, tylko naciskać pedał gazu – co z tego, że nieumiejętnie. Technologia pomknęła do przodu, umiejętności zostały.

Z drugiej strony, problemem jest system szkolenia, oparty na zbyt sztywnych zasadach, a jednocześnie dopuszczający bylejakość. – Proszę sobie wyobrazić, że pana serce operuje „kardiochirurg" po podstawówce i z dwoma latami doświadczenia. A właśnie takie minimalne wymagania stawia się przed kandydatami na instruktorów jazdy: wykształcenie podstawowe i dwa lata posiadania prawa jazdy – mówi Filip Grega.

W fundacji SOS Odpowiedzialne Szkoły Jazdy, której prezesuje, stara się usprawnić system szkolenia. Fundacja m.in. mediuje w kwestiach spornych między szkołami jazdy a kursantami. Wskazuje dobre i złe praktyki, m.in.: rzetelność świadczenia usług dla kursantów, komunikację, zdolności dydaktyczne. Tymczasem niskie wykształcenie co najmniej nie sprzyja tłumaczeniu skomplikowanych przepisów, a małe doświadczenie za kierownicą wyklucza możliwość przekazania szerokich umiejętności.

Niezniszczalni kontra frajerzy

– Rozpędzić samochód bardzo łatwo, ale zatrzymać go w miejscu, w którym chcemy, już bardzo, bardzo trudno – mówi Filip Grega. Wymienia podstawowe, najczęściej spotykane błędy, jakie popełniamy na drogach szybkiego ruchu. Pierwszy: nieprawidłowa odległość od poprzedzającego pojazdu. – Istnieje przekonanie, że musimy się trzymać blisko innych samochodów, bo jeśli nie, to ktoś wjedzie w miejsce przed nami i znowu będziemy jechali wolniej. To oczywista bzdura. Nas przede wszystkim powinno interesować zachowanie bezpiecznej odległości – mówi Grega.

I podkreśla: jazda powinna być „defensywna". To praktyka, która podnosi nasze bezpieczeństwo w sytuacjach zawinionych przez innych uczestników ruchu, tragiczny zbieg okoliczności itd. I nie to samo, co zasada ograniczonego zaufania.

– Ograniczone zaufanie dotyczy sytuacji, w której musimy już podjąć jakieś czynności, by zmniejszyć ryzyko wypadku, np. powstrzymać się od ruchu, skręcić, zahamować, gdy widzimy już nieprawidłowo zachowującego się uczestnika ruchu – tłumaczy Grega. – Jazda defensywna oznacza takie poruszanie się, które już zawczasu w jak największym stopniu oddala od nas ryzyko.

Łukasz zdał egzamin na prawo jazdy zaraz po swojej osiemnastce. Od razu wyjechał: chciał zdobywać doświadczenie jako kierowca za granicą. Przez kilka lat przemierzył ciężarówką tysiące kilometrów w Stanach Zjednoczonych, jeździł po niemal całej Europie, samochodem te-

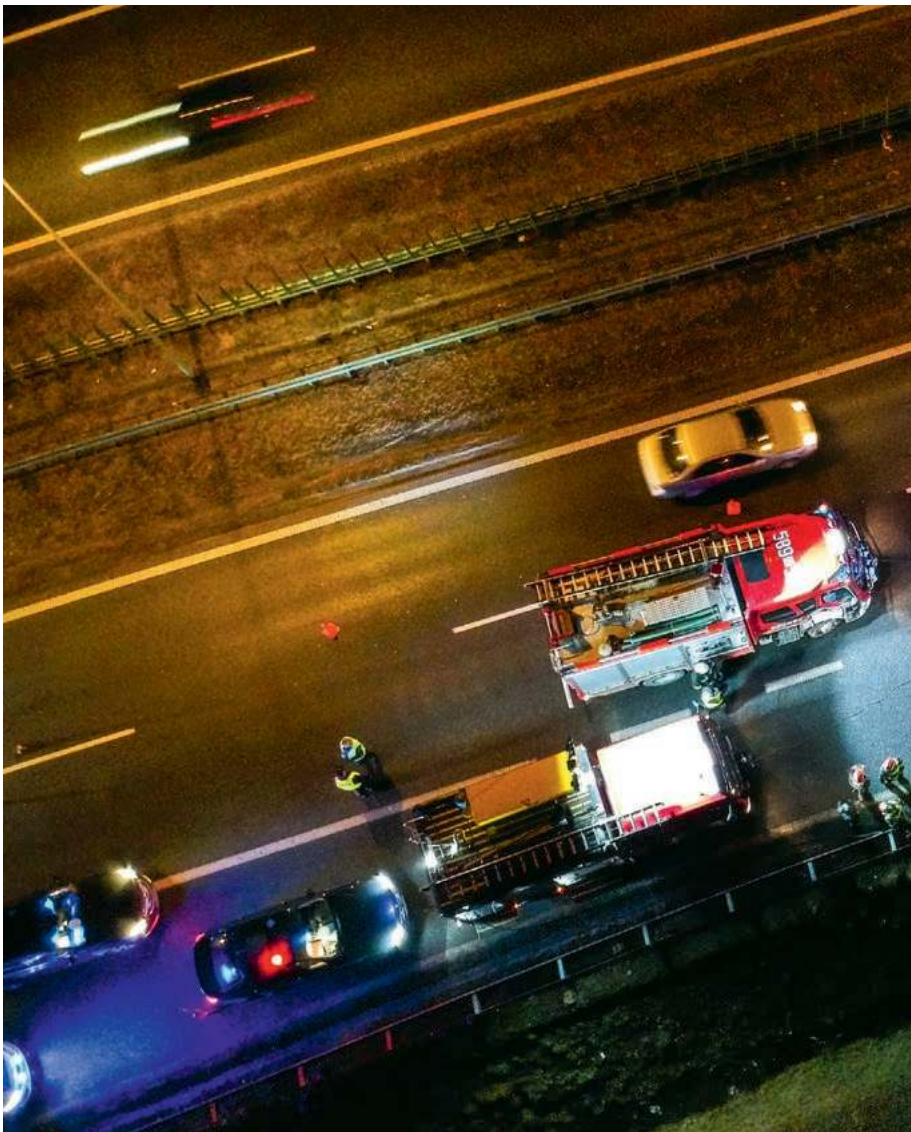

renowym podróżował przez Rosję aż do Chin. Od dziesięciu lat prowadzi w Polsce firmę przewozową. Mówi, że ma za sobą łącznie kilka milionów kilometrów.

Pytam go o mityczną już, wracającą w wakacyjnych newsach jak bumerang, „kulturę jazdy". – Czegoś takiego nie ma – mówi. – Tutaj ludzie się popisują. Chcą sobie coś udowodnić. Ci, którzy stoją w korku, to „frajerzy", do świateł trzeba dojechać po chodniku albo po torach tramwajowych.

Na własne oczy regularnie ogląda wypadki wynikające z brawury. Co widzi? Wyprzedzamy na podwójnej ciągłej, a życie zawdzięczamy tylko temu, że samochód z naprzeciwka w ostatniej chwili ucieka na pobocze. Jesteśmy niepewni, a jednocześnie agresywni. Nie powinno być tak, że kierowca czai się za tirem przez kilka kilometrów, po czym decyduje się na wyprzedzanie w najgorszym miejscu i momencie.

Złe nawyki z autostrad, gdzie czujemy się niezniszczalni i nieśmiertelni, przenosimy na drogi ekspresowe. W wielu miejscach przecinające się z wojewódzkimi, powiatowymi i gminnymi, z ograniczeniami do 70 i 50 km/h, z patrolami policji. Mimo wielu ograniczeń – także nierównej, dziurawej nawierzchni – zachowujemy się tak samo jak na równych, szerokich autostradach. Potwierdzają to statystyki: kolejny rok z rzędu na drogach ekspresowych rośnie liczba wypadków śmiertelnych (w 2018 r. o 10,9 proc.). – Sam jednak zauważam taką prawidłowość, że jadąc ekspresówką po prostu muszę przyspieszać. Tam, gdzie jest ograniczenie do 90, jadę 100 – mówi Łukasz. – Przyspieszam, bo za mną czai się sznur samochodów i ciężarówek. Jeśli zwolnię, w najlepszym wypadku mnie otrąbią i obrzucą wyzwiskami. W najgorszym: wjadą mi w zderzak, zepchną z drogi. Na polskich drogach codziennie dochodzi do takiej presji. Presji łamania przepisów.

Na autostradzie A2 pod Brwinowem, 13 lutego 2019 r

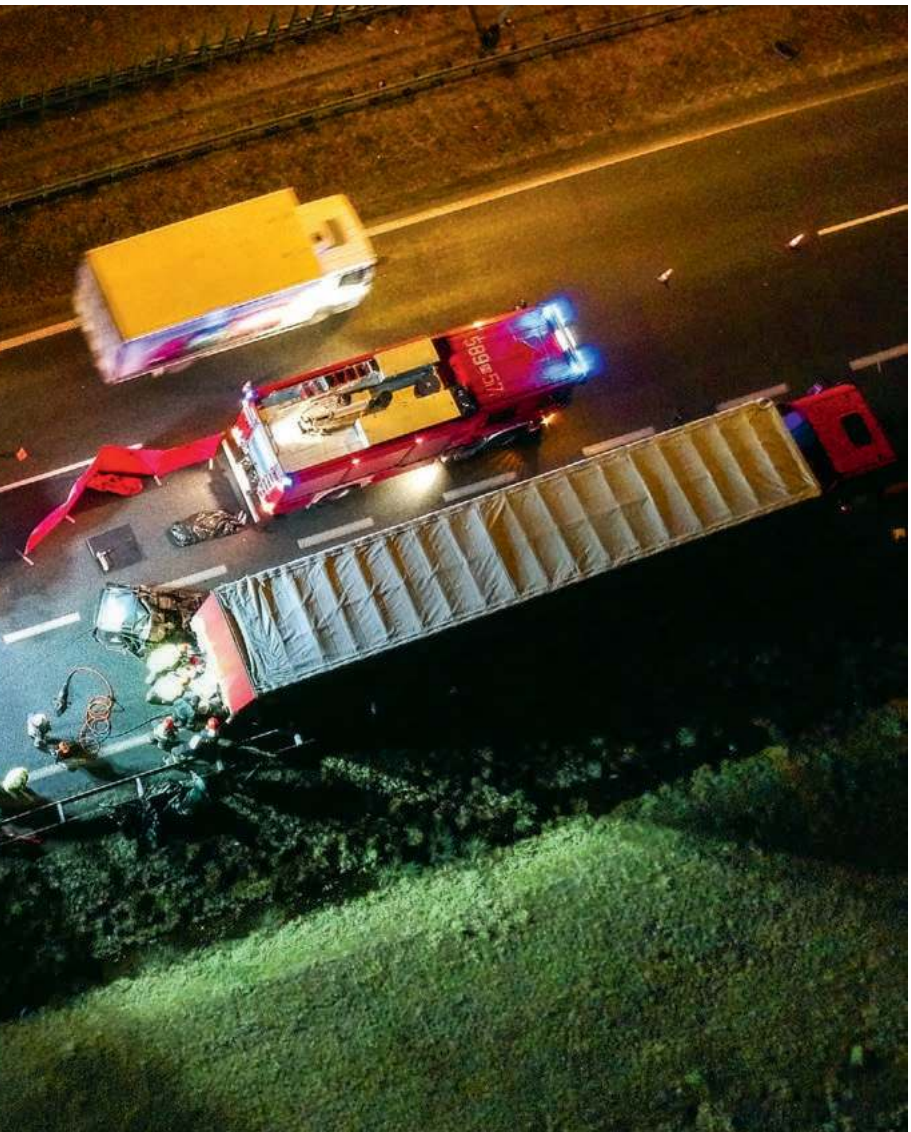

DARIUSZ BOROWICZ / AGENCJA GAZETA

Pilnuj odstępu

Gdyby wszyscy kierowcy stosowali się do zasady jazdy defensywnej – tłumaczy Filip Grega – na ruchliwej autostradzie powinni ustawiać się w „szachownicę", a nie drzwi w drzwi. Ale w godzinach szczytu nikt nie myśli o defensywie. Dominuje agresywny atak. – Tymczasem obok nas może zdarzyć się wszystko: komuś pęknie opona, ktoś schyli się do telefonu albo po prostu... kichnie – mówi Grega. – Na autostradzie leciutki ruch kierownicą może spowodować zmianę toru jazdy.

Dla lekkomyślności łatwo znaleźć usprawiedliwienie. – Wystarczy spojrzeć na kampanie reklamowe koncernów motoryzacyjnych, w których pokazuje się pojazdy jeżdżące szybko i niebezpiecznie nawet w warunkach miejskich. Takie nieetyczne reklamy na pewno nie pomagają w sytuacji, w której kolejnym, ogromnym problemem jest aspekt psychologiczny – wymienia Filip Grega.

Jego zdaniem, zamiast żyć w bezpiecznej symbiozie, rywalizujemy. – To ja mam lepszy, większy, szybszy samochód, to ja mogę cię wyprzedzić, to ja mam prawo mknąć po lewym pasie. Żeby osiągnąć przekonanie o własnej wyższości nie trzeba wiele: wystarczy wcisnąć pedał gazu. Prawda, jak niewiele wystarczy, by pokazać siłę? Trzeba jednak zrozumieć, że to siła samochodu, a nie człowieka. Człowiek w ten sposób pokazuje wyłącznie swoją głupotę.

Kolejny problem to system egzaminacyjny kierowców. – Egzaminatorzy nie mają dziś możliwości obiektywnej oceny, czy dany kandydat jest w stanie bezpiecznie uczestniczyć w ruchu drogowym. Zamiast tego muszą trzymać się ciasnego „kagańca" przepisów – mówi Filip Grega. Podaje przykład: jadąc drogą podporządkowaną, zdający egzamin zbliża się do skrzyżowania i w ogóle się nie rozgląda. Nawet przez chwilę nie upewnia się, czy z pierwszeństwem nie jedzie inny pojazd. Jeśli przejedzie przez skrzyżowanie bez kolizji, egzaminator będzie mu musiał ten manewr zaliczyć, bo przecież „było pusto".

– Nagranie z kamery to potwierdzi, a w razie sporu kandydat z łatwością udowodni, że patrzył „kątem oka" – tłumaczy Grega. – Jeśli w takiej spornej sytuacji ↦

egzaminatorowi udowodni się, że źle ocenił kandydata, czekają go niemiłe konsekwencje. Żeby tego uniknąć, będzie wolał – choć z bólem serca – zaliczyć manewr. Egzaminatorzy powinni mieć możliwość całościowej, niezawisłej interpretacji i oceny tego, czy kandydat może otrzymać prawo jazdy. Czy w takim systemie, jaki mamy, możliwe jest wykształcenie bezpiecznych odruchów, przewidywania?

Rzadko który kierowca wie, czym jest „zasada trzech sekund" – według Gregi podstawa bezpiecznego poruszania się na drodze. Łatwo ją zastosować. Zaczynamy liczyć, kiedy pojazd, który jedzie przed nami, omija wybrany przez nas, orientacyjny punkt odniesienia: słup, drzewo, latarnię. Jeśli naszym samochodem znajdziemy się na wysokości tego punktu wcześniej, niż po trzech sekundach, oznacza to, że jedziemy zbyt blisko innego pojazdu. Bez względu na to, czy na liczniku jest 50, czy 140 km/h.

– Te trzy sekundy to uniwersalny czas, w którym – w przypadku nagłej sytuacji – możemy skutecznie wykonać manewr hamowania – tłumaczy Grega. – Musimy pamiętać, że czas naszej reakcji zależy od wielu czynników, m.in. stanu naszego zdrowia, samopoczucia. Najpierw jest bodziec i czas, w którym nasz mózg reaguje na zastaną sytuację, np. nagłe hamowanie samochodu przed nami. Po około pół sekundy zaczyna działać układ hamulcowy. W tym samym czasie ciągle jedziemy, i to często z dużą prędkością. Kiedy wszystkie systemy zadziałają, zaczyna się proces wytracania prędkości.

Łatwo to sobie wyobrazić: auto poprzedzające nas już hamuje, a my jeszcze przez ponad sekundę ciągle zbliżamy się do niego z prędkością, z którą się poruszaliśmy. Im jest ona większa, tym nasze szanse na przeżycie mniejsze. Dla wielu polskich kierowców owe trzy sekundy zbyt często stają się ostatnimi w życiu.

Bezpieczeństwo w planach

Ciągle w sferze planów są rozwiązania, które mogłyby zredukować poziom drogowej frustracji i agresji. W tym roku inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli ruszyli na polskie drogi krajowe – głównie autostrady i ekspresówki – by sprawdzić, dlaczego ciągle dochodzi na nich do zatorów i wielokilometrowych korków. Przy okazji pokazali, jak i gdzie szwankuje cały system organizacji ruchu.

> Wierzymy w niezawodność pojazdów i własne zdolności, tymczasem policyjne statystyki mówią, że **aż 87 proc. wypadków to wina kierowców.**

W raporcie wyliczają: źle zorganizowane prace drogowe, brak skoordynowanego systemu zarządzania ruchem i informowania kierowców o utrudnieniach. Przykład: 29 maja 2018 r. zator spowodowany koszeniem trawy między jezdniami na A2 w kierunku z Warszawy do Łodzi w szczytowym momencie wynosił ponad 14 km.

Kierowcy powtarzają, że autostrady to „ziemia niczyja", gdzie nikt niczego nie kontroluje, nie czuwa nad niczym. Według danych NIK-u odcinków z monitoringiem i np. z ledowymi tablicami informacyjnymi jest tylko dziewięć i są bardzo krótkie. „W Polsce nie funkcjonuje sprawny system zarządzania ruchem, którego działanie mogłoby przyczyniać się do zwiększenia przepustowości i przejezdności newralgicznych odcinków dróg, zwiększania bezpieczeństwa ruchu drogowego, zapobiegania powstawaniu zatorów drogowych czy kierowania na trasy alternatywne" – wylicza raport NIK-u.

NIK negatywnie oceniła też stan prac nad Krajowym System Zarządzania Ruchem Drogowym. Ma być on częścią sieci Ten-T, czyli transeuropejskiej sieci transportowej. Dzięki niemu kierowcy powinni otrzymywać na bieżąco informacje m.in. dotyczące warunków pogodowych czy konkretnych sytuacji na drodze: kolizji, objazdów, ograniczeń prędkości. Zapytałem rzecznika GDDKiA, na jakim etapie jest projekt, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Z dostępnych informacji wynika, że na razie ogłoszono przetargi na wykonanie systemu, a jego wykonanie może być czasochłonne.

Przybędzie fotoradarów. Jak zapowiada GDDKiA, już za rok sto urządzeń stanie w nowych lokalizacjach. 247 zastąpi najstarsze, wyeksploatowane fotoradary spośród 500, które działają dziś. Dojdzie też 11 fotoradarów mobilnych. Ma się też zwiększyć skuteczność egzekwowania kar. Powstawać mają specjalne biura, których zadaniem będzie weryfikowanie na bieżąco zarejestrowanych wykroczeń. Nie wiadomo, kto ma zarządzać siecią fotoradarów. Planowano, by Inspekcję Transportu Drogowego zastąpiła policja, ale Ministerstwa Infrastruktury oraz Spraw Wewnętrznych i Administracji nie dogadały się.

Jesienią mają też wejść w życie przepisy regulujące kwestie „korytarza życia" i jazdy na suwak. W pierwszym przypadku, jak proponuje projekt Ministerstwa Infrastruktury, kierowcy będą zobowiązani tworzyć korytarz dla pojazdu uprzywilejowanego, zjeżdżając jak najbliższej lewej krawędzi pasa ruchu (jeśli jadą lewym pasem), i jak najbliżej prawej krawędzi (jeśli jadą prawym). Na jezdniach o wielu pasach korytarz trzeba będzie tworzyć po lewej stronie. Jazda na suwak? Na jezdni o dwóch pasach ruchu kierowca jadący pasem zanikającym będzie musiał zasygnalizować kierunkowskazem, że chce zmienić pas ruchu. Kierowca jadący pasem obok będzie miał obowiązek go przepuścić. Z kolei na drodze o trzech pasach ruchu, jeśli dwa z nich będą się kończyć, kierowca ze środkowego kończącego się pasa będzie musiał przepuścić najpierw pojazd z prawej.

Kierowcy idealni

Tymczasem niezmiennie narzekamy na innych, nie widząc winy w sobie. Z badań KRBRD z 2014 r. wyłania się obraz polskiego kierowcy niemal idealnego.

90–95 proc. uważało, że rząd powinien położyć większy nacisk na działania służące bezpieczeństwu w ruchu drogowym. Zdecydowana większość opowiadała się za zaostrzeniem kar za zachowania niezgodne z przepisami ruchu drogowego. 85 proc. badanych rozumiało, że przy przekroczeniu dozwolonej prędkości zaledwie o 10 km/h nawet przy dobrych warunkach pogodowych ryzyko wypadku rośnie, a jego konsekwencje mogą być dużo poważniejsze. Większość akceptowała też wszystkie metody egzekwowania przepisów związanych z ograniczeniem prędkości. Najbardziej akceptowane były... fotoradary.

© MARIUSZ SEPIOŁO

ARCHIWUM PRYWATNE

Krzysztof Lis na patrolu

Bezpieczeństwo bez przepisów

KRZYSZTOF LIS, PATROL112.PL:

Szarpanina zamiast płynności, podjeżdżanie jak najbliżej, złe wykorzystanie pasa awaryjnego to grzechy główne kierowców na autostradzie. Warto zostawić emocje w domu. I mieć wyobraźnię.

KRZYSZTOF STORY: A4. Najdłuższa i jedyna ukończona w stu procentach autostrada w Polsce.

KRZYSZTOF LIS: Jakby zebrać te wszystkie lata, to cały krakowski odcinek przeszedłem pieszo. Samochodem nawet nie sposób policzyć, nie sprawdzam kilometrów. Lubię tę drogę.

Przecież autostrady są nudne.

Owszem, kiedy jedzie się w tunelu między ekranami akustycznymi. Albo kiedy się patrzy z perspektywy miasta. Dla mieszkańców Krakowa A4 zawsze była „gdzieś tam". Przypominano sobie o niej dopiero, jak coś się działo. Bo nagle całe miasto stawało w korkach.

Ale kiedy się na niej pracuje, kiedy się widzi, ile się tu dzieje – wtedy przestaje być nudno.

Nawet godzinę temu na założoną przez Pana facebookową grupę „Utrudnienia A4 Małopolska" ktoś wrzucił taki komunikat: „Dzwon w kierunku na Tarnów, na 485 km zwężenie do jednego pasa po obu stronach". Nadal żyje Pan na autostradzie?

Tak, chociaż mam zupełnie inną perspektywę. Prowadzę firmę, która zajmuje się utrzymaniem dróg krajowych i autostrad w rejonie GDDKiA Kraków. Najprościej mówiąc: zmieniłem kolor kogutów z niebieskich na pomarańczowe. Ale drogi i zagrożenia pozostały dla mnie te same.

Zagrożenia?

Tak, i nie chodzi tu tylko o nasze wybryki za kierownicą, bo o tych najczęściej myślimy: „przecież jestem dobrym kierowcą, nic mi się nie stanie". Są sytuacje, w których nic poza ostrożnością i rozsądkiem nie pomoże. Zwierzyna na drodze, która pomimo siatek potrafi przejść asfaltem wzdłuż zjazdu. Albo przedmioty leżące na jezdni. Ja z autostrady ściągałem ↦

↦ już chyba wszystko: drabiny, rowery, zepsutą lodówkę...

Życie autostrady opisuje Pan na Facebooku. Policjant, którego konto lubi 15 tysięcy ludzi, to rzadkość.

Na początku nie było łatwo, bo wielu ludzi jest negatywnie nastawionych do policji. Ale ja mówię ich językiem, a nie policyjnymi raportami. Zależy mi, żeby zrozumieli, zapamiętali i jeździli bezpiecznie. Dlatego potrafię korek nazwać „zatwardzeniem", a służby drogowe „pomarańczowymi ludzikami". I apeluję, żeby tym ludzikom nie przejeżdżać przez biuro 150 km/h.

Działa?

Nie wiem. Ale staram się bezpieczeństwo na drogach promować, bo myślę, że się na tym trochę znam. Ostatnio z Mariuszem Rzadkoszem, byłym pracownikiem GDDKiA, wydaliśmy książkę „As dróg wyższych klas". Staramy się opowiadać o bezpieczeństwie nie przez pryzmat suchych przepisów, tylko zdrowego rozsądku, kultury, emocji. I własnych doświadczeń. Wykorzystujemy to, że widzimy więcej niż inni: więcej razy musieliśmy skakać przez barierki, żeby nas ktoś nie rozjechał.

Podtytuł brzmi: „Pierwsza książka o wyobraźni na drodze". Mamy trzy razy więcej autostrad i ekspresówek niż dziesięć lat temu. Wyobraźnia polskich kierowców za tym nadąża?

Wzrost ruchu na autostradach jest błyskawiczny, więc i zagrożeń jest więcej. Na pewno jest lepiej, jeśli chodzi o kulturę jazdy. I to nie tylko na autostradach. Większość kierowców opanowała już jazdę na suwak, ostrzeganie awaryjkami. Jeździmy płynniej.

Mimo to w ubiegłym roku na polskich autostradach zginęły 52 osoby, a 600 zostało rannych.

Największym błędem jest wyłączenie czujności. Ja wiem: autostrada to monotonia, mało bodźców zewnętrznych. Nie ma świateł, przejść dla pieszych, rowerów, znaków. Wydaje się, że nic nam nie grozi. Wielu kierowców przyciska gaz i się wyłącza. Niektórzy poszliby spać, gdyby tylko mieli tempomat i asystenta pasa ruchu. A przecież przy tych prędkościach nawet małe wahnięcie kierownicą może się skończyć tragicznie.

Co jeszcze robimy źle?

Są trzy grzechy główne. Pierwszy to szarpanina. Na autostradzie można jechać 140 km/h, więc niektórzy uważają, że muszą jechać 140 i ani kilometra mniej. Jak ktoś jedzie wolniej...

Spycha się go na drugi pas, miga światłami, podjeżdża pod sam zderzak.

Krzyczy się: „Jak jedziesz, baranie!". A potem szarpie, przyspiesza i zaraz znowu hamuje. Jeździmy zrywami, a tymczasem najszybsza i najbezpieczniejsza jazda to jazda płynna. Dajemy sobie duże odstępy, czas na dohamowanie. Widział pan kiedyś miejsce na autostradzie, gdzie jest np. spowolnienie do 60? Samochody jadą tam wolniej, ale płynnie.

A pięć kilometrów wcześniej jest korek.

Bo zamiast zwolnić, przyhamować silnikiem, dać znak światłami awaryjnymi, w ostatniej chwili hamujemy ze 140 do zera. W Niemczech na autostradach są znaczniki, które wskazują odpowiednią odległość od następnego auta. Pilnuje tego również policja. Ale wystarczy zdrowy rozsądek i zasada „trzy sekundy do zderzaka". Tylko że to wymaga spokoju i zostawienia stresów w domu.

Zwykle podjeżdżamy jak najbliżej. Bo nam się spieszy.

To problem drugi. Z wykształcenia jestem socjologiem, obserwuję zachowania na drodze od lat. Widzę ludzi, którzy nawet w mieście podjeżdżają pod same światła jak pod linię startu Formuły 1. Byle być te pół metra bliżej.

KRZYSZTOF LIS służył w drogówce 26 lat, a ostatnie trzy był komendantem komisariatu autostradowego policji w Krakowie. Zawsze wolał uczyć, niż wystawiać mandaty. Z kierowcami rozmawiał na Facebooku: jako „re.aktor Fox" opisywał wypadki, informował o korkach i utrudnieniach. Pisał z humorem, bez policyjnego żargonu. Gdy odwoływano go w 2016 r., kierowcy chcieli w ramach protestu zablokować krakowski odcinek A4. Dziś prowadzi stronę Patrol112.pl.

A potem wykręcają szyje, żeby zobaczyć, czy już zielone. To na pewno nielogiczne, ale czy niebezpieczne?

Niebezpieczne. Bo wyobraźmy sobie, że to samo dzieje się na autostradzie. Robi się zator, wszyscy siedzą sobie na zderzakach. I nagle jeden samochód zaczyna się palić. Nikt w takim korku nie ma już możliwości manewru. Zdarzało się, że inne samochody zapalały się od tego pierwszego. Bo stały zbyt blisko siebie.

A jeśli przez taki korek chce przejechać pogotowie?

Stojąc w korku, zostawmy tyle miejsca, żebyśmy widzieli styk opon auta przed nami z asfaltem. Gdy słyszymy syrenę, mamy wtedy dość miejsca, by zjechać na bok. Kierowcy powinni stworzyć „korytarz ratunkowy". Skrajnie lewy pas przesuwa się w lewo, w stronę osi jezdni lub pasa rozdziału, wszystkie inne – w prawo. Środkiem przejeżdża karetka.

Proste.

Ale wymaga opanowania emocji i zmiany mentalności. Na drodze nie jesteśmy sami, autostrada bardziej przypomina ławicę ryb niż tor wyścigowy. Najgorzej idzie nam chyba to zostawianie problemów w domu. W korku na S52 pokłóciło się jakiś czas temu dwóch kierowców. Jeden w złości przesadził i wyrwał drugiemu drzwi od mercedesa. Zamiast kilkunastu sekund obaj stracili kilka godzin.

Emocje tłumią wideorejestratory, które coraz więcej ludzi ma w samochodach.

Pomagają, zgodzę się. Ale spokojna, płynna jazda pomaga bardziej.

A trzeci grzech główny?

Wykorzystanie pasa awaryjnego. Jak sama nazwa wskazuje, ma służyć w razie awarii. Nie jest parkingiem ani dodatkowym pasem ruchu. Ani tym bardziej ścieżką rowerową, ani chodnikiem.

Często widzę ludzi, którzy stają na awaryjnym „za potrzebą".

Nie zdają sobie sprawy, czym ryzykują. Po pierwsze – wyobraźmy sobie, że przejeżdżający obok samochód

zgubi kołpak. Odpadająca część natychmiast zamienia się w rozpędzony pocisk. Ja parę razy w życiu dostałem małym kamyczkiem, odpryskiem spod kół. Wiem, jaki to pęd. Po drugie – wielu kierowców, zwłaszcza ciężarówek, zahacza o ten „margines". Szukamy czegoś w telefonie, jemy kanapkę, nie patrzymy na drogę i dryfujemy. Tragedia gotowa.

Jak często się to zdarza?

W firmie tylko w tym roku straciliśmy w ten sposób trzy samochody. Z czasów policyjnych pamiętam z jednego roku osiem zdarzeń, że ktoś najechał na samochód lub przyczepę służby drogowej. Oświetloną, oznakowaną, z kogutami. Jaką szansę może mieć pieszy, rowerzysta czy kierowca, który właśnie poszedł na chwilę w krzaki? A krakowska policja łapie na autostradzie ok. 300 pieszych rocznie. Jednego dziennie.

Na poboczu autostrady dzieją się rzeczy kuriozalne. Kiedyś znaleźliśmy tam pusty samochód z odpalonym silnikiem – okazało się, że rodzice wyszli za ekran akustyczny przewinąć dziecko. A na nowszych odcinkach autostrad wyjścia ewakuacyjne otwierają się tylko w jedną stronę. Nie mogli wrócić do auta.

Innym razem na węźle Balice znaleźliśmy pusty samochód obity o barierki. Częściowo stał jeszcze na pasie ruchu. Gdy zlokalizowaliśmy właścicielkę, okazało się, że siedzi w samolocie i nie może rozmawiać, bo jest już na pasie startowym. Po prostu wysiadła, wzięła walizkę i poszła na lotnisko. Auto zostało na autostradzie.

Na poboczu autostrady dzieją się rzeczy kuriozalne. Kiedyś znaleźliśmy tam pusty samochód z odpalonym silnikiem – okazało się, że rodzice wyszli za ekran akustyczny przewinąć dziecko. A na nowszych odcinkach autostrad wyjścia ewakuacyjne otwierają się tylko w jedną stronę. Nie mogli wrócić do auta.

Kto częściej powoduje zagrożenie, kierowcy prywatni czy zawodowi?

Nie ma reguły. Oczywiście kierowcy ciężarówek mają dużo większą odpowiedzialność: wypadki z ich udziałem powodują więcej szkód, ale też wpływają negatywnie na reputację całej branży. Czasami są zadziwiające. Niektórzy kierowcy potrafią robić kilkugodzinne pauzy na poboczu autostrady, nawet rozkładają przed autem klucze i części, żeby wyglądało na awarię.

Postój na awaryjnym kontra jazda marginesem – tak doszło do wypadku między Tyńcem a Skawiną w 2014 r. Jedna ciężarówka zatrzymała się na poboczu, druga jechała marginesem, zderzyły się. Zablokowany był cały kierunek ruchu. Środek lata, panował upał. Razem ze strażakami rozcinaliśmy wtedy bariery między pasami. Ewakuowaliśmy w sumie 300 osobówek, 60 tirów, osiem autokarów.

Miał Pan kiedyś wypadek?

Nie. Ale niebezpiecznych sytuacji trochę w pamięci zostało. Kiedyś gasiliśmy pożar między węzłami Skawina i Południe. Zapalił się opel tigra. Krzątaliśmy się po pasie awaryjnym i nagle nadjechał „Apacz".

Apacz?

Kierowca, który widzi wypadek i przestaje zwracać uwagę na drogę, tylko mówi „a, popatrzę sobie". W ostatniej chwili zauważył zator, zjechał na pas awaryjny. Usłyszałem „uważaj!", przeskoczyłem przez barierki, a w miejscu gdzie stałem, przejechał samochód.

Co warto przekazać kierowcom?

Że od godziny rozmawiamy o bezpieczeństwie na drodze, a nawet nie wspomnieliśmy o przepisach.

Płynna jazda, ostrzeganie światłami awaryjnymi, że przed nami zaczyna się zator, tworzenie korytarza ratunkowego, pilnowanie marginesu, spokój za kierownicą – to sprawy szalenie istotne, a zarazem banalne. Przepisy nie mają nic do tego – wystarczy rozsądek i kultura jazdy.

© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Pokuta Niniwy*

Straszne musiały być grzechy Niniwy, skoro Bóg wysłał proroka ostrzegając mieszkańców przed całkowitą katastrofą. Z Księgi nie dowiadujemy się, czym tak się Bogu sprzykrzyli, iż zapałał strasznym gniewem. Wiemy tylko, że wszyscy wyjątkowo przejęli się zapowiedzią katastrofy, rabini powiadają, że w mieście zapanował duch chciwości, kradzieży i korupcji. Musiały ich samych te grzechy męczyć, bo zdecydowali się na *tszuwę* – naprawę i założyli wory pokutne.

Najważniejsze jest nie tylko to, co działo się w ich sercach, ale i w życiu samym. Wiemy, że zmiana postaw mieszkańców była głęboka i autentyczna. Ale możemy pytać, jak to się stało, że uwierzyli nie swojemu Bogu czy swoim bożkom, a Bogu Izreala, którego zapewne wcześniej nie znali.

Jest midrasz opowiadający o historii statku, którym płynął prorok Jonasz uciekając przed swoim przeznaczeniem. Podobno gdy Jonasz już dotarł do Niniwy, stał tam w porcie ów statek, a marynarze chodząc po mieście opowiadali o cudzie, jaki się zdarzył na morzu, i o swojej głębokiej przemianie duchowej. Jak pamiętamy (z pierwszego rozdziału księgi), gdy tylko zaczął wzmagać się sztorm, majtkowie wołali każdy do swojego boga o ocalenie. Nie przyniosło to rezultatów, ale gdy wrzucili Jonasza do morza, burza się uciszyła i prosili tylko o jedno, by nie odpowiadali za grzech zabójstwa proroka, i wtedy zwrócili się już nie do wielu bożyszcz, ale do tego Jedynego, który był Bogiem Izraela. Jednym głosem wołali do niego o litość i wybaczenie. Rzeczywiście nie spadła na nich żadna kara, choć nie mogli wiedzieć, że Jonasza połknęła wielka ryba i ocalał w jej brzuchu. Marynarze chodzili po Niniwie i opowiadali o swoim nawróceniu. Mówili o potędze Boga Jedynego, który panował nad ludzkim życiem, przyrodą i utrzymywał ład moralny dostępny wszystkiemu, co żywe.

Historia skruchy Niniwy robi wrażenie opowieści paralelnej, niemal bliźniaczej. Lud obcy miał uwierzyć w groźby Boga. Musiał uwierzyć w potęgę skruchy. Ale nie oznacza to, że stali się podobni Żydom i przyjęli ich wiarę. Zachowując swoje wierzenia stanęli po stronie Boga, który ofiarował im nadzieję i drogę ocalenia. W tym przypominali już teścia Mojżesza Jetro. On to dostrzegł potęgę Boga kierującego losem Izraela, ale nie poddał się obrzezaniu i nie wybrał wspólnoty losu narodu wybranego. Zachował swoją odrębność, swoją tożsamość nie stając się ludem podobnym do Hebrajczyków, pierworodnego dziecka Boga samego. Znalazł się w sytuacji kogoś, kto poznał Boga, ale ostatecznie i w pełni Go nie wybrał. Tacy byli mieszkańcy Niniwy i takie było plemię Jetro. Nie jest to sytuacja unikalna. Takich ludzi jest wielu pośród nas. Wierzą, ale nie potrafią stać się jednym w obliczu Jedynego. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Zagadnienie translatorskie?*

W 2017 r. papież Franciszek powiedział, że chciałby zmienić w „Ojcze nasz" sformułowanie „i nie wódź nas na pokuszenie", gdyż opiera się ono na „błędnym tłumaczeniu". „To nie Bóg popycha mnie ku pokusie, by patrzeć, jak upadam (...) Ojciec tak nie postępuje, ojciec natychmiast pomaga wstać. To Szatan prowadzi nas na pokuszenie". W polskich przekładach katolickich i protestanckich mamy: „A nie wwódź nas w pokuszenie", „i nie dopuść, byśmy ulegli pokusie", „I nie dopuszczaj do nas pokusy", „A gdy nadejdzie chwila próby, nie pozwól, byśmy się poddali", a w dosłownym przekładzie: „I nie wprowadziłbyś nas w doświadczenie".

Wygląda więc na to, że mamy tutaj do czynienia z kwestią natury lingwistycznej i translatorskiej. Dla przykładu, w internetowym „Słowniku staropolskim" słówko „sam" znaczy gospodarz, jegomość, a „sama" to żona, gospodyni. Słowa też zmieniają znaczenie. Ale ostatnio, przy okazji konfliktu pracowniczego w Ikei, ujawniła się sprawa o wiele ważniejsza. Chodzi o autorytet Biblii jako źródła prawdy o Bogu.

W Księdze Powtórzonego Prawa mamy taki nakaz: „Gdyby ktoś miał nieposłusznego i krnąbrnego syna, który nie słucha ani ojca, ani matki, a choć go karcili, to nadal ich nie słucha, wtedy ojciec i matka go pochwycą i zaprowadzą do starszych miasta, do bramy tej miejscowości, i powiedzą do starszych miasta: »Nasz syn jest nieposłuszny i krnąbrny, nie słucha naszych upomnień, jest rozpustnikiem i pijakiem«. Wtedy wszyscy mieszkańcy miasta będą go kamienować, aż umrze. Tak usuniecie zło spośród was, a cały Izrael, słysząc o tym, zatrwoży się. Jeżeli ktoś popełnił przestępstwo podlegające karze śmierci i zostanie stracony, a potem powieszony na drzewie, jego trup nie pozostanie na drzewie przez noc, lecz masz go pochować tego samego dnia. Każdy, kto zawisł na drzewie, jest przeklęty przez Boga".

Egzegeci twierdzą, że wprowadzenie tego nakazu, podobnie jak zasady „oko za oko, ząb za ząb", miało zapobiegać samosądom, co było wyrazem postępu w rozwoju moralnym ludzkości i w rezultacie doprowadziło do przykazania miłości nieprzyjaciół. Fundamentem tej miłości jest Bóg widziany jako Ojciec. Bóg, którego imieniem jest Miłość, jako że tylko On, dlatego że jest wszechmocny, nie potrafi przestać kochać. Wszystkich i wszystko bez wyjątku. W Księdze Ezechiela Bóg mówi: „Czy rzeczywiście pragnę śmierci bezbożnego (...) Czy raczej nie tego, by porzucił swoje grzeszne postępowanie i żył?". Dlatego kluczem do odczytania Biblii jest miłość.

Czy na podstawie takiego argumentu możemy decydować, co z Biblii wziąć, a co zostawić w spokoju? Parafrazując wiersz Różewicza, można powiedzieć, że bez Boga i miłości życie jest możliwe, bez Boga i miłości życie jest niemożliwe. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Słowo – Ciało – dyscyplina

Proszę cię, nie puszczaj swego serca samopas!

IZAJASZ ANACHORETA

Na nic zda się krowa, która daje dużo mleka, ale wywraca kopnięciem wiadro.

HAZRAT MUDŻNUDIN CZISZTI

Wybrał PIOTR SIKORA

„W TYM CELU ZOSTAWIŁEM cię na Krecie, byś zaległe sprawy załatwił i ustanowił w każdym mieście prezbiterów" (1, 5).

Przypomniawszy Tytusowi fundamentalne zadanie apostoła, jakim jest kerygmat, w następnym wersecie Paweł zleca mu budowanie kościelnych „struktur". Przepowiadanie w mocy Ducha potrzebuje oparcia o „instytucję"? Miało być o nadziei i łasce, a chodzi o hierarchię, władzę i prawo?

A jeśli tak sformułowane przeciwieństwa wynikają bardziej z naszych lęków (albo fatalnych doświadczeń) niż z najgłębszych przekonań Pawła i Tytusa? Może to, co nam się przedstawia jako napięcie, dla nich pozostaje pożądaną syntezą?

Kerygmat potrzebuje Kościoła. Ewangelizacja jest zawsze dziełem Kościoła, a nie inicjatywą samozwańczych proroków. To Kościół przepowiada. Ja – tylko wtedy, gdy czynię to w głębokiej jedności z Nim.

Co więcej, kerygmatyczne Słowo szuka wcielenia; Duch nie odcina się z manichejskim wstrętem od Ciała; chce wraz z nim tworzyć symfonię. Zlecając Tytusowi „ustanowienie prezbiterów", Paweł nie mówi o konieczności, lecz o łasce (grec. *toutou charin*; Wlg.: *huius rei gratia*). Tę łaskę można też widzieć jako dar sukcesji – tworzy się łańcuch apostolskiej Tradycji – postrzegany w Kościele jako źródło poczucia bezpieczeństwa, a nie zagrożenia. To poczucie nie bierze się z „instytucji", bierze się z Ducha, który jest głównym Dokonawcą sukcesji.

Nie wszystko było tutaj proste. Stąd też – w kolejnych wersach – Paweł mówi o tym, jakie cechy musi posiadać człowiek, któremu zlecony zostaje kościelny urząd – ma być: „nienaganny, niezarozumiały, nieskłonny do gniewu, nieskory do pijaństwa i awantur, nie chciwy brudnego zysku, gościnny, miłujący dobro, rozsądny, sprawiedliwy, pobożny, powściągliwy, przestrzegający niezawodnej wykładni nauki". Winien też wiedzieć, czym jest życie rodzinne: „mąż jednej żony, mający wierzące dzieci, nieoskarżane o rozpustę czy niekarność". Dlaczego? Odpowiedź poznajemy w Pierwszym Liście do Tymoteusza (3, 5): „Jeśli ktoś nie umie kierować własnym domem, jak będzie mógł się zatroszczyć o Kościół Boży?". Nie chodzi tu jedynie o wyczucie, że ten, kto się sprawdził w małej wspólnocie, pokieruje i dużą. Chodzi raczej o pożądany model Kościoła – na każdym stopniu, w każdym wymiarze, w każdej wspólnocie: 50-osobowej czy 50-tysięcznej – Kościół ma być domem; właściwe dla niego są relacje rodzinne – nie bez powodu i nie tylko z „naturalnej konieczności" pierwsze gminy chrześcijańskie gromadziły się „po domach" (*domus Ecclesiae*).

Ów katalog cnót kościelnego przełożonego ma ostatecznie jeden cel – „uzdalnia" go do przepowiadania i nauczania. Paweł pisze (dosł.): „by był zdolny"; użyte tu grec. *dynatòs* ma wiele znaczeń – można by je przetłumaczyć również: „by był mocen", „by był w stanie". Chodzi tu o życie, które daje tytuł do przepowiadania, dodaje mu waloru osobistego świadectwa. Prezbiter – *keryx* może mówić nie tylko z pokładów swego wykształcenia, ale także z doświadczenia Boga, które owocuje w jego życiu konkretnymi postawami.

Co daj nam wszystkim Panie Boże. Amen.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (28 VII – 4 VIII)

17. niedziela zwykła: Rdz 18, 20-32; Ps 138 (137); Kol 2, 12-14; Łk 11, 1-13.
Poniedziałek: 1 J 4, 7-16; Ps 34 (33); J 11, 19-27.
Wtorek: Wj 33, 7-11; 34, 5-9. 28; Ps 103 (102); Mt 13, 36-43.
Środa: Wj 34, 29-35; Ps 99 (98); Mt 13, 44-46.
Czwartek: Wj 40, 16-21. 34-38; Ps 84 (83); Mt 13, 47-53.
Piątek: Kpł 23, 1. 4-11. 15-16. 27. 34b-37; Ps 81 (80); Mt 13, 54-58
Sobota: Kpł 25, 1. 8-17; Ps 67 (66); Mt 14, 1-12
18. niedziela zwykła: Koh 1, 2; 2, 21-23; Ps 90 (89), 3-4. 5-6. 12-13. 14 i 17; Kol 3, 1-5. 9-11; Łk 12, 13-21.

85.

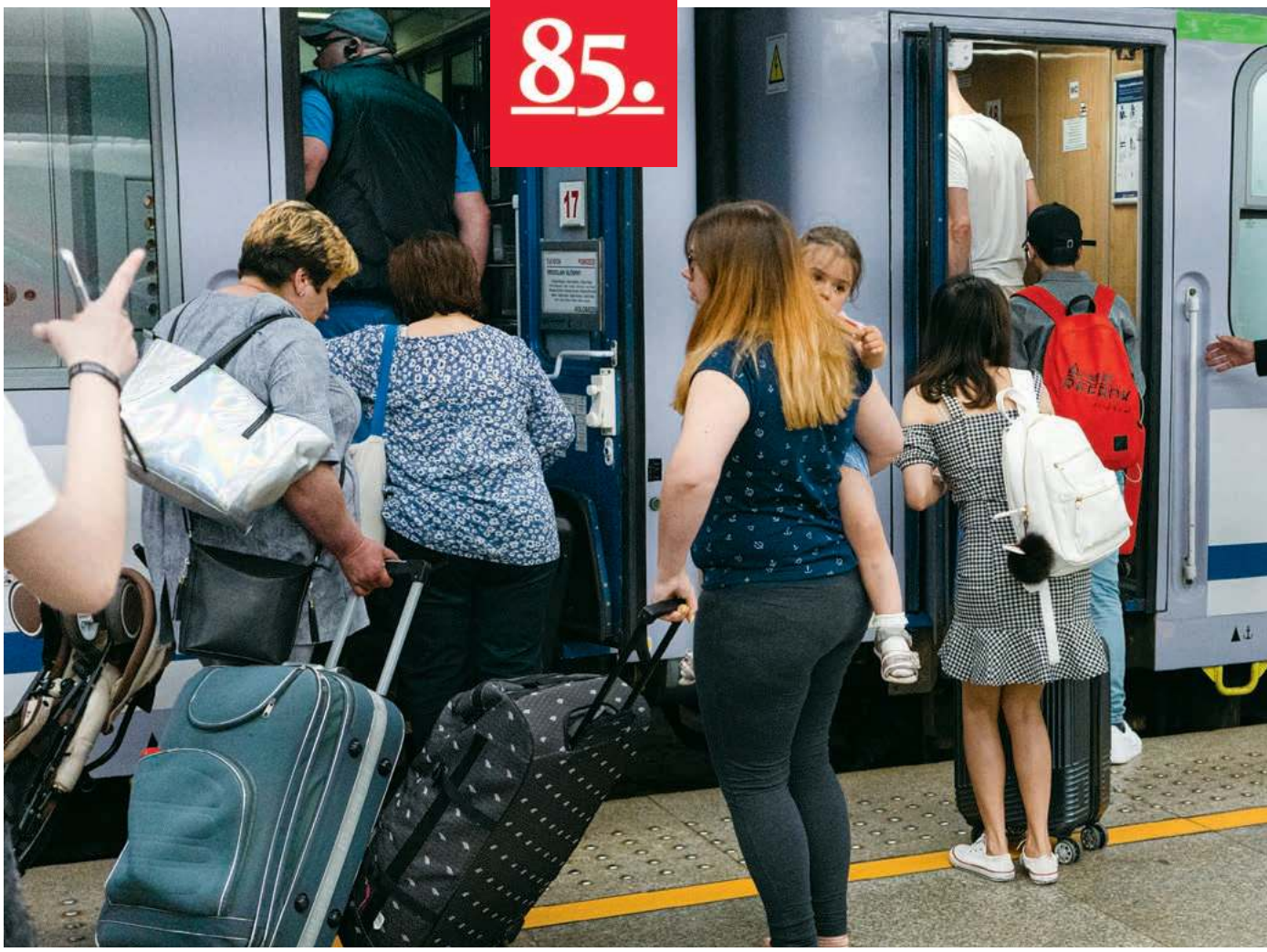

GRAŻYNA MAKARA X3

Dusza w podróży

MICHAŁ OKOŃSKI

Najpierw zobaczyłem po prostu dziennikarza. Był rok 1991, w Polsce rozkręcała się zimna wojna religijna, a on przyjechał właśnie z Watykanu, by – po długich targach na linii krakowska kuria–Jan Paweł II––redakcja – objąć w „Tygodniku" stanowisko asystenta kościelnego, i niejeden z młodszych członków redakcji obawiał się pewnie, że to nie z wieloletnim współpracownikiem i następcą Jerzego Turowicza będzie miał do czynienia, tylko z jakimś pilnującym eklezjalnej poprawności cenzorem. Pilnował, owszem, poprawności, ale warsztatowej. Uczył, że dziennikarz nie klaszcze i nie klęka, np. jeśli relacjonuje mszę w trakcie papieskiej pielgrzymki. Co ważniejsze: doradzał wykreślanie przymiotników i obsesyjnie wręcz zwracał uwagę na sprawdzanie informacji w dwóch źródłach, nawet jeśli ktoś z nas po lekturze „Gazety Wyborczej" rwał się już do pisania płomiennego komentarza. Z bezwzględnym profesjonalizmem pisał na zadaną objętość i termin, także jeśli temat mu nie leżał albo wydawał się arcynudny. Z poświęcenia parafialnej sali gimnastycznej albo konsekracji biskupiej przywoził reporterskie perełki: jeśli leżący na katedralnej posadzce nominat zdążył kupić sobie fioletowe skarpetki, nie omieszkał o tym poinformować. W odkładaniu emocji na bok i przygotowywaniu tzw. „krokodyli" (chodzi o płacz krokodylimi łzami), czyli tekstów pośmiertnych tworzonych jeszcze za życia jakiejś ważnej postaci, był niedościgły.

Potem zobaczyłem księdza i uznałem, że to jego najważniejsze powołanie. Kiedy ku naszemu ubolewaniu w 1993 r. marianie wybrali go na przełożonego generalnego i na sześć lat znów przeprowadził się do Rzymu, wpadał czasem do Krakowa i zdarzało się, że u mnie pomieszkiwał. Idąc rano do kuchni, widywałem go wówczas odprawiającego mszę: przy stole, na którym wieczorem stały kieliszki z winem i talerze makaronu, tylko dla siebie i dla Tego, którego obecność przywoływał. Patrzyłem, jak odmawia brewiarz, słyszałem, jak o najróżniejszych porach dnia i nocy odbiera telefon, a potem przyjmuje kogoś na rozmowę duchową czy spowiedź i jak

Warszawa, czerwiec 2019 r.

Kraków, styczeń 2017 r.

z nieskończoną cierpliwością bierze odpowiedzialność za tych, którzy kiedyś powierzyli mu swoje sprawy. Nieraz miałem ochotę doradzić, by wysłał delikwenta do psychoterapeuty i choć trochę zadbał o własny komfort. W takich przypadkach również wytrącał zbyt łatwo przychodzące argumenty i uczył, że czasami lepiej milczeć. Wiele lat temu opowiadał mi przecież o lekcji, jaką otrzymał jako młody ksiądz, kiedy wezwano go do umierającej w straszliwych cierpieniach dziewczyny, a ona poprosiła go po prostu: „Opowiedz o Bogu dobrym", on zaś nagle uświadomił sobie, że na taką okazję nie ma w swoich zasobach duszpasterskich żadnej gotowej formułki.

Potem zobaczyłem medialną gwiazdę i – zważywszy na wszystko, co napisałem wyżej – nie nabrałem się na ten wizerunek. Zobaczyłem wiernego syna Kościoła, który w imię wierności raz dokonanym wyborom godził się na szykany, nie tracąc przy tym wewnętrznej wolności, starając się służyć temuż Kościołowi najlepiej, jak potrafi, i ani trochę się przy tym nie skarżąc. Zobaczyłem w tym także wiernego syna swoich rodziców, o których zaczął w końcu, namówiony przez Annę Goc, opowiadać. Zobaczyłem chłopca, któremu zawala się świat: któremu naziści zabijają ojca, któremu komuniści odbierają bezpieczny dom, który, po ludzku patrząc, traci wszystko. Który – on, dziecko wychowane w pałacu – po nocach z bratem i mamą napycha trocin do pomarańczowocielistych korpusów lalek, wcześniej wyciętych przez mamę („nauczyłem się czegoś ważnego – bierze się pracę, jaka jest, i wykonuje się ją najlepiej, jak to możliwe..." – powie po 70 latach, dodając jednak, że do dziś nie znosi zapachu trocin). I teraz myślę sobie, że nic tak naprawdę nie wiem o Adamie Bonieckim.

Zdanie, jakie zapamiętałem? Znalazłoby się ich sporo, nie tylko o strojach, jedzeniu, fajce, samochodach i biskupach. Dowcipy, służące zwykle nakłuciu nadmiernie napompowanego balona. Puenty tak mordercze, że poznałem ludzi, którzy boją się przy nim odezwać. Ale też sentencje, które księża marianie, gdyby się w końcu ogarnęli, mogliby drukować na tak zwanych świętych obrazkach.

Zapewne jest tak, że w różnych okresach życia przemawiają różne jego słowa, ostatnio jednak uparcie wraca do mnie zdanie z jednej z rozmów z Anią Goc. „Trzeba mieć duszę koczownika – mówi ks. Adam Boniecki. – Rozstawiam namiot, jutro go zwijam, idę dalej". ©℗

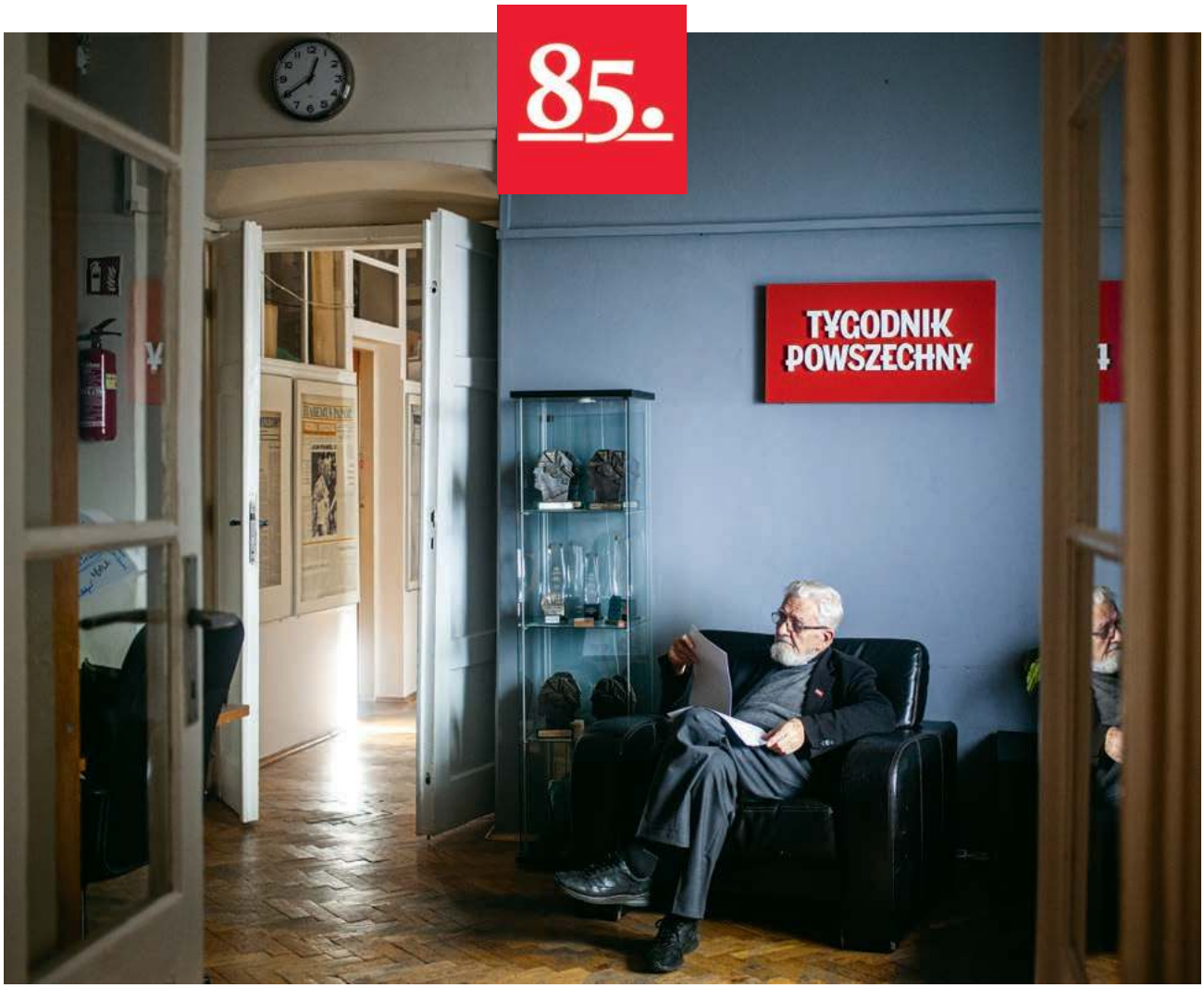

Redakcja, listopad 2018 r.

Ksiądz, który jest

ABP GRZEGORZ RYŚ

Właściwie nie pamiętam momentu, kiedy pierwszy raz spotkałem księdza Adama, choć pamiętam kilka ważnych dla mnie z nim spotkań. Nie mam też w pamięci jakiegoś szczególnego tekstu jego autorstwa – takiego, który by zapadł w moje serce tak skutecznie, bym do niego wracał, a potem cytował w swych wystąpieniach czy kazaniach. Wtedy mógłbym się od takiego tekstu odbić do napisania zgrabniej niniejszej wypowiedzi.

W pierwszym momencie wydało mi się to nawet przerażające; po jakiejś chwili dotarło do mnie jednak, że wartość i znaczenie księdza Adama nie sprowadzają się do jednej czy drugiej trafnej myśli. Rzeczywiście, ważne jest to, że ksiądz Adam jest. Jest w polskim Kościele. Jest w Krakowie. Jest w „Tygodniku". Jest przy ołtarzu i w konfesjonale u św. Floriana.

Są ludzie (i nieraz mi o tym mówili), dla których to, że jest ksiądz Adam, przekłada się na to, że również Kościół jest w ich życiu, i że bez niego Kościół nie miałby dla nich konkretnego imienia ani twarzy. To imię wrażliwości, która rodzi się z powściągliwości i dystansu (do siebie, do instytucji, do „niezmiennych" reguł), ale także z wielkiej umiejętności słuchania i współodczuwania.

Jest to też imię stanowczej wierności przekonaniom, połączonej z posłusznym milczeniem. Jest to imię nadziei na lepszy w nieodległej przyszłości Kościół, połączonej z miłością do Kościoła obecnego – takiego, jakim jest, i trwaniem w nim.

Księże Adamie, dziękuję! ©

Teksty abp. Grzegorza Rysia i Michała Okońskiego pochodzą z Wydania Jubileuszowego „85. Boniecki", dostępnego w punktach z dobrą prasą i na powszech.net/historia

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy,

Ksiądz Adam Boniecki to – nie boję się użyć tego słowa – Człowiek-legenda: duchowny odważny w głoszeniu poglądów, nieunikający tematów zasadniczych czy niewygodnych, zasłużony na polu wielośrodowiskowego dyskursu filozoficzno-etycznego i teologicznego. Działalnością autorską i redaktorską osiągnął pozycję niekwestionowanego Autorytetu. Obecność Księdza w przestrzeni publicznej to mocny, osobisty ślad pozostawiony w takim samym stopniu w służbie społeczeństwu, jak i Bogu.

W bieżącym roku zbiegło się kilka ważnych dla Księdza Adama Bonieckiego rocznic, w tym ta najważniejsza: 85. urodziny, przypadające na dzień 26 lipca, a także – między innymi – 20-lecie przejęcia sukcesji po Jerzym Turowiczu na stanowisku redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego". Ta niecodzienna koincydencja faktów ma swoją wymowę: potwierdza wyjątkowość osoby Księdza Adama Bonieckiego.

W imieniu wspólnoty akademickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego przekazuję Księdzu Adamowi życzenia dobrego zdrowia, niezmiennej pogody ducha i sukcesów na wszelkich polach. Serdecznie dziękuję za życzliwą sympatię dla społeczności Uniwersytetu Jagiellońskiego i dla mnie osobiście, o wzajemności której zapewniam. Dziękuję za odwagę tak w myśleniu, jak i w głoszeniu swoich poglądów, za szczerość i ogromną otwartość na świat, Europę, Polskę, a przede wszystkim – na człowieka. Wszystkiego najlepszego!

Prof. dr hab. med. Wojciech Nowak

Kraków, 24 lipca 2019 roku

Drogi Księże Adamie,

Zbliżający się jubileusz to powód do wielkiej radości i podziękowań.
Podziękowań za słowo, które co tydzień mamy przyjemność czytać w edytorialach.
Słowo, które nieraz porusza tematy trudne, bolesne, wstydliwe, ale i takie,
które ukazuje, jak wielkim szacunkiem i z jak wielką radością podchodzi Ksiądz do życia.
Jest Ksiądz dla nas wzorem do naśladowania.

Księże Adamie, życzymy wielu łask Bożych na kolejne lata.
Ad multos annos!

Firma GEERS Dobry Słuch

PARTNERZY WYDANIA JUBILEUSZOWEGO 85. BONIECKI

BLANKA NIE BĘDZIE OSTATNIA

Czy śmierć dziewięciomiesięcznej dziewczynki z Olecka to tragiczny błąd systemu pomocy społecznej, czy także memento dla polityków i urzędników, którzy dobro dzieci składają na ołtarzu ideologicznych fantazji o rodzinie?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ta wywietrzała już medialnie historia nie była pierwsza. Pamiętacie 3,5-letniego Tomka z Grudziądza? Konkubent matki bił go, zamykał w piwnicy. Gdy chłopiec trafił do szpitala, było za późno. A ośmiotygodniową Lenkę z Płońska, którą rodzice katowali od urodzenia? Dziecko było duszone, zrzucane z wysokości. Do szpitala trafiło z obrażeniami czaszki, złamaniami żebra. Może został wam w pamięci trzymiesięczny chłopiec z Elbląga? Połamane kości, stłuczenia twarzy. Podejrzany: ojciec. A wyrzucony przez matkę z okna dwulatek z Woźnik (przeżył)? Miesięczna dziewczynka zostawiona na polu w Radziejowie (nie przeżyła)?

Jeśli zapomnieliście o tych historiach, trudno się dziwić. Żyją w mediach po kilka dni, tydzień. Ale ta opowieść jest o czymś poważniejszym niż krótka pamięć mediów. Traktuje o amnezji państwa.

Jak katastrofa samolotu

W Olecku było tak.

Kilka tygodni po narodzeniu Blanki sąd – na wniosek Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej – podejmuje tymczasową decyzję o odebraniu dziecka i umieszczeniu go w rodzinie zastępczej. Powód? Sygnały o dziwnym zachowaniu matki: kobieta miała wędrować po ulicy i proponować ludziom oddanie dziewczynki. Miała też przyjmować substancje psychoaktywne. O przemocy nie było mowy.

12 marca sąd kończy postępowanie. Decyzją o powrocie sześciomiesięcznego już dziecka do rodziny. „To był zgodny wniosek stron: dyrektora Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, jak i rodziny zastępczej" – powie TVN24 rzecznik sądu w Suwałkach. Powód? Zachowanie matki się poprawiło, poszła na leczenie, więc „wszyscy uznali, że trzeba dać rodzinie szansę".

Po 12 marca dom odwiedza kurator. A sąd dostaje sprawozdania: wszystko na dobrej drodze, śladów przemocy brak. Rodzina podlega też kontroli pracownika socjalnego.

22 czerwca dziewczynka umiera. Sekcja zwłok wykaże krwotok wewnętrzny i uszkodzenie mózgu jako przyczynę śmierci. A także: obrażenia głowy, klatki piersiowej, płuco przebite żebrem. I ślady molestowania.

Ruszają dwa dochodzenia. Pierwsze w sprawie okoliczności śmierci. Drugie ma sprawdzić, czy instytucje – MOPS, PCPR, sąd, policja – wypełniały prawidłowo czynności.

W sprawie śmierci dziewczynki głos zabierają politycy. Zbigniew Ziobro domaga się „bardzo surowej i stanowczej reakcji", w wywiadzie dla Wirtualnej Polski pada nawet z jego ust stwierdzenie o wyroku bezwzględnego dożywocia.

Głos zabierają organizacje pozarządowe. „Nie chcemy, by kolejne dziecko zostało zabite" – pisze Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, wysyłając do prezydenta petycję z apelem o „wprowadzenie prawnie obowiązującej procedury analizowania okoliczności wszystkich przypadków maltretowania dzieci – w szczególności (...) ze skutkiem śmiertelnym. To kluczowa procedura, stosowana w wielu krajach, określana jako Serious Case Review lub Child Death Review. Jej wprowadzenie pozwala na zidentyfikowanie dysfunkcji systemu".

Systemu, bo jak tłumaczy „TP" prezeska DDS Monika Sajkowska, po każdej podobnej tragedii powstają lokalne diagnozy, raporty, wnioski. – Tyle że nigdy się ze sobą nie „spotykają" – mówi Sajkowska.

I dodaje: – Zajmujemy się problemem przemocy wobec dzieci od ćwierćwiecza, wydajemy co kilka lat raport „Dzieci się liczą" o zagrożeniach bezpieczeństwa i rozwoju dzieci w Polsce, i za każdym razem widzimy, jak dziurawy jest to obraz, do jak wielu danych nie ma dostępu. Nawet wiele informacji wiktymologicznych, dotyczących najbardziej drastycznych przestępstw, to statystyki ogólne, bez wyszczególnienia wieku ofiary. W wielu krajach służby ochrony dzieci prowadzą systemowe badania. U nas nie.

– Po Olecku przypomniała mi się też głośna, ale tylko pozornie podobna historia z Wysp – mówi Anna Krawczak, przewodnicząca Stowarzyszenia Nasz Bocian, członkini Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW. – Gdy pracownica pomocy społecznej przyszła z wizytą do jednej z rodzin, dziecko było w stanie agonalnym. Ale tego nie zauważyła, bo mama, chcąc ukryć ślady przemocy, wysmarowała buzię dziecka czekoladą. Pokłosiem historii była gruntowna analiza, solidne *case review*. W Polsce czegoś takiego się nie praktykuje.

– Takie tragedie można porównać do katastrof lotniczych – dodaje Piotr Rydzewski, w łódzkim MOPS zastępca dyrektora ds. opiekuńczych. – Rzadko samolot spada, bo pomyliła się jedna osoba. To zawsze ciąg zdarzeń. A sposób badania katastrof jest często podawany jako wzorzec „samoleczącego" się systemu: każdy kolejny wypadek przynosi wnioski, w efekcie niemal nigdy nie zdarzają się wypadki podobne. Z polskim systemem ochrony dzieci jest na odwrót. W przypadku Olecka też pewnie tak będzie. Winny zostanie wskazany i publicznie „rozstrzelany". A potem wszystko będzie jak dawniej.

Asystent widmo

Wątpliwe np., by ktoś serio potraktował list, jaki po tej tragedii wysłała do władz Polska Federacja Związkowa Pracowników Socjalnych i Pomocy Społecznej. O skandalicznych warunkach pracy („niskie uposażenia, niski poziom bezpieczeństwa"), w ramach których jeden pracownik prowadzi średnio 70 rodzin. Aż jedna piąta gmin nie spełnia ustawowego standardu jednego pracownika na dwa tysiące mieszkańców bądź na 50 rodzin pod opieką. Do tej jednej piątej, jak przyznaje w rozmowie z „TP" kierowniczka MOPS Edyta Truszczyńska, należy także Olecko.

W liście Federacji można znaleźć i takie zdanie: „(...) realia tworzone nam przez decydentów dalekie są od możliwości efektywnego niesienia pomocy najmłodszym".

– „Uciekają" nam dzieci najmniejsze, te do trzeciego roku życia – ocenia Monika Sajkowska. – Czyli najbardziej narażone na przemoc, bo po pierwsze bezbronne, a po drugie niefunkcjonujące jeszcze w otoczeniu instytucji takich jak przedszkole czy szkoła. Nie mamy w Polsce systemu diagnozowania ryzyka, w który wprzęgnięta byłaby np. ochrona zdrowia. W wielu systemach na świecie takie ewaluacje się robi. U nas dziecko trafia na „radary" dopiero, gdy dzieje się coś złego.

To też efekt słabości asystentury rodziny, powołanej kilka lat temu po to, by przy zagrożonych rodzinach byli pomocnicy: nie wypełniający papiery, ale towarzyszący im w codziennym życiu, aż do czasu ewentualnego usamodzielnienia. Ustawowym umocowaniem asystentów szczyciła się poprzednia władza, obecna chwali się rozwojem tej instytucji. „W 2018 r. zatrudnionych było ponad 3,9 tys. asystentów – czytamy na stronie Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki ↦

GETTY IMAGES / MONTAŻ „TP"

Społecznej. – Z ich usług skorzystało 45 483 rodziny (...) W stosunku do 2017 r. oznacza to znaczny, bo 18,2 proc., wzrost".

Ale rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Widać to gołym okiem także w Olecku. Gdy pytam szefową MOPS-u o tę część działalności Ośrodka, nie kryje zdziwienia. – Wszyscy pytają, kiedy zostanę zwolniona – mówi. – A ja odpowiadam, że gdyby to miało zwrócić życie dziecku, to nawet dzisiaj.

– Ilu jest u was asystentów?

– Jeden. A gmina ma 22 tysiące mieszkańców... Zgodnie z ustawą asystent może pracować maksymalnie z 15 rodzinami. Wchodzi do domu, gdy rodzina wyraża na to zgodę. Pracuję w ośrodku od dwóch lat. I od dwóch lat zgłaszam, że jeden asystent to za mało.

– Rodzina Blanki miała asystenta?

– Nie miała. Pracownik socjalny proponował jego przydzielenie, ale matka nie wyrażała zgody – twierdzi kierowniczka.

Co mógł zrobić MOPS? W tej sprawie niewiele, bo służby nie mogą nakładać na rodziny obowiązku współpracy z asystentami. Takiego obligu nie musiał też nałożyć na matkę dziewięciomiesięcznej dziewczynki sąd. I nie nałożył.

Alina Prusinowska-Marek, doktorantka Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych UW, a także zawodowa kuratorka sądowa, przebadała rok temu szczegółowo polski system pieczy zastępczej. Pierwsza rekomendacja, jaką stawia w raporcie dla Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości, brzmi: wprowadzenie zmiany w praktyce orzekania, polegającej na nałożeniu „na rodziców dziecka umieszczanego w pieczy obowiązku współpracy z asystentem rodziny".

System wydmuszka

Ale nawet gdyby taki obowiązek istniał, Olecko miałoby problem z jego spełnieniem. – W tej chwili nasz jedyny asystent ma 15 rodzin – przyznaje kierowniczka MOPS-u. – Gdybyśmy mieli sygnał, że jest taka potrzeba w przypadku tej rodziny, musielibyśmy rozważać, która z rodzin już objętych wsparciem jest najmniej potrzebująca...

Truszczyńska dodaje, że problemem jest nie tylko niedobór asystentów. – Powinniśmy mieć psychologa, przydałby się terapeuta uzależnień. U nas jest tak naprawdę tylko pracownik socjalny, od którego wymaga się bycia prawnikiem, psychologiem i lekarzem.

PIOTR RYDZEWSKI:

W Łodzi przydałoby się dwa razy więcej sędziów. Państwo nie rozumie, że to wpływa na życie najbardziej bezbronnych obywateli.

Ostatnia wizyta służb w domu Blanki? 7 czerwca, a więc 15 dni przed śmiercią dziecka. Czy gdyby przy rodzinie był asystent, do tragedii by nie doszło? Na to pytanie nikt nie da jednoznacznej odpowiedzi.

Jedno jest pewne: niedobór asystentów to nie tylko problem Olecka. – Brakuje ich niemal wszędzie – mówi Piotr Rydzewski z łódzkiego MOPS-u. – Ustawa wprowadziła tę funkcję, ale nie dano na ten cel dodatkowych pieniędzy. W Łodzi dysponujemy w sumie 29 asystentami. Potrzeby szacuję na stu: wtedy poczułbym się bezpiecznie.

Jak to się ma do sytuacji w całej Polsce? – Asystentura funkcjonuje dobrze tam, gdzie jest finansowana z różnych źródeł, nie tylko tych ministerialnych – mówi dr hab. Izabela Krasiejko z Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego w Częstochowie, współtwórczyni podstaw metodycznych dla asystentów. – To np. Ostrołęka, Częstochowa, Gdynia. Ale są też miejsca, gdzie asystenci są przeciążeni. Mają pod opieką po 15 rodzin, co jest absolutnie zbyt dużą liczbą, zwłaszcza że wiele z nich to rodziny wielodzietne. W dodatku rola asystenta bywa inaczej rozumiana, niż zakładał ustawodawca: jest traktowany jak kolejny pracownik socjalny, więc wykonuje typowo urzędniczą pracę. Są też gminy, gdzie asystentów nie ma, choć jest ich już coraz mniej.

Generalnie – ocenia badaczka – dobrze nie jest: wyszkolona wiele lat temu kadra zderza się z wymaganiami ponad miarę, w zamian dostając minimum. – Do niskiego uposażenia dochodzi problem wypalenia – mówi Izabela Krasiejko. – Frustracja jest bardzo duża, a jej efektem bywa brak stabilności systemu. W niektórych miejscach fluktuacja asystentów sięga 50 procent rocznie.

– Jako kuratorka stykam się z małymi, wiejskimi gminami – dodaje Alina Prusinowska-Marek. – Tu albo asystenta nie ma, albo jest, ale zatrudniony okresowo, np. od maja do grudnia. Trudno w tych warunkach o stabilną i przynoszącą efekty pracę z rodziną.

Rodzina sztandar

Być może także z tego powodu w ponad połowie przypadków pierwszą interwencją sądu jest (jak wykazała w badaniach Alina Prusinowska-Marek) decyzja o odebraniu dziecka z rodziny i umieszczeniu go w pieczy zastępczej. Tak było w przypadku Blanki z Olecka.

Podobnych decyzji podejmuje się w Polsce rocznie ponad tysiąc. Statystyki stoją właściwie w miejscu, a część polityków i publicystów prawicy przekonuje, że w Polsce odbiera się dzieci „za biedę". Liczba sądowych interwencji nie spadła znacząco nawet po noweli Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, do którego dodano passus wprost zakazujący ograniczania praw rodzicielskich ze względu na sytuację materialną rodziców.

Problem ten tak naprawdę nigdy nie istniał: badania akt sądowych (prowadzone przez dr. Macieja Domańskiego, zaprezentowane w raporcie dla IWS) pokazały, że bieda jest tylko jednym ze współistniejących problemów zagrożonych rodzin – zwykle obok alkoholu i przemocy. Partia rządząca nadal trzyma jednak ideologiczny kurs „na ochronę polskich rodzin". W projekcie nowelizacji ustawy regulującej pieczę zastępczą rząd umieścił przepis zachęcający finansowo gminy, by ich służby jak najszybciej doprowadzały do reintegracji rodzin.

Trzeba też pamiętać, że kontrowersyjne rozstrzygnięcia zapadają i na korzyść, i na niekorzyść biologicznych rodziców. – Pamiętam sprawę, która zaczęła się od tego, że ojciec z matką świętowali dziesiątą rocznicę ślubu. Zaprosili do domu ojca chrzestnego dziecka, by się nim zaopiekował. Impreza była głośna, ktoś wezwał policję. Funkcjonariusze ustalili, że matka z ojcem są pijani, a chrzestny nie ma formalnie prawa do opieki. Dziecko na kilka miesięcy wylądowało w placówce – wspomina Piotr Rydzewski z łódzkiego MOPS-u.

Ale od kilku lat donośniej wybrzmiewają głosy takie jak ten z listu Federacji Pracowników Socjalnych, która po tragedii w Olecku alarmowała, że nastąpiło w Polsce „realne zachwianie równowagi w dążeniu rządzących do pozostawienia dziecka w rodzinie biologicznej

a potrzebą ochrony jego życia i zdrowia". I przytaczała dane: coraz mniej dzieci trafia do pieczy zastępczej, za to coraz więcej wraca do rodzin.

Anna Krawczak przywołuje głośną historię Nikoli, którą matka pod wpływem alkoholu wykąpała we wrzątku: – Sąd podjął decyzję, że dziewczynka wróci do mamy. A wkrótce przedstawiciel służb zastał tę kobietę nietrzeźwą.

– Znam historię dziecka, którego matka została pozbawiona praw rodzicielskich z powodu przemocy, a dziecko było już w kontakcie z rodziną adopcyjną – wspomina z kolei Anna Wójcik, kierowniczka sosnowieckiej filii Wojewódzkiego Ośrodka Adopcyjnego. – Kobieta postanowiła jednak o dziecko zawalczyć. Wynajęła adwokata, wygrała. A potem dziecko trafiło znowu do placówki, bo było bite.

Jeszcze częstszy typ spraw to te, które toczą się przez lata, pozostawiając status prawny dzieci w zawieszeniu. Wójcik przytacza dwie takie historie. Pierwsza: służby odbierają matce dzieci. Gdy sprawa jest jeszcze w toku, kobieta rodzi kolejne dziecko. Podczas widzeń jedno z dzieci – z traumą przemocy – wpada na widok matki w stupor, nie ruszając nawet powieką. Po kilkunastu miesiącach sąd odbiera kobiecie prawa rodzicielskie. Historia druga: upośledzenie matki, fatalne warunki w domu, trójka dzieci. Jeden z synów jest tak zaniedbany, że po wstaniu załatwia się za łóżkiem. Sąd odbiera matce prawa, ale i tu postępowanie się przeciąga, mimo że rodzice „nie rokują".

Dziecko krążownik

Jedną z przyczyn jest przeciążenie sędziów. – Dzwonię do sądu rodzinnego, proszę o szybkie rozpatrzenie wniosku o pozwolenie na adopcję dziecka, które przebywa w rodzinie zastępczej z dziesiątką dzieci – opowiada Anna Wójcik. – Słyszę: „Jeśli nie kisi się w beczkach, to proszę nie dzwonić. Mam tu dzieci bite, maltretowane, wobec których muszę podjąć szybkie decyzje". Tak jest w niemal każdym sądzie, z którym się kontaktujemy.

– Np. w sprawach cywilnych to nie jest wielkim problemem – zauważa Piotr Rydzewski. – Ale dla dziecka, które czeka na werdykt miesiącami, czyli czasami przez połowę życia, problem jest. W Łodzi przydałoby się dwa razy więcej sędziów. Nie ma ich, bo państwo nie rozumie, że to wpływa na życie najbardziej bezbronnych obywateli.

ANNA KRAWCZAK:

Dziecko jako podmiot nigdy nie było bohaterem ani polskiego prawa, ani polskiej myśli w polityce społecznej.

W Olecku nie to jednak było problemem. Przeciwnie: decyzję w sprawie Blanki sąd podjął błyskawicznie. Alina Prusinowska-Marek zwraca uwagę na sprawy, w których właśnie dłuższy namysł może okazać się dla dzieci korzystny: – Sama jako kurator odebrałam ósemkę z jednej rodziny. Oboje rodzice pili, matka nawet w ciąży. Teraz zgłosili się na terapię. Tragedia z Olecka wzmacnia mnie w przekonaniu, że jak ta mama nie ukończy leczenia odwykowego, to nie może być nawet mowy o powrocie dzieci.

Problem czasu jednak istnieje: Alina Prusinowska-Marek ustaliła w swych badaniach, że średni okres pobytu dziecka w pieczy zastępczej w Polsce to trzy lata i siedem miesięcy. W systemie – podkreślmy – z założenia tymczasowym, służącym podjęciu pracy z biologiczną rodziną, by sprawdzić, czy możliwy jest powrót, czy też konieczna będzie adopcja.

Ustawowo ten okres oczekiwania nie powinien przekraczać 18 miesięcy. Ale często przekracza. – Przyczyna leży w legislacyjnym błędzie – nie ma wątpliwości Prusinowska-Marek.

Chodzi o to, że wniosek o uregulowanie sytuacji prawnej, jaki po 18 miesiącach trafia na wokandę, sędziowie traktują niezgodnie z intencją ustawodawcy, któremu zależało na tym, by dziecko jak najszybciej trafiło do adopcji lub – jeśli to możliwe – wróciło do biologicznych rodziców. Jednak dla sądów „uregulowanie" sytuacji prawnej dziecka to każda decyzja; także o ograniczeniu praw rodzicielskich, w praktyce oznaczająca dalszy pobyt w pieczy zastępczej.

Stąd m.in. mogą wynikać spadające w Polsce od kilku lat statystyki orzeczonych adopcji: z około 3 tys. w latach 2012-15 do niespełna 2,5 tys. w roku 2017. Ale nie tylko stąd. – Jest spora liczba dzieci, które nie doczekały się adopcji, mimo że ich rodziców pozbawiono praw – mówi Prusinowska-Marek. – Przyczyna to brak kandydatów do przysposobienia dzieci chorych czy starszych, które trafiały we wcześniejszych latach do adopcji zagranicznych. Obecny rząd je niemal zlikwidował.

Historie dzieci zgłoszonych do procedury adopcyjnej, którym odmówiono wyjazdu, opisaliśmy w „TP" pół roku temu. Krążą po polskich – opiekuńczych i leczniczych – instytucjach. Podwójne ofiary: najpierw swoich biologicznych rodziców, później systemu, który przyjął zasadę: rodzina polska albo żadna.

Dziecko przedmiot

– Dziecko jako podmiot nigdy nie było bohaterem ani polskiego prawa, ani polskiej myśli w polityce społecznej – uważa Anna Krawczak. – PiS nazwało tylko coś, co tkwi w naszej kulturze od dawna: że znaczenie ma głównie rodzina. Jesteśmy bodaj jedynym krajem, który paradygmat rodziny i praw dziecka opiera na dokumencie z 1964 r., czyli na Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym. Był wielokrotnie nowelizowany, ale myśl przewodnia jest nienaruszona.

Wystarczy prześledzić prawniczo-urzędniczą nomenklaturę. Na straży praw dziecka stoją m.in. ustawa oraz kodeks z „rodziną" – i bez „dziecka" – w nazwie. W ośrodku pomocy społecznej czeka „asystent rodziny", w wielu powiatach zaś: centrum pomocy... rodzinie. Do rangi symbolu urastają poddane frontalnej krytyce starania poprzedniego rzecznika praw dziecka Marka Michalaka, by w Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym zmienić zapis o „władzy rodzicielskiej" – na ten o „rodzicielskiej odpowiedzialności".

Ale nie o słowa tylko chodzi. – Rodzice mają prawo do adwokata z urzędu, darmowego poradnictwa w ramach OPS, dziecko nie ma reprezentanta, pełnomocnika procesowego, nie ma nawet swojego koordynatora ze strony służb społecznych – mówi Anna Krawczak. – W tym systemie są reprezentowani dorośli.

Czy ten panujący od lat klimat wpłynął na los dziewięciomiesięcznej Blanki z Olecka, trudno powiedzieć. Pewne jest, że system, w którym prawa dziecka schodzą na plan dalszy, przyniesie tragiczny plon jeszcze nieraz. A niemal pewne – że i wtedy zostaniemy z garścią apeli o „surowe ukaranie winnych".

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Tysiąc złotych dla każdego

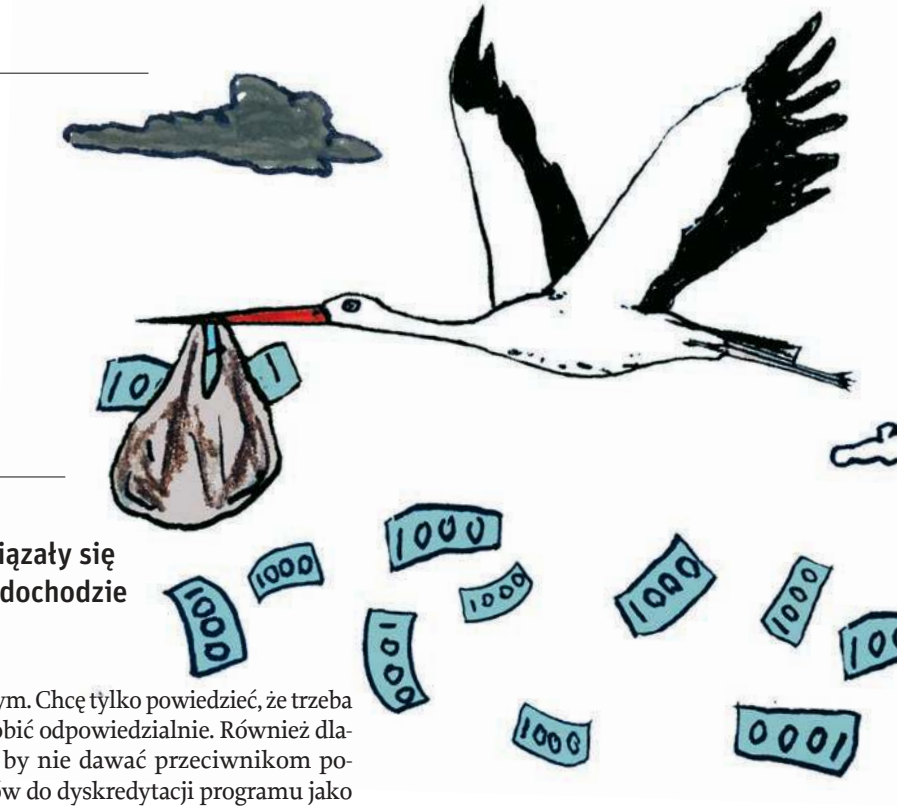

MACIEJ SZLINDER, SOCJOLOG I EKONOMISTA, CZŁONEK ZARZĄDU LEWICY RAZEM:

Powodzenie programu 500 plus złamało wiele psychologicznych oporów, które wiązały się z „rozdawaniem" pieniędzy. Rozmowa o dochodzie podstawowym będzie teraz łatwiejsza.

RAFAŁ WOŚ: Czy bezwarunkowy dochód podstawowy – zwany w skrócie BDP – to realny scenariusz dla Polski?

MACIEJ SZLINDER: Tak, bez najmniejszej wątpliwości.

Jakiej powinien być wysokości?

Powinien zapewniać egzystencję na godziwym poziomie. W dzisiejszych polskich warunkach to by było jakieś 1000–1100 złotych. Czyli mniej więcej wysokość tzw. minimum socjalnego.

„Tysiąc złotych dla każdego" albo „Tysiąc plus". Brzmi dobrze. Więc dlaczego tego nie ma?

Przeszkody są dwojakiego rodzaju. Jeden zestaw to problemy polityczne. Drugim są opory psychologiczne.

Zacznijmy od tych politycznych. W czym problem?

Dochód podstawowy to jest jednak duży wydatek publiczny. Takich rzeczy nie da się odpalić z dnia na dzień. Przypomnijmy sobie PiS, który w 2015 r. zdobył samodzielną większość i miał determinację polityczną, by szybko wdrożyć program 500 plus. Nawet oni przestraszyli się jednak fiskalnych konsekwencji i z obietnicy 500 złotych na każde dziecko zrobiło się 500 złotych od drugiego. Dopiero po trzy i pół roku zdecydowali się rozszerzyć program na wszystkie dzieci. A przecież to wydatek znacznie mniejszy niż potencjalne tysiąc złotych dla każdego.

Czyli nie da się?

Da się. Tu i teraz dałoby się w Polsce rozpocząć przygodę z dochodem podstawowym. Chcę tylko powiedzieć, że trzeba to zrobić odpowiedzialnie. Również dlatego, by nie dawać przeciwnikom powodów do dyskredytacji programu jako „nieprzygotowanego" czy „szaleńczego". Taki wydatek wiąże się z koniecznością podwyżki podatków.

Zdaniem wielu to pewnie zamyka dyskusję.

Przecież akurat w Polsce jest przestrzeń na wyższe podatki. Zwłaszcza jeśli będzie to taka zmiana filozofii podatkowej, która mocniej sięgnie do kieszeni bogatych i będzie czerpać ze zakumulowanego kapitału, którego już trochę w Polsce mamy. Takich reform nie da się zrobić szokowo – potrzeba paru lat, by dać gospodarce i społeczeństwu szansę dostosowania. Jednocześnie należy zaprojektować wiarygodną drogę dojścia do dochodu podstawowego. Istnieją w zasadzie trzy takie drogi. Pierwsza jest taka, że najpierw do gry wchodzi mniejsza kwota – taka, na jaką nas aktualnie stać biorąc pod uwagę finanse publiczne. A potem tę kwotę podwyższamy. Druga droga to wejście od razu z pełnym świadczeniem, ale połączonym z jakimś rodzajem kryterium dochodowego. Cały czas przy założeniu, że zostanie on stopniowo rozszerzony w kierunku programu powszechnego.

Wydaje się, że mieszankę dróg pierwszej i drugiej zastosował PiS w przypadku 500 plus. Najpierw 500 na drugie dziecko. A teraz już na każde. A jaka jest trzecia droga?

To pomysł, by dochód podstawowy wprowadzać w społeczeństwie stopniowo przez różne grupy wiekowe. Moim zdaniem to jest pomysł najlepszy, bo najmniejsze jest ryzyko, że wyjdzie nam porzucona reforma, która niczego nie zmienia.

Jak by to działało?

Zaczynamy od wprowadzenia tysiąca złotych dla każdego w wieku 18–25 lat. Mamy takie świadczenie w Karcie Rodziny będącej elementem programu Lewicy Razem. Można to reklamować jako rodzaj „startera" w dorosłe życie. Uwolnienie rodziców i dziadków od konieczności finansowania studiów dzieci. A dla młodych uwolnienie od konieczności pracy w trakcie studiowania. Proszę zwrócić uwagę, że ten tysiąc dla młodych to również domykanie systemu. Rodzaj cegiełki ustawionej obok programu 500 plus, który działa do 18. roku życia.

A pozostałe grupy wiekowe?

Spójrzmy na społeczeństwo od strony osób najstarszych. Tutaj można domykać system poprzez mechanizm emerytury obywatelskiej. Oczywiście wyższej niż tysiąc złotych. Powiedzmy 2000 zł dla każdego – niezależnie, co znajduje się na jego kontach emerytalnych w ZUS. Oczywiście do tego każdy może sobie odkładać, ile chce i jak chce. Z systemem emerytalnym jest ten problem, że reformuje się go w niezwykle długim horyzoncie czasowym – ze względu na prawa nabyte tych osób, które już dziś uczestniczą w syste-

PATRYK SROCZYŃSKI

mie. Ale kierunek na emeryturę obywatelską można obrać w każdej chwili.

Czyli ludzi poniżej 26. roku życia i 65+ mamy zabezpieczonych. A pozostali?

Można sobie wyobrazić program dochodu podstawowego dla osób w wieku 55–65 lat, który by przygotowywał do emerytury. Taki mechanizm rozwiązywałby też problem, który mamy z wiekiem emerytalnym. A który zakłada, że jest jeden uniwersalny moment, w którym ludzie powinni się z pracą zawodową żegnać. Chęć i gotowość emerytalna zależą od człowieka i typu pracy, jaką wykonywał. Przedemerytalny dochód podstawowy dawałby ludziom mniej więcej dziesięć lat na stopniowe schodzenie z pełnego etatu bez ryzyka pauperyzacji i związanego z tym poczucia życiowej porażki.

To domykanie systemu, o którym mówię, da się zrobić od razu. To znaczy program dla młodych i dla osób 55+ można przeprowadzić w czasie jednej kadencji rządu. Wprowadzenie pełnego dochodu podstawowego dla wszystkich to raczej perspektywa 10–12 lat, bo tyle mniej więcej potrzeba na zmianę filozofii podatkowej. Do tego niezbędne są albo dosyć długie rządy przychylnej dochodowi podstawowemu siły politycznej, albo rodzaj społecznego konsensu, że kierunek jest słuszny.

Widzi Pan szanse na takie porozumienie?

Tutaj dochodzimy do blokad psychologicznych, nierzadko głębokich. To na przykład przekonanie, które łatwo napotkać u wielu ludzi, że wynagrodzenie bez obowiązku świadczenia pracy jest niemoralne. Z tym da się dyskutować, chętnie przedstawię za chwilę argumenty. Chciałbym jednak zacząć od tego, że dziś Polska jest bliżej dochodu podstawowego, niż była kiedykolwiek wcześniej.

Z powodu 500 plus?

Tak. Powodzenie tego programu złamało wiele psychologicznych oporów, które wiązały się z „rozdawaniem" pieniędzy. Proszę sobie przypomnieć argumenty podnoszone w latach 2015-17. Jeden z nich można sprowadzić do formuły „wezmą i przepiją". Kryło się za tym przekonanie, że ludzie najsłabiej zarabiający nie umieją w sposób odpowiedzialny zarządzać swoimi pieniędzmi. Dlatego pomagać im można wyłącznie w sposób paternalistyczny: dając konkretne świadczenia rzeczowe albo warunkując pomoc odpowiednim zachowaniem.

Dane, którymi dysponujemy, nie potwierdziły tego stereotypu.

Zdecydowana większość pieniędzy wypłaconych w ramach programu 500 plus – a takie rzeczy da się mierzyć – poszła na szeroko rozumiane potrzeby dzieci: wypoczynek, lepsze zabawki, lepsze jedzenie etc. Można więc powiedzieć, że rzeczywistość ten krzywdzący stereotyp przełamała.

To tylko jeden z argumentów przeciwko 500 plus. Jest wiele innych.

To prawda. W pewnym momencie media specjalizowały się w pokazywaniu historii samotnych matek proszących swoich pracodawców, by obniżyli im nieznacznie wynagrodzenie, bo inaczej przekroczą próg dochodowy i nie dostaną świadczenia na pierwsze dziecko. Miał to być dowód na bezsens całego przedsięwzięcia. Ale taki argument nie pokazuje słabości 500 plus, lecz słabość kryterium dochodowego. Gdyby 500 plus było od początku programem powszechnym, to takich problemów by nie było. Znów ten sam wniosek: polska rzeczywistość ostatnich lat w praktyce dowiodła, że powszechne i bezwarunkowe programy socjalne mają sens. Dlatego uważam, że teraz rozmowa o BDP będzie łatwiejsza.

Wyobraźmy sobie, że udaje się pokonać wszystkie te przeszkody, o których rozmawiamy. I w końcu tysiąc złotych miesięcznie ląduje w kieszeniach wszystkich członków politycznej wspólnoty. Co się dzieje dalej?

Przede wszystkim jest to wielki program redystrybucyjny. Czyli przesuwający bogactwo od tych członków wspólnoty, którzy płacą wyższe podatki, do wszystkich. A zatem w największym stopniu do tych, co mają najmniej. Dalej pojawia się pytanie, co się z tymi pieniędzmi stanie. Ekonomiści już dawno zauważyli, że ludzie słabiej zarabiający mają wiele niezaspokojonych potrzeb konsumpcyjnych – dotyczących nie tylko rozrywek, ale też wypoczynku czy jakości spożywanych produktów. W praktyce więc, gdy w ich budżecie pojawiają się nowe środki, są one niemal na bieżąco wydawane, co przekłada się na wzrost popytu w całej gospodarce. A to z kolei zwiększa zyski przedsiębiorców i pozwala im gromadzić środki na inwestycje. Na tym przykładzie widać doskonale, że dochód podstawowy może działać prowzrostowo. To jest ta część opowieści o konsekwencjach BDP, która może łączyć interesy różnych grup społecznych. Ale to nie koniec tej historii.

Co jeszcze?

Jeśli dochód podstawowy jest odpowiednio wysoki, to pozwala on pracownikom na wzmocnienie swojej pozycji negocjacyjnej wobec pracodawcy. W tym sensie działa emancypująco, bo zmniejsza władzę i zależność człowieka od innego człowieka.

W świecie z BDP dużo łatwiej walczyć np. z mobbingiem?

Tak. Tu temat dochodu podstawowego zaczyna się robić naprawdę drapieżny i należy oczekiwać, że wielu pracodawców – czy mówiąc szerzej – przedstawicieli kapitału z tego właśnie powodu będzie dochodowi podstawowemu przeciwnych. Oczywiście nie powiedzą, że mówią „nie", bo boją się, że ich władza nad pracownikiem nie będzie już bezwarunkowa. Dużo bardziej prawdopodobne, że pojawią się inne argumenty.

Że już to przerabialiśmy za komuny albo że się skończy Wenezuelą.

Tak. Mówiąc o dochodzie podstawowym, nie uciekniemy przed tym starciem interesów.

Pana zdaniem dochód podstawowy powinien być powszechny i bezwarunkowy?

Tak.

To znaczy, że wpisanie do programu tysiąca złotych dla każdego wymogu „aktywnego poszukiwania pracy" skreśla taki program?

Tak.

Podobnie jak wyłączenie z niego średnio i lepiej zarabiających?

Poza przejściowymi fazami, o których mówiłem na początku, takie warunki i kryteria są sprzeczne z samą logiką BDP. ↦

Dlaczego?

To przekonanie płynie z doświadczeń klęski wielu współczesnych programów socjalnych. Weźmy na przykład Indie. Kraj, który ma olbrzymi problem z biedą, wykluczeniem i nierównościami. A jednocześnie w tym kraju działa około tysiąca programów pomocowych. Ale co z tego, skoro do około 20 proc. najuboższych nie dociera żaden z nich! W wielu krajach zachodnich jest podobnie. Niby istnieją tam rozbudowane programy państwa dobrobytu, a jednocześnie nierówności rosną. Coś tu nie gra.

Szwedzki ekonomista Joakim Palme nazwał to „paradoksem redystrybucji". Im bardziej programy są „zaadresowane do najuboższych", tym mniej są skuteczne.

To jest fundamentalne wyzwanie polityczne tych czasów. Dzieje się tak z wielu powodów. Programy zaadresowane tylko do potrzebujących bardzo często do nich nie trafiają, często żeby z nich skorzystać, trzeba spełnić wiele upokarzających warunków. W wielu przypadkach barierą jest psychologiczna niechęć do przyznania się – przed sąsiadami czy nawet samym sobą – że potrzebuję pomocy społecznej, co bywa odbierane jako równoznaczne z powiedzeniem „tak, moje życie to porażka". Do tego dochodzą problemy z machiną biurokratyczną: jej zadaniem jest oddzielanie tych, którym się pomoc należy, od tych, którzy nie powinni jej dostać. Na tym tle bezwarunkowy dochód podstawowy wygląda bardzo świeżo i jest wolny od wielu pułapek. Aparat, który go obsługuje, może być dużo mniejszy, a samo świadczenie nie jest uwłaczające. Uniwersalny charakter sprawia zaś, że klasa średnia nie ma wrażenia, że „ich podatki" idą tylko na „socjal", z którego oni nic nie mają. Bo przecież sami też uczestniczą w systemie BDP. Dzięki czemu wokół powszechnych świadczeń buduje się rodzaj wspólnoty.

Polskie eksperymenty z 500 plus to nie jedyne laboratorium praktycznych badań nad dochodem podstawowym. Gdzie jest najbliżej wprowadzenia takiego rozwiązania?

Na świecie są dziś trzy takie miejsca. Po pierwsze Indie. Wynika to z praktycznej potrzeby politycznej. Już wspomniałem, że istniejące programy socjalne – choć rozliczne – są w Indiach zwyczajnie nieskuteczne. Jednocześnie nie ma tam większych szans na szybką budowę sprawnej biurokracji, która by mogła udźwignąć zadania związane z klasycznym podejściem do zadań państwa dobrobytu. Co robić? Dochód podstawowy wydaje się metodą najszybszą i najskuteczniejszą. W ostatniej kampanii wyborczej do parlamentu było tak, że zarówno rząd, jak i opozycja zaczęły mówić o swoich pomysłach na dochód podstawowy. Na razie żaden z tych modeli nie spełnia oczekiwań. Ale wydaje mi się, że w ciągu 5–10 lat jakiś rodzaj BDP się w Indiach pojawi.

DAWID MAJEWSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

MACIEJ SZLINDER (ur. 1986) jest socjologiem, ekonomistą, doktorem filozofii. Prezes Polskiej Sieci Dochodu Podstawowego, członek sieci europejskiej (Unconditional Basic Income Europe) i hiszpańskiej (Red Renta Basica). Redaktor czasopisma naukowego „Praktyka Teoretyczna". Autor książki „Bezwarunkowy dochód podstawowy. Rewolucyjna reforma społeczeństwa XXI wieku" (2018). Członek zarządu krajowego Lewicy Razem.

A bliżej nas?

Szkocja. Tam BDP popiera zarówno Szkocka Partia Narodowa, jak i tamtejsza Partia Pracy. Dobrze umocowani politycznie badacze przygotowują zakrojony na szeroką skalę eksperyment dotyczący dochodu. Kolejne takie miejsce to Katalonia. Głównie dlatego, że od lat najważniejszym miejscem debaty o dochodzie jest Barcelona. Tam też trwają eksperymenty. Ciekawe jest to, że oba te miejsca to jednocześnie regiony autonomiczne, które mocno zgłaszają niepodległościowe aspiracje. Moim zdaniem można sobie wyobrazić sytuację, że przy okazji następnego przesilenia politycznego dochód podstawowy staje się tam sztandarowym projektem budującym tożsamość polityczną tych miejsc.

A eksperyment fiński? Do końca 2018 r. tamtejszy ZUS prowadził przecież takie badanie. W Polsce jego zakończenie było interpretowane jako porażka koncepcji BDP.

To nieporozumienie. Po pierwsze eksperyment fiński zamknięto nie dlatego, że coś się nie udało, tylko zgodnie z harmonogramem. A teraz trwa ewaluacja jego wyników. Po drugie eksperyment fiński nie był przesadnie ambitny. Dotyczył wąskiej grupy dwóch tysięcy osób, które wcześniej były na zasiłku dla bezrobotnych, w wieku 25–58 lat. Nie ma tu więc mowy ani o bezwarunkowości, ani powszechności. W dodatku pieniądze były niewielkie, a oferowany dochód znajdował się poniżej fińskiego progu ubóstwa.

A Włochy? Gdy Ruch Pięciu Gwiazd tworzył rząd z Ligą Salviniego, głośno było o wpisaniu dochodu podstawowego do umowy koalicyjnej. Wydawało się, że będą na tym polu europejskim pionierem.

We Włoszech doszło do połączenia dwóch dyskusji: o budowie jakiejkolwiek siatki pomocy społecznej dla osób ubogich z rozmową o dochodzie podstawowym. W konsekwencji nowy rząd wprowadził coś, co jest normalnym świadczeniem zależnym od kryterium dochodowego i pełnym warunków dotyczących zachowania. Ale nazwano to dochodem podstawowym z powodów marketingowych. Takie historie to oczywiście poważny problem polityczny. Przeciwnicy zawsze mogą przecież powiedzieć: „Włosi próbowali i co?". A na wyjaśnienia, że to nie był żaden dochód podstawowy, nie ma już zwykle ani czasu, ani okazji.

Czyli już prędzej u nas?

Wydarzeń politycznych nie da się zaplanować w sterylnym laboratorium. Można jednak przewidywać, jakie pomysły będą w grze, gdy dojdzie do następnego wstrząsu. Na przykład nowego kryzysu ekonomicznego. Dochód podstawowy na pewno będzie wówczas na krótkiej liście najbardziej gorących pomysłów na nowy społeczny ład.

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

Mnożenie przez podział

JAROSŁAW FLIS

Na nic się zdały apele o jedność opozycji. Sama negatywna ocena rządu nie okazała się wystarczającą płaszczyzną porozumienia. Dobrze byłoby osiągnąć porozumienie choćby co do tego, dlaczego tak się stało.

W polskim społeczeństwie tradycyjne terminy „prawica" i „lewica" opisują tylko problemy tożsamościowe. Prawica to ci, którzy są przywiązani do roli wspólnoty, do tożsamości narodowej i tego, jak dotąd żyliśmy. Oczekują traktowania w duchu swoistej ekologii społecznej – ludzie, jak rzadkie gatunki ptaków, mają prawo do tego, żeby inni uszanowali ich sposób życia, nie zmieniając im „ekosystemu".

W nieoczywisty sposób nakłada się na to kwestia integracji europejskiej. Najpierw była postrzegana jako wzmocnienie przynależności do kulturowego kręgu zachodniego chrześcijaństwa. Tymczasem dla wielu stała się nadzieją na przyspieszenie modernizacji, ze szczególnym naciskiem na laicyzację i „odnarodowienie". Bo naszą lewicę w horyzoncie tego podziału opisuje, generalnie rzecz biorąc, indywidualizm, rozumiany jako sceptycyzm względem wspólnoty i tradycyjnych ram życia społecznego.

Mniej emocji towarzyszy podziałowi ekonomicznemu, choć jest skorelowany ze stanem portfela. Może właśnie dlatego podlega raczej kalkulacji niż ekscytacji. Z jednej strony są ci, którzy wierzą w swobodną inicjatywę, a głównym problemem kraju są dla nich bariery urzędnicze, podatki i wysokie koszty pracy. Drudzy zwracają uwagę, że inicjatywa gospodarcza może przekładać się zarówno na kreatywność i nowe biznesy, jak i na większą przewagę pracodawcy wobec pracowników. Bieguny osi wyznaczającej ten podział mają swoje nazwy, które obie strony są skłonne używać: to liberalni *versus* solidarni. Można się zżymać, że oba te terminy weszły do naszego języka politycznego jako etykiety użyte w konkretnym celu w trakcie kampanii wyborczej, ale „przezroczysty" dziś dla nas podział lewica–prawica też miał taki rodowód i silne nacechowanie emocjonalne.

PiS buduje kadłub

Bardzo podobna liczba Polaków potrafi się odnaleźć na osi lewica–prawica i na osi solidarni–liberalni. Oba podziały są jednak od siebie niezależne. Tradycyjnie pojmowana europejska lewica to przecież ludzie lewicowo-solidarni, a typowa zachodnia prawica bazuje na elektoracie prawicowo-liberalnym. Ale żadna z tych dwóch grup nie pełni u nas roli wyraźnego bieguna. Polski podział został zdominowany przez zupełnie inną kombinację postaw: prawicowo-solidarnej oraz lewicowo-liberalnej. A wszystko stąd, że ideowe podziały nie są przejawem tego, jak kto sobie wyobraża szczęście, i mają zakorzenienie w życiowej sytuacji. Odruch wspólnotowości, czy to w gospodarce, czy w sferze obyczaju, jest typowy dla osób o niższym statusie społecznym – wspólnota stanowi oparcie w trudnych chwilach oraz źródło satysfakcji, poczucia uczestnictwa w czymś ważnym. Ci, którzy odnoszą sukcesy indywidualne, często patrzą z góry na dumę z udziału w zbiorowych sukcesach, i nie mają nic do zaoferowania tym, którzy w hierarchii statusu społecznego są niżej. Ich poczucie wyższości zderza się jednak z logiką życia społecznego: na dole jest znacznie ludniej niż na górze. Stąd na każdej z osi naszych podziałów widoczna jest nierównowaga: ludzi określających się jako prawicowi jest więcej, podobnie jak więcej jest tych solidarnych.

Zestawmy w formie wizualnej różne możliwe połączenia obu postaw (uwzględniając liczebność grup) tak, by grupy pokrewne sąsiadowały ze sobą. Tworzy się zarys narodowej nawy, z solidarno-prawicowym „kadłubem", liberalno-lewicową „nadbudówką" oraz „pokładem", wyznaczanym przez oś tradycyjnego zachodnioeuropejskiego podziału. Wyjątkowość sytuacji PiS bierze się stąd, że kieruje swoją ofertę do tych, którzy tworzą kadłub polskiej nawy, a jest to część wyraźnie największa. Kiedy do wyborców prawicowo-solidarnych dodamy wszystkich centrowo-solidarnych oraz prawicowo-neutralnych, będzie to ponad połowa Polaków.

Ideowa gorączka nie służy opozycji

Przeciwnicy obecnej władzy są znacznie bardziej zróżnicowani. Obejmują na naszej infografice nie tylko nadbudówkę, ale też pokład. Trudno zjednoczyć wyborców o tak szerokim wachlarzu samoidentyfikacji. Żeby przekroczyć połowę, trzeba nie tylko skrzyknąć tych lewicowo-solidarnych wraz z prawicowo-liberalnymi, lecz i przeciągnąć kogoś z prawicowo-neutralnych albo centrowo-solidarnych. W czasach dominacji PO taka operacja się ↦

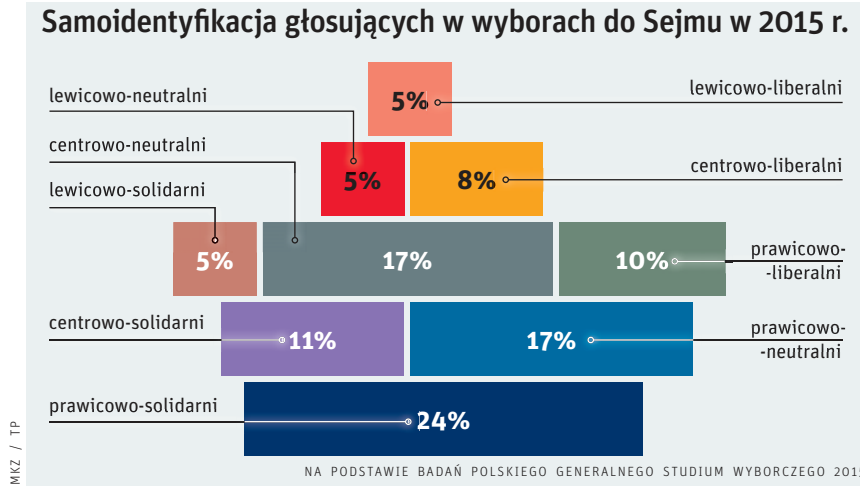

udawała, dlatego że Platforma i PSL eksponowały swoją centrowość (choćby w nazwach: obywatel, lud). Innymi słowy: szukały innej tożsamości niż ideowa.

Dlaczego jednak – pomimo tak korzystnego usytuowania – PiS długo tkwiło w opozycji, a swój sukces w 2015 r. zawdzięczało raczej błędom przeciwników niż własnej sile? Przez wiele lat było skazane na niszę, miało nad sobą szklany sufit, bo nie było w stanie osiągnąć sprawności organizacyjnej pozwalającej dotrzeć do wszystkich zasadniczo bliskich ideowo. Frustracja przekładała się na radykalny przekaz, który nie był kupowany przez bardziej umiarkowanych. Tymczasem po stronie jego oponentów przekonanie, że własne poglądy nie dominują, częściej skłaniało do ostrożniejszego ich artykułowania, do niuansowania i głoszenia z mniejszym żarem.

Napięcia po 2015 r. spowodowały jednak, że strona opozycyjna się zradykalizowała i rozemocjonowała. Także dlatego potencjalne zjednoczenie trafiło tu na dodatkowe bariery. Układanie się z umiarkowanymi i centrowymi wyborcami jest sprzeczne z oczekiwaniem zniecierpliwionych grup elektoratu ideowego. Wszelkie słabości i animozje personalne liderów wyrosły więc na silnym nawozie. Skoro wyborcy są silnie zróżnicowani, przywódcom łatwo znaleźć argumenty na uzasadnienie swoich ambicji. Dlatego plan powołania jednego ugrupowania opozycyjnego był karkołomny i wymagał wyjątkowych talentów – a takie się nie znalazły.

Wyborcy alfa

Podział opozycji na trzy listy nie jest takim dramatem jak podział z 2015 r. (wówczas było sześć list, łącznie z Kukizem). I może się okazać bardziej mobilizujący. Lewica jest najbardziej negatywnie nastawiona do PiS, więc może silniej artykułować wyraźnie przeciwstawne poglądy ideowe. Inaczej mogą też zabiegać o wyborców ci, którym w PiS przeszkadza tylko toporność i nieskuteczność w osiąganiu generalnie akceptowalnych zamiarów, jak choćby troska o rodzinę czy wzmacnianie narodowej wspólnoty. Dla nich podstawowym czynnikiem odróżniającym od partii rządzącej nie są idee, tylko styl działania. Agresywnej telewizyjnej łopatologii mogą więc przeciwstawić komunikację bezpośrednią.

Podział opozycji na trzy listy nie jest takim dramatem jak podział z 2015 r. (wówczas było sześć list, łącznie z Kukizem). I może się okazać bardziej mobilizujący.

Wedle interesujących badań socjologów z PAN, Bogdana W. Macha i Ireneusza Sadowskiego, dużo większy wpływ na decyzje wyborcze niż status czy miejsce zamieszkania mają przyjaciele, znajomi z własnego środowiska. Ci, z którymi rozmawiamy o polityce i postrzegamy jako osoby kompetentne. Takich ludzi wyznaczających zachowania innych możemy określić jako wyborców alfa. To zjawisko zapomniane przez standardowe metody badań elektoratu, bo ankieterzy pytają każdego respondenta z osobna. Ale to, że wyborca głosuje sam w kabinie, nie oznacza, że indywidualnie podejmuje decyzję. Politykowanie jest czynnością społeczną, część rozmów przeniosła się do sieci, ale część dalej toczy się w sklepach i na imieninach.

Jest to ważne w kontekście samodzielnego startu PSL, który szczególnie łowi w takich sieciach społecznych: idąc osobno, wystawi więcej kandydatów, niż uczyniłby to w koalicji, więc może przechwycić więcej centrowych wyborców. Bo każdy sensowny kandydat to także węzeł jakiejś społecznej sieci.

Skąd nadejdą miliony

Nadchodzące wybory mogą oznaczać nową jakość – tak jak niepodobne do poprzednich były zeszłoroczne wybory samorządowe i tegoroczne eurowybory. W tych ostatnich przewaga jednego bloku nad drugim była liczona w dziesiątkach tysięcy głosów. A trzeba mieć świadomość, że w wyborach sejmowych może się pojawić nawet 3,5 mln dodatkowych głosujących. Sprawia to, że dla wszystkich graczy pozostaje ogromne pole manewru, a rezerwy mobilizacyjne są znacznie większe niż dotychczasowe przewagi.

Gdyby jesienią frekwencja miała wzrosnąć do poziomu 2015 r., to przybędzie 1 mln 700 tys. nowych wyborców. Może do nich dołączyć jeszcze milion – jeśli odniesiemy się do wyborów sejmowych z 2007 r. – a większość to wyborcy z miast na prawach powiatu, czyli obszarów, gdzie łatwiej spotkać „wyborców alfa" opozycji. Jeśli jednak za punkt odniesienia wziąć wybory prezydenckie 2015 r., może się pojawić kolejny milion wyborców, ale w innym miejscu – większość w mniejszych gminach, gdzie więcej „wyborców alfa" ma PiS. Tam jednak w wyborach samorządowych PSL miał poparcie odpowiadające połowie tego, które było udziałem PiS – bardzo podobnie, jak w 2007 r. W tej perspektywie osobna lista PSL nie jest dla rządzących dobrą wiadomością.

Jak pokazały wybory samorządowe, kiedy toczyła się walka o realną władzę w gminach, nastąpiła znaczna mobilizacja przeciwników PiS. Przybyło ich choćby z powodu wszystkich lżejszych i cięższych politycznych grzechów, które rządzący mają na sumieniu. Na razie więc PiS próbuje nie dopuścić, by się to powtórzyło. Liczy, że przeciwnicy zostaną w domu – dlatego prezes zakazał swoim ludziom agresywnych wypowiedzi pod karą usunięcia z list. Pytanie tylko, czy nie jest to 44 miesiące za późno.

Nic nie wskazuje, by miało dojść do pełnej polaryzacji polskiej sceny politycznej. Nie wszyscy będą z tego powodu płakać. Nawet z czwórką partii – na co wskazują ostatnie sondaże – jesteśmy w najściślejszej czołówce krajów UE pod względem uporządkowania polityki. Tak czy owak, wynik wyborów zależy od aktywności wszystkich z nas. Niezależnie, gdzie na narodowej nawie jest nasza kajuta.

© JAROSŁAW FLIS

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, sygn. akt I Ns 468/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Mendygrał z d. Rokickiej, zm. 27 lutego 2011 r. w Garwolinie, ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ANNA

Dziewit-Meller: *Made in Poland*

Książka Elisabeth Åsbrink „Made in Sweden. 60 słów które stworzyły naród" zasadza się na bardzo prostym pomyśle – oto autorka proponuje 60 słów, zdań, cytatów, które wedle jej subiektywnego wyboru mogą składać się na „szwedzkość", czymkolwiek ona jest. Punktem wyjścia dla każdej części składowej jest zaś język – „słowa, które kształtują myśl, i myśl, która kształtuje słowa", bo, jak wielokrotnie podkreśla w książce Åsbrink – język to władza.

Autorka swoją opowieść zaczyna od Tacyta, który jako pierwszy wspomniał w swojej „Germanii" niejakich Swionów, germańskie plemię zamieszkujące tereny dzisiejszej Szwecji. Przez wieki powoływali się nań historycy i politycy żądni solidnej podwaliny narodowego mitu, konstruując swoje teorie o pochodzeniu Szwedów. Åsbrink obraca te słowa wyciągnięte z mroku historii jak złote monety ze studni i przygląda się im z zaciekawieniem, ale i powątpiewaniem. W kolejnych rozdziałach dokonuje podobnej operacji – dekonstrukcji różnych przekonań, utartych wygodnych ścieżek myślenia, osadzonych głęboko stereotypów.

Robi to opisując np. początki państwowości, tworzenie się prawa („państwo buduje się na prawie" – głosi XIII-wieczny kodeks, z którego ów cytat znajdziemy w szwedzkiej konstytucji), nieustanną rywalizację z Królestwem Danii (po zakończeniu północnej wojny siedmioletniej w Szczecinie w 1570 r. zakazano pod karą śmierci publikacji wzajemnych paszkwili, podsycających wrogość między królestwami), szwedzki XVII- i XIX-wieczny antysemityzm i jego związki z pszennym pieczywem, walkę Szwedek o równouprawnienie, rolę socjaldemokratów w rozwoju „biologii rasy", czy przeciętnego Svenssona, męża przeciętnej, statystycznie wyliczonej na podstawie danych Anny Marii Andresson, jak chce go widzieć szwedzki urząd statystyczny. A wszystko to poprzez cytaty o różnym ciężarze gatunkowym – od tekstu piosenki „Szczęśliwa ulica", napisanej przez Britt Lindenborg w 1959 r., w apogeum masowego wyburzania starej zabudowy miast pod zabudowę nową, spełniającą oczekiwania rozwijającego się społeczeństwa, przez złamane przez Szwecję podczas kolejnych konfliktów słynne „niezaangażowanie w czasie pokoju, zachowanie neutralności podczas wojny", po popularne także dziś zdanie: „w tym kraju nie można tego mówić głośno", będące według Åsbrink dowodem na zwycięstwo teorii spiskowych nad zdrowym rozsądkiem.

Znakomita „*Made in Sweden*" musi inspirować do podobnych refleksji nad wyborem słów, które możliwie, a osobliwie tworzą nasz naród. Ilu piszących, tyle wyborów zapewne. Gdybym ja miała pisać podobny wybór, nie wahałabym się rozpocząć go np. refleksją nad znaczeniem znanego każdemu dziecku cytatu z Księgi Henrykowskiej, w której rycerz czeski Boguchwał powiada do swej strudzonej robotą przy mieleniu ziaren żony „Daj ać ja pobruszę, a ty pocziwaj", czym natychmiast zasługuje sobie na miano Brukały, jako że czyn jego brukał rycerski stan, wszak pomoc babie nie przystoi mężom szlachetnym.

Możliwe, że znalazłoby się w książce i to: „Ja – z nim w zgodzie? – Mocium Panie, / Wprzódy słońce w miejscu stanie, / Wprzódy w morzu wyschnie woda, / Nim tu u nas będzie zgoda" – czyż bowiem nie brzmi świeżo i współcześnie dziś ten Aleksander hrabia Fredro? Zasługuje na miejsce w zbiorze z tym profetycznym cytatem. Wygląda na to, że my wszyscy z niego najpierw, potem dopiero z Sienkiewicza, Jana Pawła i Romana Dmowskiego. „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka" – ten ostatni otworzyłby nam ogromne pole do refleksji nad tym, co sobą przedstawiamy wszyscy razem i każdy z osobna, zwłaszcza gdyby po nim zaraz np. Korczaka, który pisze, że „im mizerniejszy poziom duchowy, bezbarwniejsze moralne oblicze, większa troska o własny spokój i wygodę, tym więcej zakazów i nakazów, dyktowanych pozorną troską o dobro dziecka".

Jeśli żywiłabym więc obawy wobec pisania takiej książki, to dotyczyłyby one raczej klęski urodzaju – jak bowiem zamknąć się w 60 kluczowych słowach, gdy co rusz nowe wpadają do zbioru? Zerknijmy pobieżnie na urobek ostatnich lat: gorszy sort, ciepła woda w kranie, przypomniani „inni szatani", miejsce w którym stało ZOMO, moherowe berety, afera taśmowa, feminazistki, homopropaganda, seksualizacja dzieci, MaBeNa, tupolewizm, niepokorni, wyklęci, przemysł pogardy, mowa nienawiści – słów i zdań, które kształtują nas dziś i odciskają się w nas wyraźnym śladem nie można pominąć, bo poprzez nie właśnie następuje bezrefleksyjna komunikacja oparta na wydeptanych ścieżkach schematycznego myślenia. Warto przyjrzeć się każdemu w sposób krytyczny i odważny. ©

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilnym w sprawie I Ns 358/18 z wniosku PROTEGAT 1 Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty z siedzibą w Warszawie z udziałem Elżbiety Kociołek prowadzi postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Marii Zegartowskiej (rod. Strach), córce Piotra i Rozalii, wdowie, zmarłej 7 stycznia 2017 r. w Jarosławiu, mającej ostatnie miejsce pobytu pod adresem Chlewiska 56, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIARA

CHWAŁY DREWNU NIE ODDAWAĆ

Kłopot mieli z nim już Wyszyński i Wojtyła, dziś dla wielu katolików jest to pytanie fundamentalne. Czy w obrazach Boga – mieszka Bóg?

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

W zakończeniu książki „Karykatury Boga" o. François Bœspflug, dominikanin, notuje: „Najgorszą moralną karykaturą Boga, najbardziej świętokradczą, która rzeczywiście zniekształca Jego obraz i której nie usprawiedliwia nic, najbardziej obraźliwe rysunki Go przedstawiające – jest zabicie człowieka, który sam jest Bożym obrazem i podobieństwem".

Czy dla wszystkich to stwierdzenie jest bezdyskusyjne? Czy rzeczywiście zniekształcenie podobieństwa Boga w żywym człowieku jest czymś gorszym od zniekształcenia podobieństwa Boga w martwym wizerunku? Obawiam się, że nie – a utwierdza mnie w tym obserwacja sytuacji w Polsce, gdzie dla wielu obraza Boga w człowieku jest wciąż „tylko" obrazą człowieka; obraza zaś wizerunku, który wyobraża Boga, jest obrazą samego Boga. A w konsekwencji – domaga się nie tylko potępienia i kary, ale także wynagrodzenia i zadośćuczynienia złożonego obrażonemu Bogu.

Wizerunek i prototyp

O statusie obrazu w Kościele napisano już wiele. Przypomnijmy jednak obowiązującą w Kościele naukę. Fundamenty dla teologii określono na soborze zwołanym w Nicei w roku 787. Ojcowie powołali się najpierw na św. Bazylego Wielkiego, który stwierdził: „Cześć oddana wizerunkowi przechodzi na prototyp", a następnie dodali: „kto składa hołd obrazowi, ten go składa Istocie, którą obraz przedstawia". W roku 1563, na dwudziestej piątej sesji, sobór zwołany w Trydencie potwierdził starożytną naukę. Przypomniano, że „cześć i szacunek" wobec świętych obrazów „winny być okazywane nie dlatego wszakże, iżby miało się wierzyć, że się w nich jakaś boskość czy cnota znajduje i że dlatego mają być otoczone kultem (...), lecz dlatego, iż cześć im okazywana odnosi się do prawzorów, które one przedstawiają, tak że przez obrazy, które całujemy i przed którymi odkrywamy głowę i padamy na kolana, czcimy Chrystusa i oddajemy szacunek świętym, których one zawierają podobizny".

Co z tego wynika? Po pierwsze, obraz nie jest tożsamy z postacią, którą przedstawia. Osoba wyobrażona nie mieszka w obrazie, nie przebywa w nim. Obraz Jezusa Miłosiernego to wciąż tylko obraz, a nie sam Jezus Miłosierny. Podobnie będzie z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej. To jeden z aksjomatów teologicznej nauki o świętych wizerunkach. Nie wolno mylić obrazu z osobą. To stwierdzenie wydaje się oczywiste, nie rozwiązuje jednak problemu relacji, jaka jest między wize-

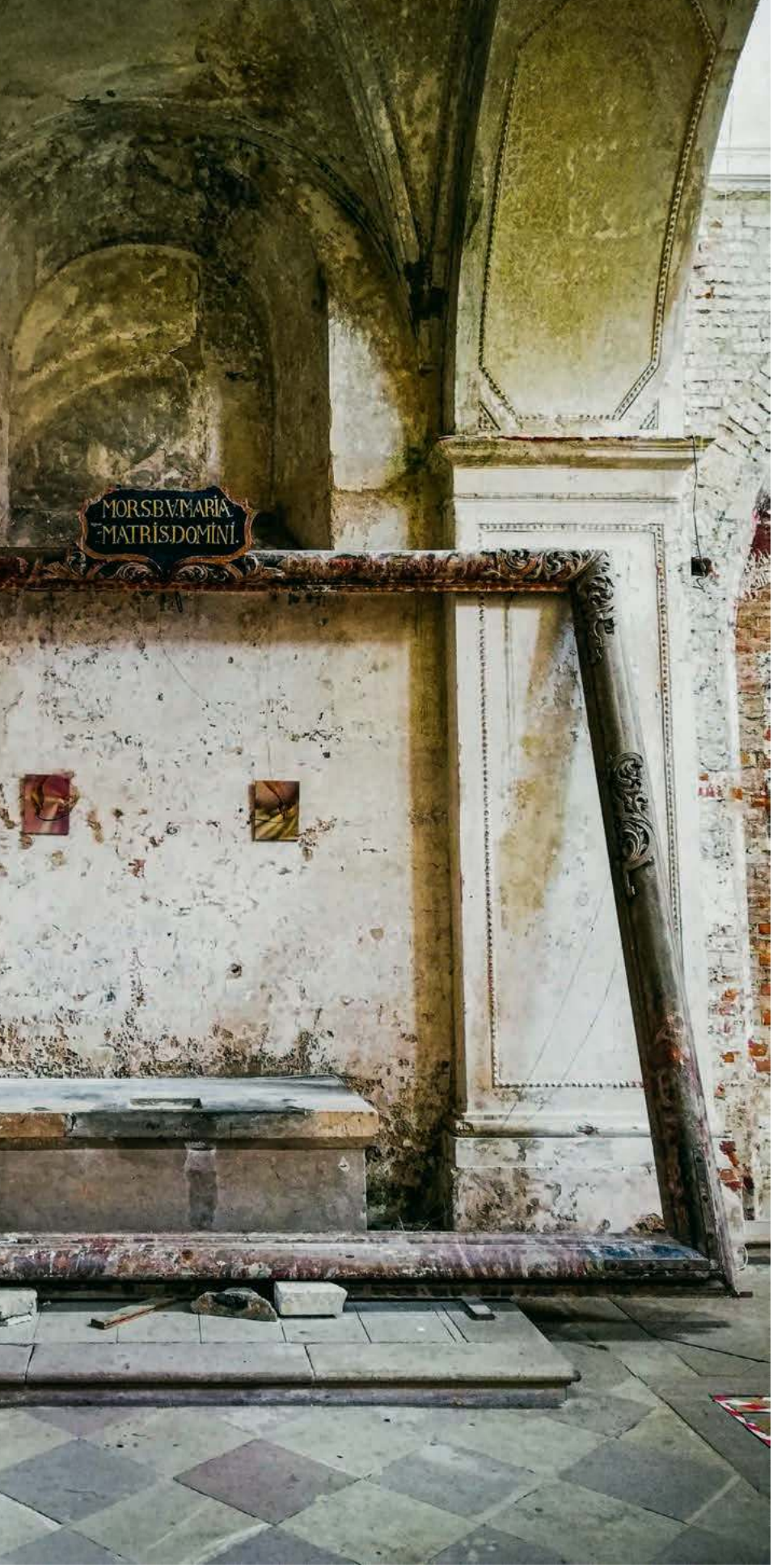

MICHAŁ OKOŃSKI

W dawnym opactwie cysterskim w Lubiążu, 2019 r.

runkiem a wyobrażoną na nim postacią. Czy obraz jedynie odwołuje do innej, nadprzyrodzonej, rzeczywistości? A może ją symbolizuje? Więcej: czyni ją obecną?

Obecność „nie wiemy jaka"

Analiza wypowiedzi kard. Stefana Wyszyńskiego i kard. Karola Wojtyły wygłaszanych podczas nawiedzeń kopii obrazu Matki Bożej Częstochowskiej pokazuje, że potykali się oni o ten teologiczno-językowy problem. Według franciszkanina o. Stanisława C. Napiórkowskiego z kazań prymasa wynika, że miał on przekonanie „o jakiejś intensywnej, mocnej, skondensowanej, wyjątkowej, aktywnej, dynamicznej obecności Maryi w jasnogórskim obrazie i jego kopii". Dlatego często przechodził od języka rzeczowego do języka osobowego. Raz mówił o nawiedzeniu obrazu, innym razem o nawiedzeniu samej Matki Bożej.

Nieco inaczej jest u Wojtyły, który był bardziej wrażliwy na język, jakim mówił o Maryi. Często też wyrażał swoją niezdolność do właściwego wyrażenia rzeczywistości teologicznej. Problem ten ujawnił się zwłaszcza po „aresztowaniu" kopii nawiedzenia. Wojtyła skupił się wówczas na obecności Maryi mimo nieobecności obrazu. W jednym kazaniu mówił: „Nawiedza nas mimo pustych ram, wbrew wszystkim argumentom i zasadom, do których się odwołujemy". W innym kazaniu mówił o wierze „przenikającej poza te puste ramy. Jak gdyby nawet sam obraz stał się »nieważny«".

W teologii Wojtyły nadprzyrodzona obecność nie jest więc warunkowana obrazem. Bądźmy jednak konsekwentni: obecność mimo braku obrazu czyni względną obecność za jego pośrednictwem. Znamienna jest tutaj wypowiedź bp. Wilhelma Pluty, który z okazji nawiedzenia pisał w 1963 r. w liście do diecezjan: „Przyjdzie do Was Matka Boża, będziecie witać nie obraz, ale Maryję, skupiać się będziecie nie przed obrazem, ale przed Maryją, Matką Zbawiciela". Wypowiedź ta nie przesądza jednak o związku między obecnością a obrazem: czy to tylko ↦

znak, czy może przyczyna sprawcza, warunek konieczny? Sam Wojtyła mówił „o obecności nie wiemy jakiej", przyznając tym samym, że katolicka teologia obrazu nie daje satysfakcjonujących odpowiedzi. Należy się więc zgodzić z konstatacją o. Bœspfluga, że „podstawowym źródłem słynnej mocy obrazów jest ich funkcja symboliczna i wynikający stąd fakt, iż w pewien sposób zastępują to, co przedstawiają – czy to w sensie jakiejś ponadnaturalnej rzeczywistości (...), czy prostej reprezentacji (...)".

Luter: Bóg jest w niebie

Drugi aksjomat teologii ikonicznej mówi, że obraz nie ma żadnej immanentnej, tzn. pochodzącej od niego samego, boskości czy cudowności. Nadprzyrodzoność nie jest powiązana z materią. Kościół przypomniał to w Trydencie przestrzegając, by kult wobec obrazów nie wynikał z przekonania, „iżby miało się je o coś prosić, bądź obdarzać je zaufaniem, jak to dawniej czynili poganie, którzy swą wiarę w idolach umieszczali".

Właśnie dlatego obrazów się w Kościele nie adoruje. Jeśli w odniesieniu do Eucharystii mówimy o obecności rzeczywistej, prawdziwej i substancjalnej, to w przypadku świętych obrazów nie można mówić o tej trzeciej. Przypisanie obrazom substancjalnej obecności osoby wyobrażonej w konsekwencji musiałoby wiązać tę obecność z materią. W jednym z kazań ks. Fabian Birkowski, kaznodzieja barokowy, przestrzegał, by „żadnej chwały drewnu, złotu, kruszcowi lubo innej materii nie oddawać". Są liczne świadectwa, że tak się niestety działo, co było jednym z powodów ikonoklazmu reformacyjnego.

Reformacyjna kontestacja świętych wizerunków, która wyszła spod pióra Marcina Lutra (a była ona i tak mniej radykalna od tej głoszonej przez Jana Kalwina czy Andreasa Karlstadta) nie polegała na ich zupełnym odrzuceniu. Luter zanegował nie tyle pośredniczącą rolę obrazów, co wprost ich rolę sprawczą. W kazaniu z 1529 r. mówił, że nie należy odrzucać tzw. obrazów-odbić, „na których ujrzeć można rozmaite przeszłe historie i rzeczy jak w zwierciadle". Idolami nazwał Luter te obrazy, „w których pokładane jest zaufanie, nie zaś obrazy-znaki pamięciowe".

Luter był jednak realistą i nie przypuszczał, by ktoś utożsamiał znak z rzeczywistością, do której odsyła. W jednym z kazań wielkopostnych wygłoszonych w Wittenberdze w 1522 r. reformator mówił: „Zdaje się bowiem, iż nie ma w ogóle człowieka lub że takich ludzi jest bardzo mało, którzy nie rozumieją, iż krucyfiks, który tam stoi, nie jest moim Bogiem, albowiem Bóg mój jest w niebie, lecz że jest on tylko znakiem". Z tego stwierdzenia Luter wyciągał radykalny wniosek: „obrazy są niczym, Boga one nie obchodzą. Nie sprawia się Bogu też przyjemności ani mu służy, jeżeli zrobimy mu obraz, i lepiej uczyni się, dając biednemu człowiekowi złotego guldena niż Bogu złoty obraz; albowiem Bóg to nakazał, tamtego zaś nie".

Umyka nam fakt „obrazu i podobieństwa", który jest w każdym człowieku.
Oraz profanacji i bluźnierstw dokonywanych na obrazie Boga w naszych bliźnich.

Mimo tak radykalnego stanowiska Luter w tym samym kazaniu mówił: „musimy przyznać, iż są ludzie, którzy nie doszli jeszcze do takiego przekonania i którzy nadal potrzebują obrazów, acz nie jest ich może wielu. Mimo to nie możemy potępiać czegoś, co jakiś człowiek gdzieś może potrzebować".

Kto wierzy lepiej

Luter odrzucił epifanijną rolę obrazów, ale jednocześnie uznał, że nie ma jednej obowiązującej wrażliwości ikonograficznej. Są tacy, którzy obrazów potrzebują bardziej niż inni, i tacy, którzy się bez nich obchodzą. Nikogo nie należy potępiać. Czy wiara, która obchodzi się bez obrazów – nazwijmy ją oświeconą i w dużej mierze zsekularyzowaną; znam wielu takich katolików – jest automatycznie głębsza od tej, która potrzebuje wyobrażeń?

Ojciec François Bœspflug – odpowiadając na postulat sekularyzacji islamu, co miałoby prowadzić do bardziej powściągliwych reakcji np. na karykatury Mahometa – zauważa: „Błędem byłoby sądzić, iż na podstawie jakiegoś powszechnie obowiązującego prawa (historycznego czy socjologicznego) każda religia prędzej czy później przeszła okres oświecenia, rewolucji, uprzemysłowienia i sekularyzacji, ta zaś, która nie miałaby na to ochoty, byłaby winna wyłamania się z szeregu".

Jak się to ma do zróżnicowanej wrażliwości ikonograficznej katolików? Słowa francuskiego dominikanina niosą niestety próżną nadzieję. Jestem pewien, że wciąż będą ci, których – mówiąc dużym skrótem – tęcza na wizerunku Matki Bożej obraża, i ci, których nie obraża. Czy ktoś z nich wierzy lepiej? I który? Obrażony czy nieobrażony? Te zróżnicowane wrażliwości żyją i żyć będą obok siebie. A wyjściem z tego impasu wcale nie jest wzajemne wartościowanie i odmawianie którejś ze stron katolickiej prawdziwości. Zarówno bowiem obrazę, jak i jej brak da się teologicznie udowodnić. Wszystko zależy od tego, jaką siłę symbolizowania przypiszemy wizerunkowi.

Raz jeszcze o. Bœspflug: „Siły oddziaływania, z jaką przemawia symbol, nie da się racjonalnie zadekretować ani zaprogramować. Idzie bowiem o stopień przywiązania do danego obrazu – ono jest tu wyznacznikiem. Racjonalne rozróżnienia są tutaj bezsilne". Tak właśnie się dzieje w przypadku obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, traktowanego przez wielu jako narodowa i religijna świętość. A jeśli rację ma Bœspflug, pisząc, że „Maryja w oczach wielu jest metonimią religii, o ile nie samego Boga", to obraz Matki Bożej Częstochowskiej należy uznać za szczególną dla wielu Polaków metonimię boskości. Czy trzeba to udowadniać?

Solidarność w zbawieniu

W takiej perspektywie teologicznej przemoc symboliczna stosowana wobec obrazu w odbiorze wielu staje się przemocą jak najbardziej realną. I to przemocą skierowaną wobec Boga, w którego się wierzy, i wobec Jego świętych. Tutaj rodzi się teologia wynagrodzenia, którego domaga się sprawiedliwość. Bierze się ona z przekonania, że osoba wyobrażona odczuwa ból, zranienie, krzywdę wskutek zniewagi wyrządzonej symbolicznemu wyobrażeniu. To oczywiście zadośćuczynienie zastępcze, dokonane zamiast bluźniercy, który nie poczuwa się do winy za profanację. Wynagrodzenie rozumie się tutaj jako akt konieczny do przywrócenia dawnego, sakralnego stanu rzeczy. Czy akt ten jest konieczny ze względu na Boga? Skoro – jak śpiewamy w prefacji – „nasze hymny pochwalne niczego Tobie

nie dodają", to czy mogą Bogu coś ująć nasze profanacje?

Wydaje się, że teologia zadośćuczynienia, która rozwinęła się w XIX w. wraz z kultem Najświętszego Serca Jezusowego, domaga się dzisiaj nowego zredefiniowania. Marzena Gardocka w artykule poświęconym idei wynagrodzenia w kontekście teologii miłosierdzia Jana Pawła II pisze: „Jeśli istnieje solidarność w grzechu, istnieje również solidarność w zbawieniu. Każda pojedyncza ofiara służy dobru wszystkich". W tej koncepcji zadośćuczynienie i wynagrodzenie należałoby raczej widzieć w perspektywie wymiany dóbr duchowych między wierzącymi niż w teologicznej koncepcji konieczności zaspokojenia wymagań płynących z postulatu sprawiedliwości w relacjach z Bogiem.

Człowiek, obraz święty

W ostatnim czasie media obiegły dwie podobne wiadomości o traktowaniu przez polskich pracodawców ukraińskich pracowników, którzy byli zatrudniani nielegalnie. Siergiej – po tym gdy zasłabł – został wywieziony do lasu, gdzie zmarł. Oksanę, która dostała wylewu, pracodawca wywiózł na ławkę i zostawił bez opieki. Nie wiem, czy ci pracodawcy byli wierzący. I nie jest ważne, czy wierzący w Boga byli pracujący „na czarno" Ukraińcy. Wiem jedno: krzywda wyrządzona człowiekowi jest bardziej realna niż krzywda wyrządzona obrazowi. Przemoc fizyczna jest bardziej realna niż przemoc symboliczna. Ta pierwsza może kosztować życie człowieka.

Dwa są „święte obrazy": człowiek i Bóg plastycznie wyobrażony. W tym drugim przypadku jakoś nikt nie kwestionuje boskiego podobieństwa. Właśnie dlatego „krzywdę" wyrządzoną obrazowi tak szybko uznaje się za krzywdę wyrządzoną samemu Bogu. Z tym pierwszym przypadkiem jest gorzej. Umyka nam fakt „obrazu i podobieństwa", który jest w każdym człowieku. I umyka nam fakt licznych profanacji i bluźnierstw, których dokonujemy na obrazie Boga w naszych bliźnich. I jakoś nie słychać o zadośćuczynieniach i wynagrodzeniach za te realne, a nie tylko symboliczne profanacje.

© KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Król i pasterz, grzesznik i wzór

DR HAB. ANDRZEJ KLUCZYŃSKI, TEOLOG EWANGELICKI:

Badania historyczne nad czasami Dawida są wciąż pełne dziur. O nim samym wiemy tylko z Biblii. Ale czy rekonstrukcja historii Dawida jest w stanie wpłynąć na opowieść religijną o nim?

IGNACY DUDKIEWICZ: Archeolodzy ogłosili, że znaleźli Siklag – miasto, w którym według Pierwszej Księgi Samuela (27, 1–7) król Dawid miał się ukrywać przed Saulem. To ważne odkrycie?

DR HAB. ANDRZEJ KLUCZYŃSKI: Przede wszystkim bardzo świeże – wykopaliska były prowadzone jeszcze na początku lata tego roku. Jest za wcześnie, żeby formułować daleko idące wnioski. Badania potrwają kilka lat. I dopiero wtedy będziemy mogli ocenić, jak istotna to informacja.

Ale wiemy już na pewno, że to Siklag?

Nie. Archeolodzy nie znaleźli przecież tabliczki z nazwą miejscowości. Odkryte przez nich struktury mają jednak kilka warstw, które odpowiadają temu, co wiemy o tym mieście z Biblii. Dwie z nich mają ślady obecności Filistynów z początków epoki żelaza – czyli z XII–XI w. p.n.e. Trzecia warstwa – z XI i X w. – ma zaś ślady bardzo zbliżone do tych, które znaleziono w pobliskiej miejscowości Khirbet Qeiyafa, zidentyfikowanej jako Szaaraim, co potwierdzałoby, że kraj u początków monarchii był lepiej zurbanizowany, niż dotąd sądziliśmy. Odnaleziono też ślady zniszczeń, co odpowiadałoby opisowi ataku Amalekitów na Siklag z Pierwszej Księgi Samuela. Wreszcie: Księga Nehemiasza mówi, że w mieście osiedlali się wygnańcy po powrocie z Babilonii, a kolejna warstwa archeologiczna nosi ślady z tego okresu.

Wszystko pasuje!

Jednak to wciąż tylko przypuszczenie, które również napotyka na trudności. W 15. rozdziale Księgi Jozuego znajdziemy spis miejscowości należących do Judy. Siklag [tak w polskich przekładach Biblii; media informowały o odkryciu podając transkrypcję anglosaską: Ziklag – red.] jest w nim wymieniane w grupie miejscowości znajdujących się na południu, bliżej Beer-Szeby na pustyni Negew. Ten opis nie pasuje do najnowszej lokalizacji, niedaleko Tel a-Rai, które leży niedaleko Lakisz, wskazanego w Księdze Jozuego na północy.

Jeśli się jednak okaże, że odnalezione miasto to rzeczywiście Siklag, czy powie nam to coś nowego o królu Dawidzie?

Nie sądzę. Może nam jednak pomóc zarysować obraz tamtych czasów. A badania historyczne nad nimi są wciąż pełne dziur – to okres mało poznany.

O Dawidzie jako postaci wiemy tylko z Biblii. W tekstach pozabiblijnych nie jest opisywany. Pojawia się jedynie sformułowanie *Beit Dawid* – „dom Dawida". Taki napis znajdziemy np. na steli z Tel Dan, datowanej na początek drugiej połowy IX w. p.n.e. W tym przypadku chodzi jednak o dynastię – nie mówi nam to niczego o samym Dawidzie. To podobna sytuacja, jak w przypadku naszych Piastów – zapewne istniał jakiś Piast, o którym niemal nic nie wiemy. Wiemy natomiast dużo o dynastii, którą mógł zapoczątkować. Podobnie jest z Dawidem i Dawidytami. Dlatego tak wiele kontrowersji budzi to, od kiedy istniało królestwo Judy, jak funkcjonowało, czy za czasów Dawida i Salomona rzeczywiście kraj był zjednoczony...

Oraz to, czy Dawid w ogóle istniał? ↦

↦ Osób podających to w wątpliwość jest coraz mniej. Jeszcze mniej jest tych, którzy by dowodzili, że na pewno nie istniał.

A Pana zdaniem?

Istniał. Mamy wielką tradycję – biblijną i pozabiblijną – istnienia dynastii, która powoływała się na tego przodka. Ponadto tradycja biblijna o samym Dawidzie jest bardzo bogata. Tworzą ją nie tylko Księgi Samuela czy Kronik, które poświęcają mu najwięcej miejsca, ale także wielokrotne przywoływanie jego imienia czy cała teologia zbudowana wokół niego – i, co ważne, obecna w bardzo różnych, niezależnych od siebie tradycjach. Na podstawie Pisma nie przeprowadzimy stuprocentowego dowodu istnienia Dawida, ale wiemy, że niektóre opowieści o nim pochodzą rzeczywiście z początków królestwa Izraela.

Zatem istniał. Ale czy rządził? I jakim obszarem?

To trudniejsze pytania. Wiemy, że sytuacja polityczna była na tych ziemiach bardzo płynna. Nie wiemy chociażby, czy królestwo u swoich początków obejmowało także północny Izrael. Jeśli Dawid był sprawnym władcą, być może mógł rozciągnąć swoją władzę na te tereny. Z biblijnych źródeł wiemy, że napięcia i konflikty między północą a południem istniały cały czas. To był luźny związek. Niemniej nie zostało wykluczone istnienie rodzaju wspólnego królestwa pod panowaniem jednego władcy. Co więcej, odkrycia archeologiczne z ostatnich kilkunastu lat oraz egzegeza biblijna pozwalają przyjąć, że istniało.

To jednak nie rozstrzyga sporu o to, jak duże ono było. Historycy i archeolodzy, którzy przyjmują pozycje minimalistyczne, zakładają, że panowanie Dawida obejmowało wyłącznie Jerozolimę – po jej zdobyciu – i okolice.

Maksymaliści mówią: panował od Eufratu do potoku egipskiego, od Morza Śródziemnego do Pustyni Syryjskiej.

William Dever twierdzi, że argumenty minimalistów są nieprzekonujące, bo nie bazują na dowodach, ale na ich braku. Przekonuje, że nie ma powodów, by w całości negować biblijny obraz, który mówi, że królestwo Dawida i Salomona było zjawiskiem co prawda krótkotrwałym, ale jednak terytorialnie istotnym.

Cinzia Parnigoni restauruje rzeźbę Michała Anioła „Dawid", Florencja, październik 2006 r.

Biblia to dobre źródło wiedzy o Dawidzie?

Biblia nie jest dziełem jednolitym. Inaczej czytamy księgi prorockie, inaczej tzw. księgi historyczne z wcześniejszych etapów jej pisania, a inaczej późne, skondensowane i ideologiczne opracowanie historii Izraela, jakim są Księgi Kronik. Każda z tych ksiąg – a niekiedy każdy z rozdziałów! – powinna być traktowana oddzielnie.

Jeżeli wiemy, że dane opowiadanie zostało spisane w okresie późniejszym niż ten, o którym mówi, to nie jest źródłem pierwszorzędnym. Może być jednak wiarygodne, jeżeli pytamy o klimat religijny i intelektualny późniejszej epoki, o to, jak postrzegano w niej przeszłość. Bywają także teksty biblijne, które dość wiernie odzwierciedlają wydarzenia z czasów, w których powstały i o których opowiadają.

Nie da się więc jednym zdaniem odpowiedzieć na pytanie, na ile Biblia jest wiarygodna.

Co więc zrobić w przypadku Dawida, gdy jest ona źródłem niemal jedynym?

Niezależnie od powyższych uwag Biblia jest najważniejszym źródłem do odtwarzania historii Izraela – nie tylko z czasów Dawida. Co więcej, okazuje się ona wiarygodna i znajduje potwierdzenie w innych źródłach w przypadku wielu wydarzeń, które opisuje, a które miały miejsce w czasach poznanych przez nas lepiej niż okres początków królestwa. Gdy odrzucimy ideologiczny czy teologiczny przekaz, często – na poziomie faktów – to dobre źródło. Dlaczego więc w przypadku wydarzeń dotyczących epok mniej poznanych mielibyśmy z góry wątpić w to, co jest napisane w Biblii?

Kiedy zostały napisane Księgi Samuela, które opisują losy Dawida?

Większość ksiąg Biblii hebrajskiej ma za sobą kilkusetletnią historię powstawania. O nielicznych, czy o ich częściach, można powiedzieć, że powstały w krótkim czasie. Księgi Samuela należą jednak do deuteronomistycznego dzieła historycznego...

Przepraszam, musi Pan wytłumaczyć.

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Z królem Dawidem jest jak z naszymi Piastami – zapewne istniał jakiś Piast, o którym niemal nic nie wiemy. Wiemy natomiast dużo o dynastii, którą mógł zapoczątkować.

To korpus, który zaczyna się Księgą Powtórzonego Prawa, obejmuje Księgi Jozuego, Sędziów i Samuela, a kończy się na Księgach Królewskich. Wszystkie one z całą pewnością przeszły jedną, poważną redakcję w czasie niewoli babilońskiej. Niemniej w Księgach Samuela (i w innych z tego grona również) znaleźć można także fragmenty wcześniejsze. Zatem nawet do tych Ksiąg nie można podchodzić zbyt lekko jako do całości.

Podam przykład. Kto zabił Goliata?

Chyba nie powie Pan, że nie Dawid?!

Według 17. rozdziału Pierwszej Księgi Samuela, oczywiście on. Ale w Drugiej Księdze Samuela, w rozdziale 21. znajdzie pan opis, według którego to „Elchanan z Betlejem, syn Jaira, zabił Goliata z Gat, którego drzewce dzidy wyglądało jak wał tkacki". To ten sam Goliat: jest podobnie opisywany, pochodzi z tego samego miasta.

To kto zabił?

Jako teolog nie muszę się nad tym zastanawiać. Ale historyk mógłby zadać pytanie o to, czy bardziej prawdopodobne jest, że Goliat został zabity przez Dawida, czy też przez jednego z jego żołnierzy, którego zasługi – z innych przyczyn – przypisano dowódcy.

Część tych opowiadań powstało po rozpadzie monarchii, zburzeniu świątyni i wygnaniu. Czy wpłynęło to na kształt opowieści o Dawidzie?

Na konkretne historie z jego udziałem – w mniejszym stopniu. Redakcję deuteronomistyczną interesowała przede wszystkim teologia. Widzimy to w Drugiej Księdze Samuela, w 7. rozdziale. Dawid chce zbudować świątynię i pyta o zdanie proroka Natana. Ten najpierw mówi królowi, by robił, co chce, ale później Pan przemawia do niego i wygłasza ważne słowa, które są obietnicą trwania dynastii Dawidytów. Wydaje się, że sama obietnica pochodzi z czasów Dawida. Królestwo było rzeczą nową, a trzej pierwsi królowie – Saul, Dawid i Salomon – aby rządzić, musieli uzyskać poparcie ludu, byli wybierani przez aklamację. Dawidowi mogło zależeć na wprowadzeniu koncepcji dynastycznej, przekonania, że jego ród jest wybrany przez Boga do sprawowania rządów nad Judą, a jego potomkowie mają prawo zasiadania na tronie.

Ale cała reszta owej przemowy Boga – przypomnienie historii wyjścia z Egiptu i wydarzeń na pustyni, wskazanie, że potomek Dawida zgrzeszy, ale Bóg go nie opuści – to wszystko pochodzi z późniejszych czasów. I, poprzez wzmocnienie obietnicy błogosławieństwa złożonej przez Boga, było sposobem, aby czas panowania Dawida pokazywać jako przeszłość idealną, bezpieczną, mityczną.

Opisów Dawida jest jednak w Biblii wiele. Np. Księgi Kronik są łagodniejsze w relacjonowaniu jego osobistych upadków.

Dla ich autorów kluczowe nie są zagadnienia polityczne, ale kultowe. W tym kontekście szczególnie istotna jest kwestia inauguracji prawowitego kultu. Kronikarz – polemizując nie wprost, ale wyraźnie z Samarytanami – nie mógł być zadowolony z przedstawień z wcześniejszych tradycji biblijnych, według których kult został zainaugurowany na pustyni, w ruchomym przybytku, nietożsamym z konkretnym miejscem. Na te tradycje powoływali się Samarytanie. Kronikarz chciał więc powiązać początek kultu z budową świątyni. Forsował także inną teologiczną koncepcję – związek między wiernością kultową a powodzeniem ludu. Dlatego tak ważne było, żeby za tego, kto inauguruje kult, obrać osobę nieskazitelną.

Dawida?

Tak. Dlatego Księgi Kronik oczyszczają jego historię z co bardziej wątpliwych wątków – dziwnych zachowań u Filistynów, historii z Batszebą... W Księgach Samuela jest człowiekiem z krwi i kości, w Księgach Kronik – postacią ze spiżu.

Niczego już nie jestem pewien, ale zapytam... Czy świątyni nie zbudował aby Salomon?

Według deuteronomisty – owszem. U Kronikarza to nie takie proste. To Dawid przygotowuje materiały, zbiera budowniczych, wręcza Salomonowi model świątyni...

Tylko złożyć, jak mebel z Ikei.

Otóż to. Salomon nie pasował do konceptu, skoro po jego śmierci królestwo się rozpadło.

To przykład ideologicznej naleciałości, o której Pan mówił?

To wyraz autentycznego przekonania, że prawowitym miejscem kultu jest Jerozolima, a wierność kultowi jest warunkiem niezbędnym dla odpowiedniego funkcjonowania przymierza Izraela z Bogiem. Ale tak: nie mamy innych źródeł, które wskazywałyby na taki udział Dawida w budowie.

Kto był pierwszym królem Izraela? Saul był określany słowem „nagid" – które oznacza raczej wodza. Dopiero Dawid jest nazywany konsekwentnie królem – „melech".

Sprawa jest bardzo złożona i nie do końca jasna. Rzeczownik *nagid* – wódz, przywódca, książę – który jest używany ↦

także w odniesieniu do Dawida, określać może przydzielenie władzy przez Boga. Niewykluczone, że jest to spuścizna czasów sprzed monarchii, z terenów północnego Izraela, odnosząca się do sędziów, czyli doraźnych przywódców kilku plemion, którzy prowadzili je do walki. Saul też był nieco doraźnym władcą – nie wprowadził stałych instytucji, nie zainstalował administracji. Zrobili to według Biblii dopiero Dawid i Salomon. Określenie *melech* – król – kojarzy się ze stałością instytucji monarchii.

Czyli Saul znalazł się na przecięciu tradycji sędziowskiej i królewskiej?

Tak. Co więcej, w biblijnych zapowiedziach sprawiedliwego władcy – a jest ich wiele, zwłaszcza u proroków – unika się terminu „król". Nie jest do końca jasne, dlaczego. Wypowiedzi proroków o królestwie – choć niejednolite – najczęściej jednak monarchię krytykują, a niekiedy wręcz zapowiadają kres dynastii Dawidytów. W zapowiedziach zbawienia dla Izraela powstałych po wygnaniu często nie ma elementów monarchicznych – Bóg uratuje Izrael, ale nie poprzez namaszczenie nowego króla.

Skoro król jest niepotrzebny, to dlaczego Dawid jest tak ważny dla tradycji Izraela?

Monarchia judzka musiała zadbać o usankcjonowanie swojej władzy – najlepiej religijne. Owa sankcja pojawia się w wielu miejscach Pisma. Król był pośrednikiem między Bogiem a ludem, który modli się do Pana, żeby swoje prawa i moc panowania przekazał monarsze. Król – nazywany nawet Synem Bożym – był gwarantem błogosławieństwa dla narodu, miał panować od morza do morza. Słowem: Bóg zapewniał odpowiedni porządek, a władca był jego namiestnikiem. Z tym wiąże się wiele złożonych wyobrażeń, które – mimo krytyki ze strony proroków i kompromitacji tej koncepcji, którą była niewola babilońska – zostały przechowane w Izraelu. W efekcie okres panowania Dawida stał się mitycznym. Również dziś Dawid pełni ważną rolę tożsamościową w Izraelu – przypominając o idealnej przeszłości.

W Biblii można pokazać także inne zjawisko związane z Dawidem. Przez lata był on ważny, bo udzielone mu zostały obietnice panowania, błogosławieństwa i wieczności jego rodu. Ale już u Izajasza widzimy oddzielenie obietnic dawidowych od reprezentantów dynastii Dawida. Dawidem stawał się cały Izrael. Nie chodzi już więc o władcę, ale o cały lud, który przejmuje jego prerogatywy, staje się dysponentem złożonych królowi obietnic. To lud staje się pośrednikiem, przewodnikiem narodów, rozkazodawcą. Idea narodu-mesjasza, którą znamy ze słowiańskiego romantyzmu, jest więc znacznie starsza, niż nam się wydaje.

Dawid jest dowodem na to, że Bóg jest gotów wesprzeć i przyjąć nawet najgorszego grzesznika.
Że można rezygnować z zemsty. Jest symbolem wierności i pokuty. Uosabia wreszcie wybór tego, co małe i niepozorne.

Dawid został wybrany przez aklamację. Jednocześnie Pismo mocno akcentuje wybranie go przez Boga. Czy jest tu napięcie między historycznym a teologicznym Dawidem?

Może to narracje, które mogą biec równolegle? Czy jakakolwiek rekonstrukcja historii Dawida jest w stanie wpłynąć na opowieść religijną o nim – również tę chrześcijańską? Nie sądzę, by odkrycia archeologiczne miały zmniejszyć jego znaczenie.

Co w nim jest tak interesującego, że ciągle o nim mówimy?

Jest dowodem na to, że Bóg jest gotów wesprzeć i przyjąć nawet najgorszego grzesznika. Że można rezygnować z zemsty. Jest symbolem wierności i pokuty. Oddania się Bogu w dobrym i złym. Uosabia wreszcie ważny motyw Biblii hebrajskiej – wybór tego, co małe i niepozorne, tego, co nie zachwyca na pierwszy rzut oka. Był najmłodszy, najmniejszy, oderwany od trzody...

I pasterz, i król, i wzór, i grzesznik.

A czy każdy z nas nie jest zbiorem przeciwieństw? Czy i siebie nie odbieramy w sposób ambiwalentny? Czy cały czas jesteśmy w zgodzie z samymi sobą?

Czy Dawid dla chrześcijan nie jest jednak kimś więcej niż tylko wzorem i zbiorem pobożnych inspiracji do homilii?

Dawid jest wspólną postacią dla judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Również dlatego od X do XII w. Żydzi w świecie muzułmańskim tworzyli rodowody wskazujące na ich pochodzenie od Dawida, co bardzo podnosiło ich status w oczach muzułmanów.

Również w przypadku Chrystusa podkreślamy ten rodowód.

Bo w historii chrześcijańskiej interpretacji Biblii Dawid ma przede wszystkim znaczenie chrystologiczne. Tak interpretowaliśmy tradycje dawidowe zawarte w Starym Testamencie, nawet jeśli dla Żydów nie miały one mesjańskiego znaczenia. Ale również nowotestamentowe odniesienia możemy rozumieć jako przypomnienie o ogólnej wierności Boga i Jego obietnicach. Niechrystologiczna lektura tekstów Starego Testamentu też jest możliwa, co pomaga nam znaleźć pierwotne znaczenie danych tekstów.

Czy nie jest paradoksem, że o postaci tak ważnej dla trzech wielkich religii wiemy tak mało?

Ale czy to coś zmienia? Czy miałoby znaczenie, jeżeli historyczny Dawid okazałby się inny? Opowieści o nim niosą wielkie znaczenie i przesłanie. Niezależnie od tego, czy odkryte miasto to rzeczywiście Siklag, czy jednak nie.

© Rozmawiał IGNACY DUDKIEWICZ

LESZEK JAŃCZUK / WIKIMEDIA

DR HAB. ANDRZEJ KLUCZYŃSKI, prof. ChAT, jest teologiem ewangelickim, specjalistą w zakresie Starego Testamentu. Autor m.in. rozprawy „»Książę Pokoju« (Iz 9, 5). Obraz monarchii izraelskiej w księgach prorockich Starego Testamentu". Członek Gesellschaft für Evangelische Theologie oraz Towarzystwa Przyjaciół Kultury Żydowskiej w Białymstoku. W 2018 r. uczestniczył w wykopaliskach w Mieście Dawida w Jerozolimie.

IGNACY DUDKIEWICZ *jest redaktorem naczelnym Magazynu „Kontakt".*

Przebudzenie ducha

PIOTR SIKORA

„Kto śpi, nie grzeszy" – mówi polskie przysłowie. Przeciwnie niż Ewangelia.

Sen i czuwanie, podstawowe fizjologiczne stany organizmu, są punktem odniesienia dla kluczowych kategorii używanych do opisu życia na poziomie ducha. Dotyczy to np. tradycji buddyjskiej (słowo „budda" oznacza „przebudzony"). Są to też kluczowe kategorie dla chrześcijaństwa – nie tylko dla jego źródeł, Nowego Testamentu, ale i dla codziennej egzystencji współczesnego człowieka.

Nie przespać zbawienia

Wezwanie „czuwajcie!" pojawia się w ustach Jezusa w kluczowych momentach Jego nauczania, gdy mówi o rozstrzygającym nadejściu królowania Boga, a także, gdy modli się w ogrójcu. Można powiedzieć, że te fragmenty Ewangelii sugerują, że zbawienia nie można utracić w wyniku wyroku Boga – zbawienie można co najwyżej przespać. Bóg bowiem, mówi Jezus, nadchodzi jak złodziej w nocy. W przestrzeń Jego królowania wejdzie ten, kto będzie czuwał (por. np. Mt 24, 42-44).

Ten sam motyw pojawia się w nauczaniu św. Pawła, gdy pisze do Tesaloniczan: „Nie śpijmy przeto jak inni, ale czuwajmy i bądźmy trzeźwi!" (1 Tes 5, 6). Uczeń Pawła, autor Listu do Efezjan, cytuje popularne chrześcijańskie zawołanie „zbudź się, o śpiący, i powstań z martwych, a zajaśnieje ci Chrystus" (Ef 5, 14). Podobną myśl czytamy w pierwszym Liście Piotra: „Wszystkie troski wasze przerzućcie na Niego, gdyż Jemu zależy na was. Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć. Mocni w wierze przeciwstawcie się jemu!" (1 P, 5, 7-9a).

Trzeźwość ciała i umysłu

Czuwanie i trzeźwość to kluczowe aspekty życia chrześcijanina. Co jednak znaczą te metafory na poziomie ducha? Spróbujmy choć trochę odsłonić ich znaczenie, przyglądając się codziennym doświadczeniom, do których się odwołują. Sen odcina nas od rzeczywistości. Ten głęboki, ale także ten w fazie sennych marzeń. Śniąc, bierzemy mary za to, co realne. Podobnie bywa w stanie nietrzeźwości – upojenia alkoholem albo innym środkiem odurzającym. Szwankują percepcja, samoocena, zdolność utrzymania równowagi i orientacji w przestrzeni.

Sen lub odurzenie ducha to zatem stan, w którym – nawet jeśli fizycznie nie śpimy i nie braliśmy żadnych używek – coś przeszkadza nam jasno postrzegać rzeczywistość, coś ją przesłania. Starożytni ojcowie pustyni, dla których właśnie praca nad czujnością i trzeźwością ducha była głównym zajęciem, ↦

GRAŻYNA MAKARA

Strefa Dialogu „Tygodnika Powszechnego" na Slot Art Festival, Lubiąż, lipiec 2019 r.

rozpoznali, iż toksyną zatruwającą zdolność duchowej percepcji są *logismoi* – namiętne myśli. Są to mniej lub bardziej abstrakcyjne idee, ale także wyobrażenia, połączone z naszymi pragnieniami i lękami. Istnieją w nas, choć nie zawsze jesteśmy ich świadomi. Zabiegani, zanurzeni w szumie spraw i bodźców, nie zdajemy sobie często sprawy, że działają w nas bez przerwy jak podziemna rzeka.

Rzeka ta posiada, niestety, wielką moc. Rozprasza nas, gdy potrzebna jest koncentracja. Co więcej, tworzące ją lęki i pragnienia zniekształcają odbiór rzeczywistości nawet wtedy, gdy – tak przynajmniej sądzimy – poznajemy ją z uwagą. Bywa, że ktoś przychodzi do nas, dzieli się swoimi troskami i cierpieniami, pragnie być wysłuchanym. Jednak słowa tej osoby uruchamiają u nas skojarzenia z własnymi problemami. To w ich świetle je interpretujemy i oceniamy, i zaczynamy własną narrację: „Rozumiem, cię, sam miałem podobnie, posłuchaj...", albo nawet gorzej: „Nie przejmuj się, to nic wielkiego w porównaniu z tym, co ja przeżyłem...". Albo inna sytuacja: jesteśmy z kimś w związku, ale – choć na jawie – śnimy w głowie jej lub jego obraz i zanim coś powie, my już „wiemy", co myśli i czuje.

Czujność niemowlęcia

Co zatem robić? Jak się przebudzić? W jaki sposób wytrzeźwieć?

Pierwszym krokiem jest rozpoznanie swego stanu. Potrzeba do tego chwili wycofania się z rozbieganego, rozproszonego sposobu życia. Gdy bowiem tylko siadamy na pewien czas w spokoju i próbujemy trwać uważni na otaczającą nasz rzeczywistość, „podziemny" dotąd strumień *logismoi* wypływa na powierzchnię świadomości, roztaczając na niej mary wspomnień, marzeń, wersji świata, którego nie ma i nigdy nie było. Zamiast słuchać tego, co jest, patrzeć na nie, wąchać je i czuć (zmysłami, duchem, całym sobą), dajemy się uwieść myślom o tym, czego nie ma. Jak mawiał Blaise Pascal: wspominamy życie albo spodziewamy się żyć – lecz nie żyjemy.

Czuwać jak niemowlę to po prostu być, nie dzielić tego, co do nas przychodzi, na zewnętrzny świat i wewnętrzny strumień własnej świadomości. Znaczy to także: nie mieć oczekiwań, jak powinno wyglądać czujne trwanie.

Tu ujawnia się sens innego jeszcze warunku, bez którego spełnienia nie można – podkreśla Jezus – wejść do Królestwa. Posłuchajmy wersji Ewangelii Marka: „I przynosili do niego dzieci, aby ich dotknął, lecz uczniowie im zabraniali. Gdy Jezus to zobaczył, oburzył się i powiedział do nich: (...) Zapewniam Was: Kto nie przyjmie Królestwa Boga jak dziecko, nie wejdzie do niego" (Mk 10, 13. 15).

Czytając ten fragment nie można pominąć pierwszego zdania. Ujawnia bowiem ono, o jakie dzieci chodzi Jezusowi: o takie, które trzeba przynosić; które nie umieją jeszcze chodzić, więc zapewne i mówić. A zatem, kto nie przyjmie Królestwa jak niemowlę – nie wejdzie do niego. Niemowlę nie operuje systemem myśli dyskursywnych, więc i strumień myśli jeszcze nad nim nie panuje. Niemowlęcy umysł jest wolny od przejętych lub stworzonych przez siebie koncepcji świata, które określają oczekiwania, jaka powinna być rzeczywistość – jest całkowicie otwarty, plastyczny i chłonny. Jak czytamy w jednym z psalmów, trzeba nam uciszyć i uspokoić duszę, by była jak niemowlę, które właśnie odpięło się od piersi matki: zaspokoiwszy głód, uspokojone i uciszone, chłonie rzeczywistość.

Wszystko jedno

Jednak my – mógłby ktoś zaoponować – nie jesteśmy już niemowlętami. Nie jesteśmy w stanie na zawołanie zapomnieć o wszystkim, czego się nauczyliśmy, oduczyć się języka i sformułowanych za jego pomocą teorii na temat świata, unieważnić przeżyte w trakcie życia doświadczenia. Gdy próbujemy trwać w ciszy, wszystko to z hałasem przelewa się nam w głowie.

W tym momencie warto sobie uświadomić, że niemowlę nie ma jeszcze wykształconej idei, ani nawet poczucia własnego „ja" wydzielonego z całości doświadczenia. Czuwać jak niemowlę to po prostu być, nie dzielić tego, co do nas przychodzi, na zewnętrzny świat i wewnętrzny strumień własnej świadomości. Znaczy to także: nie mieć oczekiwań, jak powinno wyglądać czujne trwanie. A zatem – przyjmować z równą otwartością wszystko. Nie oceniać, nie próbować dosięgnąć jakiegoś wykoncypowanego ideału czujności. Być przytomnym. Po prostu być.

Mamy tendencję, by ze wszystkiego robić zawody – wyścig, kto lepszy, kto osiągnie więcej. Dlatego leczące może być uświadomienie sobie, że w czasach i środowisku, w których nauczał Jezus, szacunkiem ze względu na życiowe osiągnięcia obdarzano zasadniczo ludzi starszych. Każde zaś niemowlę było uznawane za błogosławieństwo Boga bez żadnych zasług ze swej strony, lecz tylko dlatego, że było. Czuwając jak niemowlę nie musimy nic osiągać – żadnego stanu bez rozproszeń, szczególnego przeniknięcia pod powierzchnię zjawisk, błysku oświecenia. Ba, nie musimy nawet osiągać stanu duchowej trzeźwości. Wszak trzeźwienie po wypiciu alkoholu nie jest naszą aktywną czynnością. To proces, który sam się dzieje, gdy tylko powstrzymujemy się od picia. Także na poziomie ducha trzeźwiejemy po prostu będąc, nie angażując się w dobrowolne, aktywne wzbudzanie *logismoi*: nie wspominając, kim byliśmy, ani nie planując, kim będziemy.

Nie chodzi tu jednak także o aktywną walkę z myślami. Jeśli nawet przychodzą takie wspomnienia, marzenia i plany – patrzmy na nie z niemowlęcą, otwartą ciekawością jak na wszystko inne, co tu-i-teraz przychodzi i mija. Pozwólmy mu odchodzić, bo przychodzi nowe. Będąc w taki sposób, stopniowo zacznie się nam rozjaśniać, że dźwięk to dźwięk, ruch to ruch, myśl to myśl, uczucie to uczucie, sen to sen. Rozpoznać zaś, że sen jest snem tylko – czyż to nie jest właśnie przebudzenie?

Nie ma tu nic specjalnego. Wszystko po prostu jest. Królowanie Tego, który Jest.

©℗ PIOTR SIKORA

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

SZYMON

Hołownia: *Ja, szeregowy katolik*

Pisałem o tym już i parę, i parenaście tygodni temu, i spieszę donieść, że w tej sprawie nic się u mnie niestety nie zmieniło. Otóż ja, szeregowy polski katolik, zupełnie zwykły – jeden z milionów – nadal jestem zdania, że nasi biskupi (choć formalnie oczywiście mogą) nie mają moralnego prawa do zajmowania się publicznie jakimkolwiek tematem związanym z ludzką seksualnością, zanim najpierw, radykalnie, do spodu, ze łzami w oczach i stopami w popiele, nie dowiodą nam, że zrobili absolutnie wszystko, by wypalić żywym ogniem istniejące, i surowo rozliczyć niegdysiejsze, przypadki wykorzystywania seksualnego dzieci przez osoby duchowne. Jeśli bowiem chce się walczyć o czystość, jeśli tak bardzo boli kogoś i napawa smutkiem ludzka grzeszność w tej sferze (czego dowodem narastające znów listy, katechezy, wywiady) – trzeba pokazać, że umie się poradzić sobie z tym na swoim własnym podwórku. Niespecjalnie zajmują mnie więc kolejne patetyczne przestrogi hierarchów np. przed tzw. ideologią LGBT, nie tylko dlatego, że doskonale wiem, iż to po prostu kolejny (po uchodźcach i „dżenderze") nadmuchany straszak skonstruowany przez polityczną propagandę, kolejne narzędzie do dzielenia Polaków na lepszych, bardziej prawych, i tych gorszych – wyuzdanych, zepsutych. Dla mnie to jest proste jak drut: jak ktoś chce lamentować nad nadciągającą (podobno) seksualizacją polskich dzieci, najpierw powinien jednak szczegółowo rozprawić się z tą, którą prowadzili, w formie gwałtów, jego (czy jego kolegów po piusce) podwładni.

I co z tego – bo zaraz padnie ten „żelazny" argument – że nieliczni? Znowu trzeba powtarzać, że nawet gdyby tylko jeden ksiądz katolicki wykorzystując swoją pozycję, zgwałcił dziecko, jest to bluźnierstwo domagające się śpiewania przez nas wszystkich suplikacji nie tygodniami, a latami. W mojej diecezji kazano nam ją ostatnio śpiewać, by wynagradzać za grzechy prowokatorów profanujących Eucharystię na różnych marszach i protestach. Wspominano przy tym też, przyznać trzeba, o grzechach pochodzących z wewnątrz Kościoła, że za nie też powinniśmy Boga przebłagiwać. Ciekawa rzecz, że aby wyznać swoje grzechy, trzeba je koniecznie zawinąć w te cudze.

Dlaczego o tym znowu piszę? Bo usłyszałem ostatnio, z dwóch wiarygodnych źródeł, że w pewnej ważnej polskiej diecezji pasterz o rozliczaniu pedofilii mówi współpracownikom wprost: przeczekać, to przyschnie, zmienić temat, to ludzie zapomną, jak pieski – polecą za innymi patykami. To jeden biskup. A Episkopat? Cóż, jak zwykle – ci, którzy mają w nim serce, nie mają niestety ani za grosz odwagi. Ci zaś, którzy mają odwagę, najczęściej nie mają serca.

Pisałem też tu przecież i o tym: teologicznie – nie ma Kościoła bez biskupów. Ale ci polscy nauczyli mnie już, że nie potrzebuję ich de facto do niczego. Jestem w Kościele, bo jest w nim żywy Bóg. Jest Eucharystia, bez której ja żyć nie umiem. Jest Ewangelia, codziennie prowokująca do nadziei i wzywająca do prześcigania lęków. Jest mnóstwo sióstr i braci, którzy pielęgnują swoje chrześcijańskie DNA, rodzaj automatyzmu nakazującego zawsze stanąć po stronie najsłabszego, niezależnie od tego, z jakiego powodu w danej chwili jest najsłabszy: czy jest to pozycja społeczna, majątkowa, moralne CV, narodowość, orientacja. Ci ludzie nie widzą ideologii, widzą ludzi. Ludzi, którzy nie potrzebują już kolejnych, dzielących i utrzymujących ich w stanie nieustannego pobudzenia wojen. Potrzebują, by ktoś po 30 latach koncentrowania się przez nich na swoich prywatnych mini Polskach – nauczył ich znów, jak się łączyć. We wspólnotę, w której zgadzać musimy się co do tego, co niezbędne, a co do reszty możemy się różnić. Kościół założony przez Jezusa Chrystusa jest właśnie od tego specjalistą, to jego unikalna kompetencja. Z której, w naszych warunkach, rękami naszych biskupów, dobrowolnie abdykuje. I ja tego zrozumieć nie potrafię. Choć – przyznaję – bardzo próbuję.

W tym celu zagłębiam się ostatnio coraz bardziej w eklezjologiczną refleksję – najpierw profesora, później też kardynała – Josepha Ratzingera. W jego formułowane już kilkadziesiąt lat temu sugestie, że misją chrześcijaństwa nie jest wpływanie na zmianę stanowionych praw, wnikanie w strukturę świeckiej władzy, a zmienianie ludzkich serc (bo właśnie to robił przecież Chrystus), w powracające przekonanie, że chrześcijaństwo, które jest obumierającym drzewem, jest też jednocześnie ziarnem, że od dwóch tysięcy lat nieustannie umiera i odradza się na nowo, a jego losem jest nie bycie największą na świecie (to już moje porównanie) hurtownią pieczywa, a zaczynem, czymś małym, nawet niewidocznym, ale sprawiającym, że świat przez to rośnie. A im głębiej w ten las zasadzony przez genialnego analityka chrześcijaństwa (i proroka) idę, tym wyraźniej dociera do mnie, gdzie tkwić może popełniany przez wielu z nas, współczesnych polskich katolików, fundamentalny błąd.

W tym oto, że jesteśmy głęboko przekonani, iż powołanie do bycia „znakiem sprzeciwu wobec świata" to pokazanie gestu Kozakiewicza tzw. liberałom. Tyle że Jezus przecież nie pokazuje nikomu tego gestu! Jego znakiem sprzeciwu jest włączanie do wspólnoty ludzi, którzy przez aparat religijny i innych świątobliwych zostali z niej wykluczeni. Znak sprzeciwu to nie przyklejenie sobie na drzwiach (obrzydliwie głupiej, bo nie mówi nawet o owej „ideologii", a po prostu o osobach, które łapią się do którejś z opisywanych tym skrótem kategorii) naklejki „Strefa wolna od LGBT", ale – właśnie ku sprzeciwowi wielu – pokazanie osobom homoseksualnym czy transseksualnym, że w naszym Kościele mogą się czuć jak u siebie, mają w nim bowiem dokładnie te same, co inni ochrzczeni, prawa i obowiązki. Może nie doczytałem czegoś w Ewangelii, ale czy Jezus rozdawał uczniom naklejki: „Strefa wolna od zdrajców, oszustów, cudzołożników, ideologów, kłamców"? Czy raczej, bez wymagania żadnych wstępnych deklaracji, inwestował w relację z nimi całego Siebie: jadł, ratował z opałów, rozmawiał, uzdrawiał? ©

Z ODDECHEM

PAMIĘĆ ZARABIA NA PIWO

JOHANNES MALLOW,

DWUKROTNY MISTRZ ŚWIATA W SPORTACH PAMIĘCI:

Dziękuję Ci Boże Nik, że użyłeś swej mocy, by dać mi czek, żebym mógł polecieć do Nowego Jorku. Tak się zapamiętuje nazwę „Tygodnik Powszechny".

ŁUKASZ LAMŻA: Czym się mierzy siłę pamięci? Czasem, objętością?

JOHANNES MALLOW: W sportach pamięci mamy na to konkretną miarę liczbową, po prostu. Jest dziesięć standardowych dyscyplin – zapamiętywanie kart, twarzy, cyfr, ciągu binarnego, przypadkowych słów... i tak dalej. W każdej z nich uzyskuje się pewną liczbę punktów. Sumuje się wszystkie dziesięć wyników – i tyle.

A jak wygląda w praktyce taki pomiar dla, powiedzmy, zapamiętywania cyfr?

W przypadku losowego ciągu cyfr dostajesz kartkę, na której znajdują się rzędy cyfr.

Czterdzieści cyfr w rzędzie. Jeżeli zapamiętasz poprawnie cały rząd, dostajesz 60 punktów. Jeżeli zrobisz jeden błąd – 20 punktów. Nawet 38 poprawnych cyfr na 40 to już zero punktów, jest więc bardzo silny nacisk na bezbłędność. Zapamiętujesz tyle, ile dasz radę w ciągu pięciu minut.

A Ty ile dasz radę?

Mój osobisty rekord to 524 cyfry.

To będzie sto cyfr na minutę... ponad jedna na sekundę!

Tak.

Czyli po prostu czytasz i zapamiętujesz w biegu?

Tak.

Jak to robisz?

Po otrzymaniu kartki, na razie cyframi w dół, mamy minutę na przygotowanie. Uspokajam się trochę, relaksuję i zamykam oczy. Przed konkursem jestem bardzo dobrze przygotowany i zawsze wiem,

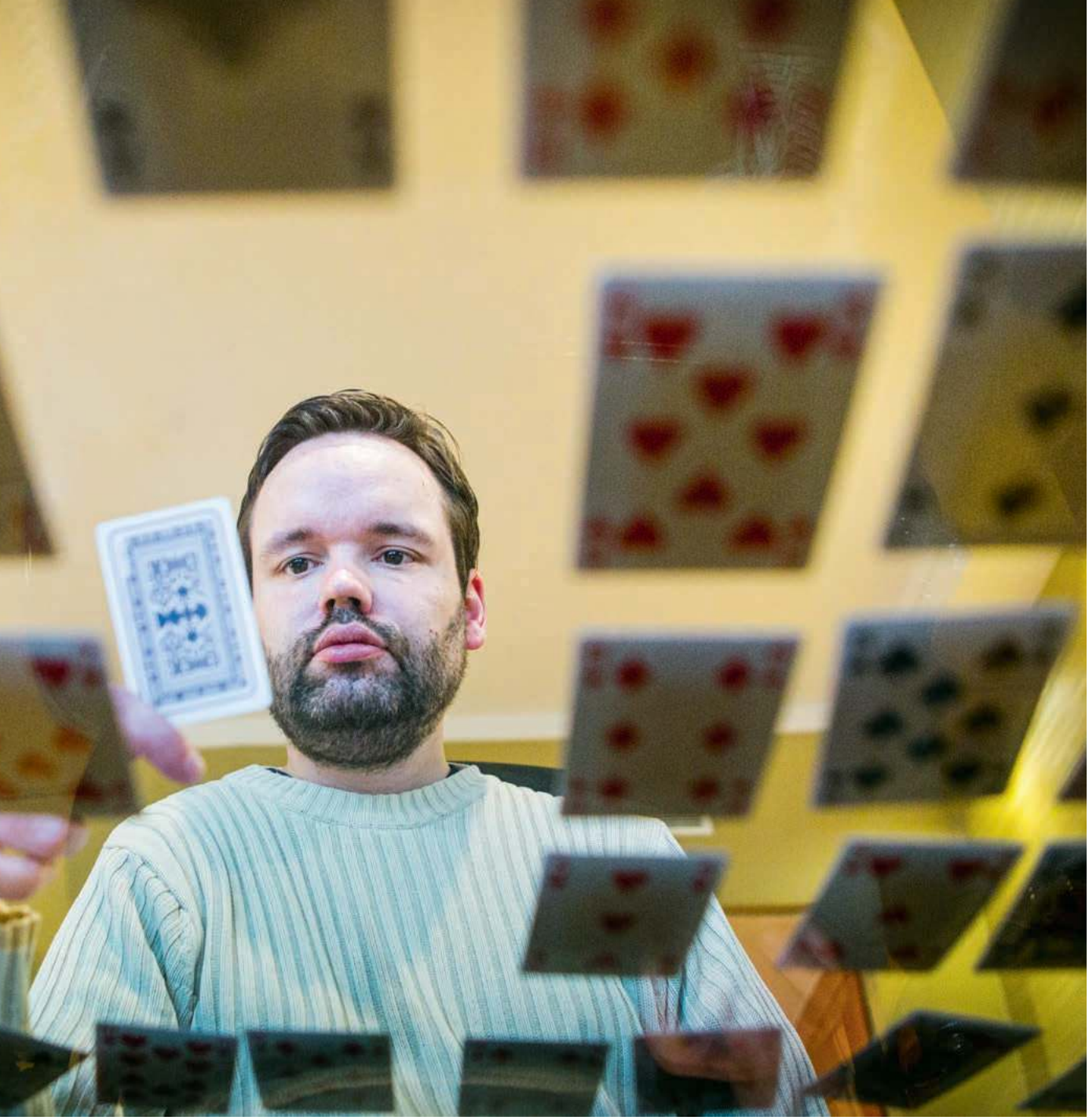

CLAUDIO VERBANO

Johannes Mallow ćwiczy zapamiętywanie układu 52 kart

w którą podróż chcę się wybrać. Ponieważ stosuję metodę miejsc, muszę przygotować sobie pałac – na przykład stoję przed drzwiami mojego mieszkania, tu w Magdeburgu, i czekam, co będzie dalej. Potem odwracam kartkę i... wyruszam.

Opowiedz może trochę o samej metodzie.

Metoda miejsc, czyli *method of loci*, polega na układaniu scenariuszy z udziałem tego, co musisz zapamiętać, a następnie odtwarzaniu podróży po wymyślonej właśnie przestrzeni. Stąd druga nazwa – „pałac pamięci". W przypadku cyfr działa to tak, że każdej grupie cyfr przyporządkowany jest jakiś ustalony obraz.

Zwykle są to liczby dwucyfrowe, które łączysz potem w trójki. Na przykład Mongołowie – oni są teraz bardzo silni w sportach pamięci – zawsze pracują metodą „osoba-czynność-rzecz". Każda liczba dwucyfrowa oznacza trzy rzeczy: jedną osobę, jedną czynność i jedną rzecz. Sześćdziesiąt siedem, przykładowo, może oznaczać zakonnicę, kopnięcie i piłkę.

Czyli kiedy masz do zapamiętania 676767, zapamiętujesz zakonnicę kopiącą w piłkę?

Właśnie tak. Jestem jedyną osobą, którą znam, która stosuje pary liczb trzycyfrowych. Czyli dla mnie każda liczba trzycyfrowa to jakiś konkretny obraz, a sekwencję zapamiętuję parami takich trójek, czyli szóstkami.

Czyli na przykład 555...?

To kołyska dla dziecka.

A 666? Pewnie... ↦

↦ Oczywiście, diabeł.

Czyli gdyby twoja sekwencja zaczynała się od 555666...

...to pewnie wyobraziłbym sobie, że na ulicy przed moim mieszkaniem stoi kołyska, a w niej leży diabeł.

Dziecko Rosemary!

(*śmiech*) Dobry obraz. Już to zapamiętałeś. Ważna jest też kolejność. 666555 to by był diabeł trzymający kołyskę. Pierwsza trójka w parze jest zawsze dominująca.

Skąd ta lista?

Opracowałem ją piętnaście lat temu. Jest bardzo ważne, żeby ta lista była naprawdę twoja. Zajęło mi pół roku wybranie odpowiednich obrazów, a potem dwa tygodnie – nauczenie się ich na pamięć.

Pół roku?

Tak, ponieważ przygotowywałem ją bardzo starannie. Musisz sobie pomagać – wszystko musi być tak proste, jak to tylko możliwe. Na przykład cyfra 2 to dla mnie litera N, cyfra 1 to dla mnie T. Sekwencja 21 to więc „NT" – potem tylko dodajesz samogłoski. Gdybym robił swoją listę po angielsku, pewnie bym z tego zrobił *night* (noc).

Ale nie wszystkie kombinacje powstały w ten sposób?

Nie, na przykład wybór 666 był oczywisty. Jest też wiele liczb i rzeczy, które mają dla mnie szczególne znaczenie. A właściwie – które miały dla mnie znaczenie dziesięć lat temu. Na przykład w liczbach ukryty jest mój pierwszy telefon komórkowy, taka cegła, jakich się już nie robi. Albo tamagotchi – pamiętasz jeszcze tamagotchi? O, albo budki telefoniczne: tu w Magdeburgu nie ma teraz budek telefonicznych albo niektórych budynków, które przypisałem do konkretnych sekwencji.

Zapamiętać można wszystko. Numer telefonu, twarz, nazwisko. Możesz na przykład słuchać kogoś przez piętnaście minut i podawane przez niego argumenty i fakty po drodze lokalizować w swoim pałacu pamięci. A potem tylko mówisz: „No więc tak, pierwszą rzeczą, którą wymieniłeś, było to-i-to".

Więc twoje spacery po Magdeburgu to trochę spacery sentymentalne?

Tak, ta podróż musi być osobista, inaczej jej nie zapamiętasz. Nawet wtedy, kiedy masz zapamiętać coś niewinnego, jak kopnięcie piłki. Jeżeli każesz stu osobom kopnąć piłkę, każda zrobi to nieco inaczej. W metodzie miejsc najważniejsze jest też to, by powstała przekonująca historia. Jeżeli jesteś zdenerwowany, kopniesz piłkę mocniej, agresywniej.

Możesz się zdenerwować w czasie konkursu?

Przestraszyć, zaciekawić... Oczywiście. To nie jest bezosobowa sekwencja obrazów. To jest jak film, ja to wszystko robię, ja tam jestem.

A pamiętasz jakieś szczególnie zaskakujące zdarzenia?

Staram się tego wszystkiego nie pamiętać. To niepotrzebne tak sobie zaśmiecać pamięć.

No ale na pewno zdarzyło Ci się kiedyś coś, o czym nie da się zapomnieć. Widziałeś kiedyś diabła w czasie konkursu?

Oczywiście! Przecież to jest tylko tysiąc obrazów, a ja to robię od lat. Jeżeli pamiętam fragment jakiejś podróży, to wynika głównie z wyjątkowej sytuacji. Pamiętam też raczej emocje, a nie konkretną historię w szczegółach. Raz na finale mistrzostw świata pojawiła się małpa w wannie, potem spojrzałem w lewo... była też kiedyś prostytutka w wannie, potem banan... Tak, to bywa bardzo intensywne. Ale też zabawne. Ale ponieważ robię to tak długo, teraz wszystko jest szalone, wyraziste. Nawet kopnięcie piłki to dla mnie silny obraz. I na tym wiele osób się wykłada, dlatego nie zostają mistrzami. Nie chcą się zaangażować, kopiują obrazy od kogoś innego. To nie jest ich pałac, to nie jest ich podróż.

Ciekawe, że zapamiętywanie czegoś, czyli najbardziej odtwórcze zajęcie, jakie sobie można wyobrazić, wymaga tak wielkiej kreatywności.

Tak, to najczęściej dziwi ludzi, którzy stykają się po raz pierwszy ze sportami pamięci. Ludzie nie rozumieją, że to coś więcej niż tylko zabawa dla kilkunastu fanatyków.

Jakie są korzyści z trenowania pamięci? Co to dało Tobie?

Cóż, moja historia jest jednak nietypowa. Sportami pamięci zainteresowałem się, kiedy piętnaście lat temu usłyszałem diagnozę [Johannes choruje na dystrofię mięśniową Landouzy'ego-Dejerine'a, rzadką chorobę genetyczną powodującą stopniowy zanik mięśni twarzy, obręczy barkowej i kończyn górnych – ŁL]. Pomyślałem, że muszę znaleźć sobie jakieś zajęcie, które nie wymaga mięśni, które dzieje się w głowie. I potem każdy kolejny krok w rozwoju mojej kariery szedł w parze z rozwojem choroby.

Jak decyzja o korzystaniu z wózka?

Tak, długo się przed tym opierałem. Ale wózek dał mi wolność. Przede wszystkim nie boję się już wychodzić z domu. Wcześniej stale się bałem, że ktoś we mnie wbiegnie, upadnę i nie będę mógł wstać. Teraz poruszam się po mieście szybciej niż ci wszyscy ludzie (*śmiech*). Ale zdecydowałem się na wózek również po to, żeby w 2012 roku móc pojechać na mistrzostwa świata do Londynu.

Na których zająłeś pierwsze miejsce.

Tak. I teraz dzięki wózkowi mogę swobodnie jeździć po świecie. To nie jest łatwe, ale wszystko da się zorganizować. Chiny, Stany Zjednoczone – proszę bardzo, nie ma sprawy.

A co przeciętny człowiek może uzyskać dzięki trenowaniu pamięci?

Najbardziej wkurza mnie, kiedy ktoś mówi, że nie zamierza być sportowcem pamięci, więc po co mu umiejętność zapamiętania 60 cyfr. To tak, jakby powie-

RDC POLSKIE RADIO

ŁUKASZ LAMŻA będzie gościem Anny Matusiak-Rześniowieckiej w środę 24 lipca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

dzieć, że nie ma sensu biegać, jeżeli się nie wybierasz na olimpiadę. Zapamiętać możesz wszystko. Numer telefonu, twarz, nazwisko. Możesz na przykład słuchać kogoś przez piętnaście minut i podawane przez niego argumenty i fakty po drodze lokalizować w swoim pałacu pamięci. A potem tylko mówisz: „No więc tak, pierwszą rzeczą, którą wymieniłeś, było to-i-to". To robi duże wrażenie, jesteś dzięki temu bardzo profesjonalny. Oczywiście możesz też zapamiętać numer czyjejś karty kredytowej i zarobić piwo. Mówisz tylko mimochodem: „O, jaki ładny obrazek na tej karcie!", bierzesz kartę do ręki na parę sekund, a w tle robisz swoje myk-myk-myk... Potem zakładasz się, że jeżeli podasz numer jego karty, ma ci postawić piwo.

I to działa?
Działa.

A jak byś zapamiętał menu tej lodziarni?
Lody spaghetti 6,90 euro. Ciasto truskawkowe 5,90. Puchar lodów truskawkowych: 7,90. 690 to konfetti. 590 to linijka. 790 to... kojarzysz taką bajkę „Chip und Chap"?

Nie kojarzę. Co to?
Bajka, którą bardzo lubiłem w dzieciństwie. Dwie wiewiórki...

Aaa, to pewnie „Chip and Dale", tak to się nazywało w Polsce. Rozwiązywali zagadki...
O to to! Więc teraz zapamiętujesz sobie lody spaghetti posypane confetti, no patrz, jak się ładnie złożyło: „spaghetti-confetti". Potem sobie wyobrażasz, że wgryzasz się w ciasto truskawkowe, a tam w środku drewniana linijka...

Łe. Fuj.
No właśnie, o to „fuj" chodzi! Teraz masz już silny mentalny obraz tych truskawek i tego przygryzionego kawałka drewna. A potem w pucharze lodów taplają się Chip i Chap. I już całe menu w głowie.

Tylko trzeba zainwestować pół roku w zapamiętanie tysiąca obrazów.
OK, ale ja tego nie robiłem codziennie. No wiesz, godzinkę tu, godzinkę tam. Poza tym większość osób posługuje się sekwencjami dwucyfrowymi, a do tego potrzebujesz tylko stu obrazów. Uwierz mi, to nie jest wcale trudne.

Trening mistrzów

OTO LISTA 30 PRZYPADKOWYCH SŁÓW wygenerowana na jednej ze stron internetowych, z których korzystają przy swoich treningach mistrzowie pamięci. Stosowaną przez zawodowców metodą na zapamiętywanie tego typu listy jest stworzenie żywego, barwnego, emocjonującego, najlepiej osobistego scenariusza, w którym kolejno wystąpią wszystkie te słowa.

Na rozgrzewkę proponuję 10 słów. Mało ci? Dołącz kolejne dziesięć. A potem kolejne! Miłej zabawy.

UBRANIA | POMYSŁ | DYREKTOR
NIEPOROZUMIENIE | PRACOWNIK
OKAZJA | MAMA | DRAMAT
REKLAMA | BŁĄD

CHLEB | WIERSZ | SILNIK | INWESTYCJA
PROFESOR | ENERGIA | ATMOSFERA
MIESZKANIE | FILM | ODMIANA

BŁOTO | BIURO | KAPELUSZ | APARAT
SŁABOŚĆ | KARA | SZAFKA | ROZMOWA
DYSK | JĘZYK

Zapamiętać można wszystko?
Wszystko.

Pamiętasz moje nazwisko?
Yyy... Nie wiem, czy mi je podawałeś.

W pierwszym mailu.
Hm...

Spokojnie, to nie tak, że Cię sprawdzam. Pewnie dziennikarze często traktują Cię jako małpkę cyrkową: „Zrób sztuczkę!".
Tak, nie znoszę tego. Przestałem już chodzić do telewizji niemieckiej. Ich interesuje tylko *show*. Tak naprawdę mógłbym oszukiwać, odczytywać to z kartki schowanej za kamerą, ich nie interesuje, o co w tym wszystkich chodzi, czym są sporty pamięci. Ma być kolorowo. Teraz po prostu pytam, ile płacą, i jeżeli dobrze, to przyjeżdżam.

Pytałem, bo zastanawiałem się, jaką metodą zapamiętałbyś losowy ciąg liter. Moje nazwisko to pewnie dla Ciebie bełkot. O, albo nazwa mojego czasopisma, zobacz.
Ty-godnik... Pow... „Sz" to chyba częsta kombinacja w Polsce?

Oj, częsta. Patrz na moje imię.
Jak to się wymawia?

Szzzzzzzz...
Szzzzzzz...

No to jak byś zapamiętał te dwa słowa?
Zrobiłbym z nich historyjkę. Hm. „Ty" to może być „Thank you". Potem mamy „God", więc Boga. Dziękuję Ci, Boże.

Czyli „Ty-God" to będzie „Dziękuję Ci, Boże"?
Brzmi nieźle.

To się w redakcji uśmieją.
Czemu?

Nic, przepraszam, mów dalej.
Teraz damy Bogu na imię „Nik". Dziękuję Ci, Boże, Nik... OK, nie jest źle, mamy pierwsze słowo. Potem z „Pow" zrobimy „power" – moc. Dziękuję Ci Boże Nik, że użyłeś swojej mocy, aby... „S-Z-E-C-H". Hm. Zrobimy z tego „Czecha" albo „czek". Mógłbym to wymówić jako „Czech"?

Hm. Trochę mógłbyś.
A na końcu jest „NY", więc Nowy Jork. Dziękuję Ci Boże Nik, że użyłeś swej mocy, by wysłać Czecha do Nowego Jorku.

...albo „że dałeś mi czek"?
Tak, nawet lepiej, teraz to będzie o tobie. Dziękuję Ci Boże Nik, że użyłeś swej mocy, by dać mi czek, żebym mógł polecieć do Nowego Jorku.

I tyle? Gotowe?
Gdyby to był konkurs, jeszcze bym coś dodał, żeby nie pomylić „SZ" z „CH". Ale ogólnie tak. Mogę teraz to spokojnie zapisać. Dziękuję Ci Boże Nik... TY-God-Nik Pow-szech-NY... Nowego Jorku. Już.

Proste.
Oczywiście, że proste!

Jaka panuje atmosfera na zawodach? Jest napięcie, konkurencja, intrygi?
Nie, jest może dziesięć, kilkanaście osób, które się liczą na świecie, i my się wszyscy znamy. Czasem pojawia się jakaś ↦

nowa osoba i potem wszyscy musimy zapamiętać, jak się nazywa.

Cha, cha...

Atmosfera jest swobodna, towarzyska. W przerwach między zadaniami rozmawiamy ze sobą, pytamy się, czy dobrze zapamiętaliśmy jakąś sekwencję. „Słuchaj, co tam było po 653? 724... 854... Aha, dzięki".

A co to jest 653-724-854?

653 to Slimer z „Pogromców Duchów". 724 to pistolet. 864 to pióro. No więc jest oczywiście walka o pierwsze miejsce, ale to czysta walka, *fair play*.

Wspominałeś o silnej grupie z Mongolii. Czemu akurat Mongolia?!

To się wszystko zaczęło od jednego faceta. Jest taki słynny facet, on był bardzo dobry w sportach pamięci. A ponieważ był jednocześnie znany, chyba jako polityk, to zaraził tym cały kraj. Pozakładał obozy treningowe, teraz jest ich chyba ze dwadzieścia w całym kraju, i kilkuset uczniów ma tam kilka razy w tygodniu zajęcia. On za to płaci, ale są ostre zasady. Osiągasz taki poziom, dostajesz tyle dofinansowania. Zdobędziesz mistrzostwo, dostaniesz tyle.

Jak się nazywa ten facet?

Kchmbln. (*śmiech*) Tam jest chyba jakieś K-H-A-A... Chyba Khaanthab, znajdziesz go w internecie [Khandsuren Khatanbaatar, obecnie dyrektor Mongolian Intellectual Academy – ŁL]

W Niemczech są na to pieniądze?

Trochę jest. Ale najważniejsze, żeby w twoim kraju był ktoś naprawdę dobry, kogo chcesz pokonać. U nas był ktoś taki – Gunther Karsten, wielokrotny mistrz Niemiec i mistrz świata. Kiedy masz kogoś takiego u siebie, to jest bardzo dobre, bo pierwszym krokiem w karierze są mistrzostwa krajowe. Więc jeżeli ten tytuł przyjdzie ci zbyt łatwo, to potem nie masz szans na arenie światowej.

A da się z tego wyżyć?

Z samych zawodów – nie. Rocznie jest kilka, najwyżej kilkanaście większych zawodów. Jeżeli wygrasz, dostajesz zwykle nie więcej niż kilka tysięcy euro, więc z samych nagród nie wyżyjesz, nawet gdybyś ciągle wygrywał – co jest niemożliwe. Jeżeli jesteś rozpoznawalny, to możesz iść do telewizji. Ja zajmuję się też udzielaniem lekcji pamięci, korepetycji.

I kto do Ciebie przychodzi? Ludzie, którym potrzeba dobrej pamięci w pracy albo na studiach, czy tacy, którzy chcą trenować do zawodów?

I tacy, i tacy. Mam na przykład studentów medycyny, którzy muszą spamiętać te wszystkie kości i ścięgna... Ale nawet wtedy dobrze jest zacząć od podstawowych ćwiczeń, od zapamiętywania cyfr i kart. To są podstawy, które wyrabiają dobre nawyki, kreatywność. To jest twoja baza. A trenować możesz na wszystkim. Jeżeli nie chcesz na początek zapamiętywać setki obrazów, zacznij od sekwencji przypadkowych słów, tworząc z nich historię. Bez problemu zapamiętasz dwadzieścia, trzydzieści. No wiesz. Piłka... zakonnica...

Ja mam problem z twarzami. Nie umiem przyporządkować twarzy do imion i nazwisk. Jest jakiś sposób na twarze? Bo cyfra jest jakby... oczywista. Pięć to pięć, cztery to cztery. A twarze są... bo ja wiem. Miękkie, niedookreślone. Wiesz, o co mi chodzi?

Wiem. Musisz sobie wybrać coś konkretnego. Na każdej twarzy jest zawsze jakiś szczegół, na którym możesz zawiesić oko. Pieprzyk, plamka, kształt ucha. Może po prostu nie przyglądasz się ludziom wystarczająco dokładnie?

Może.

To wszystko nie są żadne supermoce. Ja nie jestem supermenem. Wkurza mnie, kiedy mnie tak przedstawiają w telewizji. Tego może się nauczyć każdy człowiek, tylko większość po prostu nigdy nie próbuje. Zakładają, że nie umieją, i tyle. Nieprawda. Skoro ja się tego nauczyłem, ty też się tego możesz nauczyć, ja nie jestem żadnym autystycznym sawantem.

Miałem okazję poznać Daniela Tammeta, kojarzysz nazwisko?

Tak, on zapamiętał pi do dwudziestu tysięcy cyfr. Ale jemu to przychodzi naturalnie, prawda? To znaczy on nie jest profesjonalistą?

On jest właśnie autystycznym sawantem, tylko wysoko funkcjonującym. Te skojarzenia są u niego spontaniczne, poza tym błyskawicznie liczy.

No widzisz, a dla mnie to jest wyuczone, to jest jak praca. Przyjemna, ale praca.

Uczyłeś się kiedyś pi na pamięć?

Nie pamiętam. (*śmiech*)

© Rozmawiał ŁUKASZ LAMŻA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 3/19 z wniosku Władysławy Dworak i Marka Dworaka, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości składającej się z działki gruntu nr 390/2, o pow. 1,00 ha, położonej w miejscowości Wola Korybutowa Druga, gm. Siedliszcze, pow. chełmski, woj. lubelskie, dla której nie została urządzona księga wieczysta, a której właścicielami byli Nina Makowska i Mieczysław Makowski.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili swe prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 384/18 postępowanie z wniosku Gminy Jarocin o stwierdzenie nabycia spadku po:
– Halinie Ewie Chudak-Kostrzewskiej, zm. 16 sierpnia 2018 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie;
– Pawle Kostrzewskim, zm. 6 grudnia 2009 r. w Jarocinie, ostatnio stale zamieszkałym w Jarocinie.
W skład spadku po zmarłych wchodzą ich udziały w prawach do lokalu mieszkalnego położonego w Jarocinie oraz wyposażenia tego lokalu.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

„TP" 25 / 2019

Historia alternatywna

Czytając napisaną przez Wojciecha Pięciaka recenzję „Zwrotnic dziejów" Andrzeja Chwalby i Wojciecha Harpuli odniosłem wrażenie, że autor artykułu nie zna innych polskich publikacjach dotyczących historii alternatywnej, skoro powołuje się tylko na Kershawa i pisze, że „Chwalba idzie dalej". Zapewne zwiodło też autora (blurbowe) stwierdzenie, że książka ta stanowi „przełom w opowiadaniu o Polsce". Nie stanowi. Pozycji dyskursywnych (esejów lub wywiadów) dotyczących alternatywnej historii naszego kraju jest już co najmniej sześć, plus jedna dotycząca alternatywnych dziejów powszechnych XX wieku. Najważniejsza z nich to monumentalny traktat Witolda M. Orłowskiego „Stulecie chaosu. Alternatywne dzieje XX wieku" (Open, Warszawa 2006), przedstawiający nie tylko scenariusze, ale też ich obszerne uzasadnienia gospodarcze i cywilizacyjne (te scenariusze to: wejście Rosji do I wojny światowej po stronie Niemiec i w konsekwencji zwycięstwo niemieckie; odrodzenie polityczno-cywilizacyjne Chin na początku XX w.; zwycięstwo Niemiec nad ZSRR i przegrana z aliantami w II wojnie światowej; pełne zwycięstwo ZSRR w II wojnie światowej z opanowaniem Francji włącznie).
Z dzieł (czasem dziełek) poświęconych już samej Polsce pierwsza była bodaj „Alternatywna historia. Co by było, gdyby? Z Andrzejem Ajnenkielem, Henrykiem Samsonowiczem, Januszem Tazbirem, Pawłem Wieczorkiewiczem rozmawiają Janusz Osica i Andrzej Sowa" (Bellona, Warszawa 2005), zawierająca dwanaście scenariuszy. Od Polski bez testamentu Krzywoustego po Piłsudskiego czynnego w 1939 r. Główną zaletą tej książki jest „ciężar gatunkowy" rozmówców. Dalej idą: „Gdyby... Całkiem inna historia Polski" (Demart, Warszawa 2008), zawierająca szkice dwunastu autorów (w tym prof. Chwalby), także obejmujące całe dzieje Polski, od Chrztu po Okrągły Stół; Andrzeja Wielowieyskiego „Na rozdrożach dziejów. Historie prawdziwe i alternatywne" (Trio, Warszawa 2012), od Grunwaldu po plan Balcerowicza; Janusza Osicy i Andrzeja Sowy „Alternatywna historia II wojny światowej" (Bellona, Warszawa 2013), także wywiad rzeka; Witolda M. Orłowskiego „Inna Polska? 1918–2018. Alternatywne historie naszej historii" (Rebis, Poznań 2018), niestety znacznie słabsza od „Stulecia chaosu". Dopiero po niej jest miejsce dla „Zwrotnic dziejów". Niestety, tytuł książki prof. Chwalby nie jest jego dziełem, ale zaledwie parafrazą „Zwrotnic czasu", tytułu serii publikacji beletrystycznych, wydawanych w latach 2009-15 przez Narodowe Centrum Kultury, w ramach której ukazało się szesnaście pozycji, w tym dwie wybitne („Fausteria" Wojciecha Szydy i „Pióra albo sekretna historia literatury polskiej" Zbigniewa Wojnarowskiego – żadna z tych dwu nie jest zresztą historią alternatywną *sensu stricto*). Niestety, NCK najzupełniej nie umiało sprzedawać swych książek (w sensie literalnym i przenośnym) i pozostały one niezauważone poza kręgiem miłośników fantastyki, a i to nie wszystkie.
Co do tezy, że Konstytucja 3 maja była albo przedwczesna, albo spóźniona i przyczyniła się do upadku Polski, zetknąłem się z nią chyba jeszcze w latach 80. Nie jest to nowa teza. Jak wiele historii alternatywnych – jest kusząca, o ile tylko rozpatrujemy konsekwencje „pierwszego kroku". Może byłoby tak, jak uważa prof. Chwalba, może Polska miała szanse przetrwać jako rosyjski protektorat (którym była od początku XVIII w.) do czasów napoleońskich. Ale czy to zagwarantowałoby nam niepodległość po kongresie wiedeńskim lub jego odpowiedniku? Wątpię. Raczej nie w granicach z 1792 r. Dodam jeszcze, że ze wszystkich znanych mi poważnych rozważań nad alternatywnym przebiegiem dziejów (zwłaszcza najnowszych) wynika, iż rzeczywisty przebieg tych dziejów był nie tyle najlepszą, co najmniej złą ich możliwą wersją.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD
– TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
Dyskutuj o ulubionych autorach
Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na **powszech.net/bnd**

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

TYGODNIK POWSZECHNY
Book's not dead

JUŻ NIE PRZYMARZNIĘCI

Mieszkańcy obwodu archangielskiego nad Morzem Białym walczą przeciw budowie wysypiska dla odpadów z Moskwy. To jeden z oddolnych protestów, które coraz liczniej wybuchają w rosyjskich regionach.

ADAM MATEJKO Z ARCHANGIELSKA

Nie wiadomo, jak potoczyłaby się ta historia, gdyby nie myśliwi. Rok temu, w lipcu, natknęli się na wycinkę drzew w pobliżu stacji kolejowej Szijes. Możliwe, że gdyby nie ten przypadek, już kilka miesięcy później rozładowywano by na niej śmieci.

Wszak Szijes, położony przy granicy obwodu archangielskiego i autonomicznej Republiki Komi, na północy europejskiej części Rosji, wyludniony jest już od lat. Nikt nie miał się przedwcześnie dowiedzieć, że to ten region ma ratować od nadmiaru śmieci oddaloną o tysiąc kilometrów Moskwę.

Po odkryciu myśliwych, pytania zaczęli zadawać mieszkańcy Urdomy – kilkutysięcznej wsi, położonej 30 km dalej. Jednak ich samorządowcy też nie wiedzieli, co to za inwestycja. Regionalne władze w Archangielsku mówiły o tajemniczym „Ekotechnoparku".

O tym, że pod tą nazwą kryje się wysypisko śmieci, urdomczanie dowiedzieli się z przecieku od pracownika kolei: planowany był już pierwszy transport 56 wagonów z odpadami ze stolicy. W sierpniu 2018 r. w maleńkiej Urdomie odbył się pierwszy w jej historii protest: mieszkańcy żądali zatrzymania budowy.

W październiku przedstawiciele moskiewskiego merostwa przyznali w końcu, że na powierzchni 300 hektarów chcą składować w Szijesie pół miliona ton śmieci rocznie, przez 20 lat. Wtedy budowa wysypiska stała się tematem numer jeden w całym regionie.

Dzisiaj Szijes stało się już tematem ogólnokrajowym. Tak samo jak inne lokalne protesty, które w ostatnich miesiącach przyciągały uwagę Rosjan: czy to przeciwko budowie cerkwi w parku w Jekaterynburgu, czy też przeciwko korekcie granic północnokaukaskiej Inguszetii.

Pikieta przeciw wysypisku, na które mają trafiać śmieci z Moskwy. W górze flaga Urdomy: wioski położonej 30 km od planowanego wysypiska. Plac Lenina w Archangielsku, lato 2019 r.

ADAM MATEJKO

Kropla przelewająca czarę

– Przez lata znosiliśmy to, że politycy niewiele dla nas robią. Znieśliśmy też reformę emerytalną. Ale gdy działają otwarcie przeciw nam, to już co innego. Moskwa zabiera nam podatki i ludzi, a w zamian dostajemy śmieci – podsumowuje nastroje mieszkańców regionu 32-letni Andriej, informatyk, z którym rozmawiam w centrum Archangielska na pikiecie przeciwko budowie wysypiska.

Czy ten opór ma sens? Przecież obwód archangielski jest większy od Niemiec, żyje w nim tylko 1,1 mln ludzi, a sam Szijes leży aż 500 km od stolicy obwodu.

Na tę wątpliwość wszyscy rozmówcy mówią tylko o jednym: o błocie.

Gdy spotykamy się w restauracji w Archangielsku, Aleksander Pieskow od razu chwyta za serwetkę i zaczyna swój szkic. – Szijes leży na błotnistych terenach, przez które przepływa rzeka Wyczegda. Ta z kolei wpada do Dwiny, która płynie przez cały region aż do Archangielska. Jeśli wysypisko zatruje wody gruntowe, problem dotknie nas wszystkich – mówi 23-latek, jeden z organizatorów protestów, a w przeszłości koordynator lokalnego biura opozycyjnego polityka Aleksieja Nawalnego.

Pieskow zwraca uwagę na przestarzałą technologię – w Szijesie składowane mają być sprasowane śmieci zapakowane w grubą folię. – My chcemy segregacji i budowy zakładów do recyklingu – mówi.

Aleksander opowiada, jak w przeciągu ostatniego roku Archangielsk z jednego z najspokojniejszych regionów przekształcił się w jeden z najbardziej zbuntowanych. – O ludziach na północy mówiło się, że są „przymarznięci", niezainteresowani polityką. Miejscowa mentalność to „moja chata z kraja". Ale Szijes to dla ludzi problem bytowy, a nie kwestia demokratycznej wolności. Stąd to poruszenie – wyjaśnia Aleksander.

Nowe oczekiwania

Tyle że odpady to prawdziwy problem także dla Moskwy.

W ostatnich dwóch latach mieszkańcy obwodu moskiewskiego protestami doprowadzili do zamknięcia wielu wysypisk w pobliżu stolicy. Według ustaleń dziennikarza Iwana Gołunowa z portalu Meduza, Moskwa produkuje rocznie 8 mln ton śmieci, a musi znaleźć nowe wysypiska dla aż 5 mln ton. Stolica na gwałt szuka dla nich miejsca w innych regionach, ale natrafia na opór.

Tym bardziej że mieszkańcy regionów dobrze wiedzą o ekonomicznej przepaści, jaka dzieli ich od Moskwy. W stolicy średnie zarobki wynoszą brutto ok. 100 tys. rubli (równowartość 5,9 tys. zł), podczas gdy w obwodzie archangielskim jest to tylko 40 tys. rubli (2,3 tys. zł). – Tutaj czuć rozerwane więzy między Moskwą a regionem – mówi Aleksander Pieskow.

Opór rośnie szczególnie wtedy, gdy rządzący decydują bez konsultacji z mieszkańcami. – Odgórne podejmowanie decyzji, czyli to, co wcześniej było oznaką władzy i wzbudzało szacunek, teraz śmiertelnie denerwuje ludzi. Widać, że taki model zarządzania już nie jest skuteczny – ocenia w rozmowie z „Tygodnikiem" Jekaterina Szulman, politolożka z Rosyjskiej Akademii Gospodarki Narodowej i Służby Państwowej.

– W ostatnich dwóch latach obserwujemy w społeczeństwie zwiększającą się potrzebę uczestnictwa w procesie podejmowania decyzji. Sprzyjają temu nowe technologie komunikacji i obniżenie poziomu życia, przy jednoczesnym wzroście różnych opłat i podatków. Ludzie widzą, że płacą coraz więcej, a niewiele otrzymują w zamian – dodaje Szulman.

Blokada budowy i bunt w miastach

Te oddolne nastroje ścierają się z dużymi interesami, bo gospodarka odpadami to także szansa na wysoki zysk.

Na początku 2019 r. w Rosji ruszyła „reforma śmieciowa", w ramach której wywóz odpadów stał się usługą komunalną i płatną. Oficjalnym celem jest zwiększenie recyklingu. Dziś do ponownego przetworzenia trafia tylko 7 proc. z produkowanych w Rosji corocznie 70 mln ton odpadów. W 2024 r. ma to być 60 proc.

Reforma ma kosztować 291 mld rubli (równowartość 17 mld zł) i o swoją część tego tortu walczą poważni gracze – jak aktywny w sektorze zbrojeniowym koncern Rostec, syn prokuratora generalnego Igor Czajka czy rosyjskie koleje, które chcą zarobić na transporcie odpadów.

W Szijesie już zimą mieszkańcy Urdomy zaczęli blokować wjazd na teren budowy, aby zatrzymać dostawy benzyny dla używanych tam maszyn. Mimo że temperatury spadały do minus 30 stopni i regularnie dochodziło do spięć z ochroniarzami, blokady były skuteczne i paliwo na budowę trzeba było dostarczać helikopterami (wtedy protestujący zaczęli blokować lądowiska). W powstałym obok budowy „miasteczku" w szczytowym momencie przebywało ok. 600 aktywistów. Aby ograniczyć ich napływ, w czerwcu kolej przestała zatrzymywać pociągi na stacji Szijes.

Demonstracje organizowane jesienią i zimą w Archangielsku, Siewierodwińsku, Kotłasie i innych miastach regionu regularnie przyciągały kilka lub kilkanaście tysięcy ludzi, mimo że lokalne władze zezwalały na nie tylko w oddalonych dzielnicach miast, a w przeszłości wyciągnięcie na ulicę choćby kilkuset demonstrantów byłoby tu uznane za duży sukces.

Protestujący domagali się m.in. zatrzymania budowy, wprowadzenia segregacji odpadów i dymisji gubernatora obwodu archangielskiego Igora Orłowa. W niektórych miastach – także odejścia prezydenta Władimira Putina.

Organizatorzy twierdzą, że zebrali też 50 tys. podpisów za przeprowadzeniem referendum (porównując skalę: w Polsce byłoby to 1,9 mln podpisów). Choć sąd okręgowy w Archangielsku nakazał zarejestrować inicjatywę referendum, to wyrok uchylił w czerwcu Sąd Najwyższy.

Protesty koordynuje kilkunastoosobowa nieformalna grupa nazywająca się „Pomorze to nie śmietnik", do której należy też Aleksander Pieskow. Dla swojego ruchu adaptowali logotyp z kampanii prezydenckiej Nawalnego z 2018 r. O akcjach informują w liczącej 30 tys. członków grupie w serwisie społecznościowym VKontakte. Np. gdy zimą na blokadzie budowy brakowało ludzi, zamieszczali apele w internecie i parę dni później „miasteczko" znów się zapełniało.

Rozkład lokalnego systemu

Szijes to z jednej strony przykład determinacji lokalnych aktywistów, a z drugiej historia o nieudolności lokalnych władz, które przez rok jedynie eskalowały spór.

Gubernator obwodu Igor Orłow najpierw długo ignorował problem, a potem sprawiał wrażenie, jakby sam nie znał szczegółów inwestycji. Do dziś jedyne dostępne publicznie dokumenty ↦

↦ na temat budowy to slajdy z prezentacji, przygotowanej przez moskiewskie merostwo. To stąd rozpowszechnione obawy, że wysypisko będzie większe, niż zapewnia inwestor.

Gdyby kiedyś powstał podręcznik instruujący rosyjskich gubernatorów, jak nie należy zachowywać się w trakcie takiego kryzysu, powinna znaleźć się w nim wypowiedź Orłowa, który nazwał aktywistów „hołotą". Trzy dni później, 7 kwietnia, przez centrum Archangielska w nielegalnym (tj. przeprowadzonym bez zgody władz) marszu szło, wedle różnych źródeł, od 3 do 10 tys. osób. Na placu Lenina ogłosili „bezterminową pikietę" i odtąd spotykają się na niej codziennie. Tak Szijes stał się krajowym symbolem „protestu śmieciowego".

Nielegalna akcja była tu takim zaskoczeniem, że policjanci nie próbowali zatrzymać pochodu. – Jesteśmy rozdarci, my też jesteśmy stąd i nie popieramy wysypiska, ale z drugiej strony musimy wypełniać rozkazy – mówi anonimowo funkcjonariusz z Archangielska. Także ze względu na naciski z Moskwy policja zwiększyła presję na protestujących. Według Aleksandra Pieskowa do końca czerwca wszczęto 43 sprawy administracyjne i siedem spraw karnych.

Gubernatora Orłowa zaczęli też atakować lokalni politycy z partii opozycyjnych wobec kremlowskiej Jednej Rosji, przede wszystkim komuniści. O ile na poziomie federalnym mówi się o nich „systemowa opozycja" (tj. taka, która nie podważa politycznego monopolu ekipy na Kremlu), o tyle przy okazji destabilizacji sytuacji w regionach i oni próbują uszczknąć coś dla siebie.

– Chcą wykorzystać sytuację, by stać się nową polityczną elitą w regionie – tłumaczy Rusłan Achmietszin, jeden z organizatorów protestu, który w przeszłości sam pracował jako piarowiec w zespole gubernatora.

– Dzięki tematowi ekologii systemowa i pozasystemowa opozycja zaczęły ze sobą współpracować. Wcześniej się zwalczaliśmy, a teraz chodzimy razem pić kawę i omawiać wspólne akcje – przekonuje Achmietszin.

Nie bez znaczenia jest fakt, że w obwodzie archangielskim za rok odbędą się wybory gubernatora. Tymczasem w ubiegłym roku kandydatom „systemowej opozycji" udało się wygrać wybory na gubernatora w czterech regionach – na fali

ADAM MATEJKO

Puszka do zbierania datków z naklejką „Nie moskiewskim śmieciom na północy!".

społecznego niezadowolenia z podniesienia wieku emerytalnego (dla mężczyzn do 65., a dla kobiet do 60. roku życia).

Dziennik „RBK" donosi, że z badań zamówionych na Kremlu wynika, iż Orłow nie ma już w Archangielsku szans na reelekcję. Dlatego miałby zostać odsunięty od władzy jeszcze w tym roku, aby kandydat Jednej Rosji miał szansę w przyszłorocznych wyborach. Według informatora „RBK", zbliżonego do administracji prezydenta Putina, Orłow musi odejść, bo nie umiał obronić regionalnego systemu władzy: „Ma bardzo negatywny ranking, elity są podzielone, a region jest bliski wymknięcia się spod kontroli".

Wystarczy założyć kamizelkę

„Bezterminową pikietę" na placu Lenina w centrum Archangielska, dokładnie między budynkami miejskiej i regionalnej administracji, odwiedzam na początku lipca. Na chodniku, obok kilkunastoosobowej grupy, kolorową kredą napisana jest liczba 87 – już od tylu dni spotykają się tutaj przeciwnicy wysypiska w Szijesie.

Pikieta działa od rana do wieczora na rotacyjnej zasadzie: co chwila ktoś się do niej dołącza, a ktoś odłącza i wraca do swoich spraw. Wystarczy założyć żółtą kamizelkę, aby być jej uczestnikiem.

Co kilka minut podchodzą też inni mieszkańcy: a to pytają o najnowsze informacje, a to przynoszą prowiant dla pikietujących, a to proszą o czerwone naklejki na samochód z hasłem „Pomorze to nie śmietnik" (naklejki idą jak ciepłe bułeczki). Co kilka minut przejeżdżający w pobliżu kierowcy klaksonami pozdrawiają zgromadzonych.

Można spotkać różnych ludzi. 32-letnia Katia zajrzała tu podczas spaceru z synem. – Wcześniej chodziłam co najwyżej do klubu, ale nie na akcje. Po raz pierwszy wyszłam na kwietniowy marsz, potem zaczęłam czytać wiadomości w internecie i dowiedziałam się, że takie protesty są też w innych miastach. Wcześniej myślałam, że w Rosji nie ma takich problemów – mówi.

Tak jak inni, Katia żywo zaczęła interesować się ekologią (co weekend organizowane są tu warsztaty z segregacji odpadów). Teraz dumnie prezentuje materiałowe torby, które nosi ze sobą na zakupy. – Już nawet mąż zaczął segregować śmieci! – śmieje się.

Rosyjskie protesty socjalne

Jest także 35-letni Piotr o świdrującym spojrzeniu, który wygląda na starszego niż w rzeczywistości. Na jego żółtej kamizelce znaczek „Stop Szijes" sąsiaduje z metalowymi przypinkami z Doniecka.

Przez ostatnie osiem lat Piotr żył w ukraińskim Donbasie. Gdy zaczęła się tam wojna, walczył po stronie rosyjskich separatystów. Do rodzinnego Archangielska wrócił dopiero w 2018 r. Choć niczego nie żałuje („Przecież trzeba było walczyć z faszystami"; tak nazywa Ukraińców), to już nie popiera Władimira Putina. – W ostatnim czasie coś dużo kłamie w telewizji – mówi. Co najbardziej

Szijes: budowa wysypiska dla śmieci z Moskwy.

podoba mu się w tym proteście? – To, że ludzie są tu tacy otwarci i na powitanie się przytulamy – mówi i obejmuje jedną z demonstrantek.

W ciągu dnia prym na pikiecie wiodą emeryci, bezrobotni, matki z dziećmi. Po południu pojawiają się młodzi ludzie. Po godzinie dwudziestej nastolatek z gitarą intonuje pieśń – aranżację „Murów" („L'Estaca"), inspirowaną słowami Jacka Kaczmarskiego. Widać, że dla wielu ze zgromadzonych to pierwszy protest w życiu. W porównaniu do doświadczonych (i często rozgoryczonych) politycznych opozycjonistów w dużych rosyjskich miastach, od zgromadzonych tutaj wręcz bije optymizm i wiara w sukces ich działania.

Według pozarządowej organizacji Centrum Praw Socjalnych i Pracowniczych w pierwszym kwartale 2019 r. – w porównaniu do analogicznego okresu rok wcześniej – w Rosji niemal dwukrotnie wzrosła liczba protestów socjalnych (z 86 do 157, głównie przeciw opłatom za wywóz śmieci i reformie emerytalnej), a mocno zmniejszyła się liczba akcji o tematyce politycznej. Na trzecim miejscu pozostawały demonstracje dotyczące ekologii i zabudowy miast.

Dla wielu tematy socjalne i ekologiczne to tylko pretekst. Jak dla 47-letniego Konstantina, który spędził kilka dni na blokadach w Szijesie. – Ekologia to temat, w którym można jeszcze wyrazić protest wobec władzy. Otwarte krytykowanie prezydenta czy Kremla to tylko ściąganie na siebie problemów – mówi Konstantin.

Dodaje: – W przeszłości protestowałem, nie chodząc na wybory. Teraz wiem, że to był błąd i w przyszłym roku na pewno pójdę głosować.

Władza nie ma strategii

Oprócz sprawy Szijesu, w tym roku także kilka innych regionalnych konfliktów przebiło się na poziom krajowy. Jak ten majowy w Jekaterynburgu, położonym na Uralu czwartym największym rosyjskim mieście.

Mieszkańcy przez tydzień protestowali tam przeciw budowie w centralnym parku miasta nowej cerkwi, ufundowanej przez lokalnych oligarchów. Ścierali się z wynajętymi przez inwestorów „ochroniarzami" (młodymi osiłkami o gangsterskich metodach). Sprawa stała się na tyle głośna, że głos zabrał prezydent Putin: polecił zbadać opinię mieszkańców i budowa została wstrzymana.

Inną głośną sprawą były trwające od jesieni 2018 r. w północnokaukaskiej Inguszetii protesty przeciwko umowie o wymianie terytoriów, zawartej przez głowę Inguszetii Junus-Bek Jewkurowa i rządzącego w sąsiedniej Czeczenii Ramzana Kadyrowa. Na wielotysięczne zgromadzenia Jewkurow odpowiedział represjami w formie kar i aresztów, ale wobec nieustającego oporu w czerwcu tego roku sam ustąpił ze stanowiska.

Politolożka Jekaterina Szulman zastrzega, że te i inne regionalne inicjatywy nie stanowią jednego ruchu: każdy organizowany jest oddzielnie i dotyczy lokalnych problemów. Jednak zarówno protestujący, jak i lokalne władze uważnie obserwują inne regiony i patrzą na reakcję Moskwy.

– Udany protest w jednym regionie bez wątpienia zachęca do tego samego w innych częściach kraju. A los tych gubernatorów, którzy nieudolnie dławili protesty siłą, służy jako przestroga dla innych – ocenia Szulman. I dodaje: – Władza nie ma żadnego planu ani strategii radzenia sobie z takimi protestami i reaguje doraźnie, zależnie od sytuacji. Przy niektórych problemach ustępuje, przy niektórych zwiększa naciski, prześladując aktywistów. Często lokalni politycy liczą, że problem będzie można przeczekać i sprawa sama się uspokoi.

Determinacja „odmrożonych"

Wzorem protestujących w Jekaterynburgu, także obrońcy Szijesu z uwagą śledzą wypowiedzi Putina.

W ich sprawie prezydent zabrał dotąd głos tylko raz, w połowie maja, ogólnie wspominając o potrzebie konsultacji z mieszkańcami. Odtąd prace na budowie zostały wstrzymane, oficjalnie dla przeprowadzenia badań i zgromadzenia dokumentacji. Jednak gdy w czerwcu kilkuset zgromadzonych w Szijesie aktywistów próbowało zadać pytanie Putinowi podczas corocznej kilkugodzinnej „telekonferencji z narodem", nie zostali połączeni, a ich protest przemilczano.

Dla Aleksandra Pieskowa to znak, że po wakacjach budowa ruszy dalej, tym razem opakowana w lepszą kampanię PR – wszak problem moskiewskich odpadów będzie tylko narastać. Aktywiści szykują się na kontynuację oporu.

Obserwując determinację „odmrożonych" mieszkańców rosyjskiej północy, ciężko wyobrazić sobie, że wysypisko powstanie, jeśli ze strony władzy nie będzie wyraźnych ustępstw wobec protestujących.

© ADAM MATEJKO

EJATLAS.ORG

AFP / EAST NEWS

Alaa Salah na demonstracji przed dowództwem garnizonu w Chartumie, Sudan, kwiecień 2019 r.

Żadne z nas królowe

SARA NOWACKA

Gdy do mediów trafia zdjęcie Alai Salah, oczy świata zwracają się w stronę protestów w Sudanie. Studentka ubrana w biały thoub zostaje okrzyknięta symbolem rewolucji. Czy słusznie?

To mogło wyglądać tak: 8 kwietnia tego roku Alaa Salah zakłada suknię, którą dawniej nosiły sudańskie nauczycielki i lekarki. Postanowiła, że tego dnia wyrecytuje słowa poety: „To nie kule zabijają ludzi, lecz milczenie prześladowanych". Wiersz jest wymowny, więc i strój powinien taki być: długa biała suknia, a do niej kolczyki w kształcie księżyca. Wszystko to elementy sudańskiej kultury.

Recytacją Salah chce podnieść morale protestujących, którzy na ulice Chartumu wychodzą od dawna, bez skutku. Na początku znajduje sześć kobiet, z którymi zaczyna skandować rewolucyjne hasła. Zanim zdąży się zorientować, stoi na dachu samochodu, a wokół zbiera się ogromny tłum, który wtóruje jej z entuzjazmem. 22-letnia studentka moderuje tłumem naturalnie, gestykuluje z pełną swobodą.

Nie wie jeszcze, że właśnie staje się bohaterką: symbolem trwającej od miesięcy sudańskiej rewolucji, której efektem będzie koniec trwającego od blisko 30 lat reżimu prezydenta Omara al-Baszira.

Marzenia silniejsze od oręża

Przyczyny protestów w Sudanie nie odbiegają od początków tzw. Arabskiej Wiosny. W kraju panował reżim udający demokrację (w którą zresztą nikt nie wierzył). Ograniczone wolności obywatelskie, korupcja, coraz młodsze społeczeństwo, dla którego brakowało pracy i szalejąca inflacja składały się na trwający od lat kryzys.

W grudniu 2018 r. ceny chleba wzrosły trzykrotnie i to ostatecznie pchnęło ludzi do wyjścia na ulicę w miasteczku Atbara, 350 km od stołecznego Chartumu. I, podobnie jak podczas protestów np. w Tunezji w 2011 r., najpierw protestujący sprzeciwili się sytuacji ekonomicznej. Wkrótce protesty przeniosły się do stolicy, gdzie przerodziły się w ruch na rzecz obalenia rządu.

Ogromną rolę odegrało Sudańskie Stowarzyszenie Profesjonalistów – zrzeszające 15 związków zawodowych, reprezentujących m.in. lekarzy, prawników i nauczycieli, elitę społeczną kraju. Oni stali się przywódcami rewolucji. Udało im się zjednoczyć, pod wspólnym sztandarem Sojuszu na rzecz Wolności i Przemian, różne frakcje opozycji, w tym nawet bojówki z Darfuru, które od lat walczyły przeciw Al-Baszirowi.

Do przełomu doszło 6 kwietnia, w rocznicę przewrotu z 1985 r. (obalono wtedy reżim Dżafara Numajriego). 34 lata później Stowarzyszenie Profesjonalistów zwołało protest przed rezydencją Al-Baszira. Przyszły tłumy. Sudańczycy poczuli nadzieję – rozbudzoną także przez ostatnią rewolucję w Algierii, która zmusiła do ustąpienia wiekowego prezydenta Boute-

flikę. A także przez lidera głównej partii opozycyjnej Al-Umma (Wspólnota), Sadiqa al-Mahdiego. „Marzenia są silniejsze od oręża" – mówił w meczecie w Omdurmanie 5 kwietnia, podczas piątkowej modlitwy, zachęcając do udziału w pokojowej demonstracji. Protestujący liczyli, że armia – podobnie jak w 1985 r. – stanie po stronie ludu i przyczyni się do obalenia prezydenta.

Mówi się, że tego dnia w demonstracjach wzięło udział nawet 100 tys. ludzi. To wtedy postanowiono nie ustępować aż do zmiany reżimu. Uczestnicy rozłożyli prowizoryczne namioty i zaczęli protest okupacyjny. Nie wystarczyło, gdy 11 kwietnia armia obaliła Al-Baszira. Żądano wymiany całej elity (związanej z armią) na nową, cywilną.

Protest kobiet

Nagranie wideo, którego bohaterką była Alaa Salah, obiegło światowe media 8 kwietnia. Dziennikarze się nią zachwycili. Okrzyknięto ją symbolem sudańskiej rewolucji i „nubijską królową". Dwa dni później jej zdjęcie retweetowano 14 tys. razy, a nagranie opublikowane przez BBC obejrzało 182 tys. osób. Na stronie Wikipedii dotyczącej protestów poświęcono Salah osobny akapit. Świat obiegły analizy jej białej sukni (po arabsku *thoub*). I choć protesty w Sudanie trwały przecież od grudnia 2018 r., choć wcześniej aresztowano ponad 800 ludzi, a ponad 60 zginęło, dopiero „nubijska królowa" zdołała zwrócić na nie uwagę zachodniego świata.

Pewnie trudno się dziwić. W kwestii praw kobiet, na Zachodzie Sudan kojarzy się raczej z obrzezaniem dziewczynek czy wydawanymi za mąż 10-latkami. Walcząca o swoje prawa studentka była tym większym zaskoczeniem, że nie przystawała do europejskich skojarzeń z islamem. Fakt, że media przedstawiły jej zdjęcie jako sensację, tym bardziej kazał myśleć, że Sudanka biorąca udział w protestach jest czymś wyjątkowym.

Taka interpretacja jest jednak niesłuszna. Mimo represji, mimo bicia i aresztowań – lekarki, sprzątaczki, mieszkanki Chartumu i Darfuru wspólnie stanęły na czele protestujących i tej, i poprzednich rewolucji. Gdy same nie były obecne na protestach, organizowały transport dla kobiet w całym kraju, które chciały dołączyć do demonstracji. Według BBC kobiety stanowiły nawet 70 proc. protestujących. I choć były na chartumskich demonstracjach od początku, to dopiero zdjęcie Salah zapoczątkowało wysyp artykułów na temat ich zaangażowania podczas rewolucji.

Szaty rewolucji

O ile nie dziwi zainteresowanie postacią Salah, o tyle może dziwić uwaga, jaką poświęcono jej strojowi. W artykule dla „New York Timesa", zatytułowanym „To będzie najważniejsze zdjęcie sudańskiej rewolucji", Vanessa Friedman pisała, że kolczyki Salah jako „element tradycyjnego stroju ślubnego mają symbolizować kobiecość. Biała toga była również (...) demokratyczną częścią garderoby noszoną przez sekretarki i prawniczki". Suknia (*thoub*) kojarzyła się też z dawnym ubiorem nubijskich królowych (zwanych *kandaka*), stąd przydomek nadany Salah przez licznych interpretatorów jej wyglądu.

Jednak tytuł królowej nie każdej Sudance przypadłby do gustu. Na miesiąc przed wystąpieniem Alai Salah organizatorzy demonstracji zaproponowali, aby jeden dzień protestów poświęcić na sprzątanie miasta. Dosłowne tłumaczenie postulatu brzmiało: „Kiedy będzie dzień sprzątania? W niedzielę *kandaka* – tak, mówimy do was [kobiet], bo wam bardziej na tym zależy". Autor postulatu nie tylko powielił schemat arogancji, jakiej doświadczają wciąż Sudanki, lecz ujawnił przywiązanie do takiej obyczajowości również wśród demonstrujących.

Określenie *kandaka* spotkało się z oburzeniem kobiet, które liczyły, że wraz z obaleniem reżimu znikną stare podziały. „Żadne z nas królowe" – mówiły, dodając, że nie czują się lepsze od innych protestujących.

Kandaka może budzić też skojarzenia z przepaścią między ludem a władzą. Szczególnie tam, gdzie autorytarne reżimy doprowadziły kraj do załamania gospodarczego.

Ale nie tylko królewski tytuł wzbudził kontrowersje. „Biała szata, którą zgodnie z dawną tradycją nosiły wykształcone pracujące Sudanki, powinna nam przypominać, że te kobiety są [w Sudanie] raczej wyjątkiem niż normą" – pisała Nesrine Malik, publicystka sudańskiego pochodzenia, w artykule dla dziennika „The Guardian". Malik podała w wątpliwość wszechobecny entuzjazm wobec symbolicznego wymiaru stroju Salah. Jej komentarz zwracał uwagę na początek sudańskich protestów, wywołanych sprzeciwem wobec polityki gospodarczej, która pchnęła na ulice nie elity, lecz zwykłych mieszkańców.

Trudno zatem uznać biały *thoub* za adekwatny symbol tych protestów. Zdaniem Malik Alaa Salah wygląda jak „pewnego rodzaju obraz dawnych czasów, zastrzeżony dla określonej klasy społecznej", i jako taka, symbolika jej stroju powinna stać się reliktem przeszłości.

Rozczarowania i nadzieje

Gdyby nie czerwcowe ataki armii na protestujących, kobiecy głos tej rewolucji moglibyśmy uznać za usłyszany. Sudańskie Stowarzyszenie Profesjonalistów zażądało, by cywilny rząd tymczasowy – który miał zastąpić armię, rządzącą od obalenia Al-Baszira – w co najmniej 40 procentach składał się z kobiet (w Polsce kobiety zajmują w Sejmie ok. 28 proc. miejsc). Ale potem, 3 czerwca, służby bezpieczeństwa otworzyły ogień do protestujących w Chartumie. Mówi się, że ten atak zniszczył nadzieję, wzbudzoną przez pokojową dotąd rewolucję. Organizacje pozarządowe piszą o licznych przypadkach pobić, o ciałach wrzucanych do Nilu – milczącego świadka wielu afrykańskich rewolucji.

Wybuch przemocy zmusił Sojusz na rzecz Wolności i Przemian do kompromisu: przez kolejne trzy lata Sudanem będzie rządzić powołana wspólnie z armią rada. Jej przywódcą będzie przez 21 miesięcy generał, a przez kolejnych 18 cywilny lider. Pomimo deklaracji opozycji – na sali obrad decydujących o przyszłości Sudanu kobiet było zaledwie kilka. Czy więc po raz kolejny ambicje ludzi w mundurach pogrążyły temat praw kobiet?

Alaa Salah jest prawdziwym symbolem sudańskiej rewolucji. Natomiast jej strój zupełnie nie oddaje tego, czym są protesty w Chartumie: upartym wołaniem o nowy porządek, w którym nie będzie miejsca na klasowe i etniczne podziały ani na absolutnych władców. Sprzeciwem kobiet wobec dyskryminacji, której doświadczają od lat.

Jak definitywnie potoczą się losy tej rewolucji, dowiemy się być może dopiero, gdy Alaa Salah będzie już absolwentką. Pozostaje nadzieja, że jej *thoub* nie stanie się strojem oddzielającym kobiety wykształcone i zajmujące prestiżowe stanowiska od tych, które stały u ich boku podczas protestów. I że jego symbolika stanie się jedynie wspomnieniem. ©

Dwa billboardy za Missoulą

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Wychodzą z domu i nigdy nie wracają. Historie zaginionych kobiet są odbiciem problemów, z jakimi zmagają się dziś rdzenni Amerykanie.

DAVID GOLDMAN / AP PHOTO / EAST NEWS

Niska, chudziutka brunetka. Można powiedzieć – 41 kilo beztroskiej radości. W okularach wygląda na miłą dziewczynę z sąsiedztwa. Bez okularów na piękność, która – gdyby nie zaledwie 157 cm wzrostu – mogłaby zostać modelką. Ale jej nie w głowie są przebieranki. Na co dzień nosi T-shirt, dżinsy i kowbojski pasek. Zwyczajna dziewczyna o zwyczajnych marzeniach. Skąd mogła wiedzieć, że jej historia trafi na amerykański Kapitol?

Impreza

Miasteczko Browning, w rezerwacie plemienia Czarnych Stóp w stanie Montana, liczy zaledwie tysiąc dusz. Stąd do granicy z Kanadą jest już tylko 70 kilometrów.

Ashley Loring Heavy Runner, 20-letnia Indianka o wyjątkowo długim nazwisku, szykuje się do wyjścia. Pakuje plecak i czeka na znajomych, z którymi pojedzie na imprezę. Kilka godzin później ktoś zamieszcza w sieci filmik. Ashley siedzi roześmiana wśród przyjaciół i popija piwo.

Z zeznań świadków wynika, że dziewczyna opuściła imprezę w środku nocy. Następnego dnia wysłała do znajomych kilka esemesów z prośbą o podwózkę. Nikt nie mógł jej pomóc, bo Ashley przestała odpowiadać na wiadomości. Od tego momentu zaczynają się już tylko domysły. Podobno ktoś widział, jak uciekała wzdłuż autostrady przed prowadzącym samochód mężczyzną. Trwają spekulacje: może ktoś ją porwał, może trafiła do domu publicznego, może została zamordowana, a jej ciało zakopano w górach?

Dziś, dwa lata po zaginięciu Ashley – stało się to 6 czerwca 2017 r. – wciąż nie udało się ustalić prawdy. Udało się za to przyciągnąć uwagę mediów, które opisywały jej historię. A także zainteresować parlament federalny USA: o zaginionej 20-latce na Kapitolu zrobiło się głośno 12 grudnia 2018 r. To za sprawą jej siostry Kimberly, która zeznawała przed senacką komisją do spraw Indian.

Podczas sesji poświęconej problemowi zaginionych rdzennych Amerykanek Kimberly opowiadała o nieudolnym śledztwie i organizowanych na własną rękę poszukiwaniach. Mówiła o zakrwawionym swetrze, który trzy tygodnie po zaginięciu Ashley znalazła na terenie rezerwatu. Czy należał do jej siostry? Tego nie wiadomo, bo sweter nie został wysłany do laboratorium kryminalistycznego. Kimberly twierdzi, że policja plemienna nie przeszukała nawet terenu, na którym go znaleziono. Po dwóch miesiącach od zgłoszenia zaginięcia Kimberly usłyszała od policjantów, że nie powinna się niczym przejmować. Że siostra pewnie gdzieś wyjechała i w końcu wróci. Jest „przecież dorosła i może robić, co jej się podoba".

Śledztwo nabrało tempa dopiero po dziewięciu miesiącach, gdy w sprawę zaangażowało się Federalne Biuro Śledcze (FBI). Aż do tego czasu Kimberly musiała szukać Ashley (albo raczej: jej ciała) na własną rękę.

Czyje to śledztwo?

Jak wynika z najbardziej aktualnych danych National Crime Information Center, w 2016 r. zgłoszono zaginięcie 5712 rdzennych Amerykanek (w całych Stanach zgłoszono zaginięcie w sumie ponad 647 tys. osób).

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że śledztwo w przypadku większości tych „indiańskich" spraw toczy się w ślimaczym tempie. Jedną z przyczyn jest obowiązujący w rezerwatach porządek prawny. Na terenie znajdujących się w Stanach 326 rezerwatów władzę sprawują rady plemienne. Indianie mają też własne sądy i system szkolnictwa. Działania administracji plemiennej nadzorowane są jednak przez Biuro ds. Indian: rządową agencję, podległą Departamentowi Spraw Wewnętrznych.

System zależności na ziemiach indiańskich najlepiej można zrozumieć na przykładzie jurysdykcji karnej. W zależności od rodzaju przestępstwa, miejsca, w którym do niego doszło, a także rasy przestępcy i rasy ofiary, jurysdykcję mają władze plemienne, stanowe lub federalne. Np. sądy plemienne mogą orzekać tylko w sprawach o przestępstwa popełnione przez Indian. Jeśli nie można ustalić tożsamości przestępcy albo nie jest on rdzennym Amerykaninem, do działania włączają się władze federalne.

Gdy więc Kimberly zgłosiła policji plemiennej zaginięcie Ashley, informacje na ten temat zostały przekazane do Biura ds. Indian. To z kolei powinno zawiadomić o całej sprawie FBI i prokuratorów federalnych, którzy decydują o wszczęciu śledztwa.

Skomplikowane regulacje i wynikająca z nich opieszałość organów ścigania sprawiają, że przestępcy na indiańskich

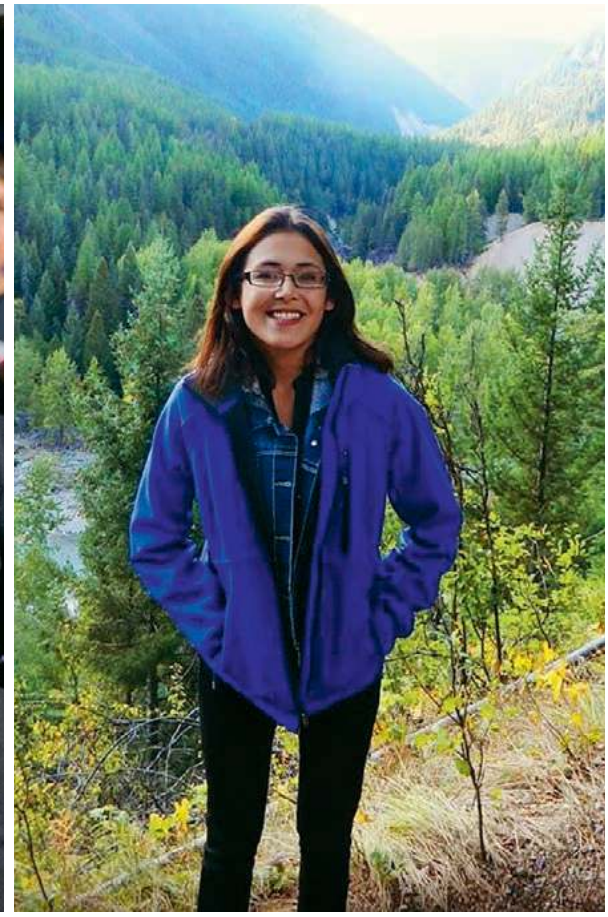

ARCHIWUM PRYWATNE

Jenna Loring (w środku) – ciotka zaginionej Ashley (na zdjęciu z prawej) – i jej kuzynka Lissalynn. Browning w rezerwacie Indian, Montana, 14 lipca 2018 r.

ziemiach mogą czuć się bezkarni. W niektórych rezerwatach wskaźniki zabójstw kobiet są nawet 10 razy wyższe niż w innych rejonach USA. Ponad połowa Indianek pada ofiarą napaści seksualnej lub przemocy domowej. Co trzecia doświadczyła w życiu gwałtu.

Kobiety mieszkające w rezerwatach są też łatwym łupem dla handlarzy żywym towarem. Takie stany jak Montana czy Minnesota są „zagłębiem" gangów rekrutujących kobiety do burdeli m.in. w Dakocie Północnej. Do pracy na tamtejszych polach naftowych od lat ściągają mężczyźni z całego kraju, a wielu mieszka w kontenerach w pobliżu rezerwatów.

Piekło w niebie

Lissalynn Loring, 34-letnia kuzynka Ashley, ostatni raz miała z nią kontakt kilka miesięcy przed jej zaginięciem. Ashley napisała esemesa, czy może pożyczyć jej 10 dolarów na benzynę. Nie wiedziała, że Lissalynn przeprowadziła się do Portland, odległego o ponad tysiąc kilometrów.

– Zażartowałam, że chętnie pożyczę jej pieniądze, musi tylko do mnie podjechać – mówi Lissalynn w rozmowie z „Tygodnikiem". – Jak zwykle zareagowała z humorem i wysłała mi mnóstwo uśmiechniętych buziek. To była dobra dziewczyna. Uczyła się w dwuletnim college'u w Browning i marzyła o studiach w większym mieście. Los jej nie rozpieszczał. W dzieciństwie trafiła do rodziny zastępczej. Przez wiele lat wychowywali ją też dziadkowie. Na rodziców alkoholików nigdy nie mogła liczyć – opowiada kuzynka.

Życie w rezerwacie nie oszczędzało też Lissalynn. Jej problemy zaczęły się już w dzieciństwie. Najpierw gwałcił ją wujek, potem kuzyn. Bolesne doświadczenia pchnęły ją w uzależnienie od alkoholu i narkotyków. Będąc w takim ciągu, wchodziła w kolejne związki i zachodziła w ciążę. Ma piątkę dzieci, najstarszy syn skończył 20 lat. Gdy było już naprawdę źle, najmłodszymi córkami opiekowali się jej rodzice.

– Przyszedł taki moment, że nie mogłam tak dalej – wspomina Lissalynn. – Nie chciałam niszczyć życia sobie i moim dzieciom. Gdy wyszłam z nałogu, podjęłam decyzję o przeprowadzce. W Portland są lepsze żłobki i szkoły. Łatwiej znaleźć pracę.

– Choć jest mi tu dobrze, tęsknię za Browning – dodaje kobieta. – To przecież mój dom. Na terenie rezerwatu mamy piękne góry. W pobliskim parku narodowym można podziwiać szczyty lodowców. Tylko dlaczego, wśród tych pięknych widoków, urządziliśmy sobie piekło!?

Dziś Lissalynn jeździ do Browning tylko po to, aby szukać ciała Ashley. – Gdy całą rodziną idziemy w teren, zapominam o świecie. Towarzyszą mi tylko myśli: co ona wtedy czuła, czy ktoś ją zranił? I czy kiedykolwiek znajdziemy jej ciało? – mówi.

Ostatnie zdjęcie na Facebooku

Podobne pytania co Lissalynn zadaje sobie Johnny Charlo, wąsaty 43-latek o opuchniętej twarzy.

Łączymy się przez wideo na Facebooku. Choć ma dziś wolne w pracy, umawia się ze mną na dziewiątą rano. Kiedyś – po zakrapianej alkoholem nocy – byłoby to dla niego nie do pomyślenia. Ale Johnny jest już abstynentem i mieszka w Missouli, 73-tysięcznym mieście w stanie Montana. Z oddalonego o ponad 100 km rezerwatu Flathead wyprowadził się prawie dwa lata ↦

temu. O wyrwaniu się z rodzinnych stron marzyła też jego 23-letnia córka Jermain. Uzależnienie od narkotyków i alkoholu ciągnęło ją na dno.

Ona nowego życia nie zaczęła. O wszystkim przesądził wieczór 15 czerwca 2018 r. Jak co piątek, Jermain przyjechała do Missouli, aby się wyszaleć. Odwiedziła trzy bary w centrum miasta. Miała na sobie dżinsy, kowbojskie buty, szarą bluzę z kapturem i czapkę z daszkiem. Ostatni raz widziano ją o pierwszej w nocy w pobliżu ulicy Orange Street Market. Policja nie wyklucza, że została porwana.

O jej zniknięciu przypominają dziś dwa billboardy. Pierwszy stoi przy autostradzie wyjazdowej z Missouli, drugi na terenie rezerwatu Flathead. Na obu zamieszczono jej zdjęcie i informację o zaginięciu.

Uwagę mijających billboardy kierowców przyciągają starannie pomalowane oczy, wyregulowane brwi i pociągnięte różowym błyszczykiem usta. Jermain uwielbiała się malować. Nie było dnia, by nie opublikowała w mediach społecznościowych swojego zdjęcia. Dlatego, gdy na jej facebookowym profilu zapadła cisza, pierwsza zaniepokoiła się matka. To ona poinformowała policję o zaginięciu córki.

Dzień Ojca

Johnny mówi, że o wszystkim dowiedział się z telewizji.

– Z matką Jermain nie miałem kontaktu – tłumaczy. – Rozstaliśmy się, gdy mała miała zaledwie pół roku. Moja relacja z córką przez to mocno się rozluźniła. Byłem ojcem od święta. Odwiedzałem ją w urodziny i chodziłem na jej przedstawienia w szkole. Gdy miała 12 lat, kupiłem jej deskorolkę. Taką nowiusieńką, za 300 dolarów. Pamiętam dokładnie, bo męczyła mnie o to przez kilka miesięcy. Ale to była radość... – wspomina.

Mężczyzna nie może sobie wybaczyć, że zbliżył się do córki dopiero na kilka miesięcy przed jej zaginięciem. Twierdzi, że Jermain planowała nawet zamieszkać z nim w Missouli. Że chciała wyrwać się z nałogu, przez który zaniedbywała swoje dzieci – miała już córkę i syna.

– Ostatni raz widzieliśmy się 23 kwietnia 2018 r. – mówi Johnny. – Pamiętam dokładnie, to były jej urodziny. Świętowaliśmy podwójnie, bo obchodzę urodziny dzień później. Poszliśmy do chińskiej knajpy. Obiecała mi wtedy, że następnym razem zobaczymy się w Dzień Ojca, w czerwcu. Nie dotrzymała słowa. Nie odbierała telefonu, nie odpisywała na esemesy. Bardzo się na nią zdenerwowałem. Skąd mogłem wiedzieć, że dzień wcześniej coś jej się stało? Tak bardzo chciałem być lepszym ojcem... – mówi i płacze.

To, jak bardzo rdzenni Amerykanie odstają w ekonomicznych statystykach, widać na przykładzie rezerwatów, w których mieszka dziś co piąty spośród ponad 5 mln Indian.

Incydent

Johnny długo nie wspomina, że tak naprawdę od córki oddaliło go pięć lat spędzonych w więzieniu. Dopiero pod koniec naszej rozmowy wyznaje, że wyszedł na wolność na jesieni 2017 r. Jest teraz na zwolnieniu warunkowym. Gdy pytam, za co siedział, nie chce zdradzić szczegółów. Mówi tylko „o ataku na drugą osobę". Do „incydentu" miało dojść, gdy wraz z kolegami z rezerwatu poszedł w pijackie i narkotykowe tango.

Prawdę na jego temat znajduję w internecie. Sprawdzam rejestr przestępców Departamentu Sprawiedliwości stanu Montana: „Johnny Shawn Charlo, skazany za napaść seksualną na 12-latkę".

Jak wynika z zeznań świadków, na które powołuje się lokalny dziennik „Valley Journal", do „incydentu" doszło w domu znajomej Johnny'ego. Około piątej rano zakradł się do jej 12-letniej córki. Dziewczynka spała na materacu na podłodze. Johnny dotknął jej miejsc intymnych. Przerażona dziewczynka pobiegła po pomoc do starszej siostry. Gdy wróciły razem do pokoju, mężczyzna miał spuszczone do kostek spodnie. Zeznał potem, że niczego nie pamięta. Twierdził, że tamtej nocy wypił co najmniej dziesięć drinków. Policja znalazła w jego mieszkaniu bokserki. Jak wynika z zeznań dziewczynek – takie samie miał na sobie w momencie napaści.

Jermain przez długie lata nie mogła wybaczyć ojcu tego, co chciał zrobić. Ani razu nie odwiedziła go w więzieniu. Johnny nie poznał nigdy swoich wnuków. Nawet nie jest pewien, ile dokładnie mają lat.

Ponadprzeciętni

Przemoc, rozbite rodziny i trawiące rdzennych Amerykanów uzależnienie od używek – to jedynie wierzchołek góry lodowej. Indiańskie plemiona w USA, których historia naznaczona jest przez wysiedlenia, zamykanie w rezerwatach i stopniowe ograniczanie suwerenności, do dziś tkwią na szarym końcu rozwoju ekonomicznego.

W przypadku wielu spośród 5,2 mln rdzennych Amerykanów nieszczęścia lubią chodzić parami. Gdy w 2016 r. średnia stopa bezrobocia w Stanach wynosiła 4,9 proc., wśród rdzennych Amerykanów była prawie dwa i pół raza wyższa.

Co czwarty Indianin żyje w ubóstwie. Prawie co czwarty nie ma ubezpieczenia zdrowotnego i korzysta z finansowanej przez rząd federalny opieki na terenie rezerwatów. Statystyczny Indianin żyje 73 lata – to o pięć i pół roku krócej niż przeciętny obywatel USA. Z kolei odsetek samobójstw wśród młodych jest dwa i pół raza wyższy od średniej krajowej.

W zmagających się z alkoholizmem i uzależnieniem od narkotyków społecznościach dzieci o wiele częściej trafiają do rodzin zastępczych. Nie najlepiej jest też z edukacją. Tylko co dziesiąty Indianin skończył studia licencjackie. Tymczasem wśród reszty Amerykanów dyplom licencjata ma co trzecia osoba.

Krócej niż w Iraku

To, jak bardzo rdzenni Amerykanie odstają w ekonomicznych statystykach, widać na przykładzie rezerwatów. Dziś mieszka w nich „zaledwie" jedna piąta Indian. To efekt m.in. rozpoczętej w latach 50. XX w. polityki stopniowej likwidacji rezerwatów i przesiedlania ich mieszkańców do miast. Działania te miały na celu zwiększenie asymilacji rdzennych Amerykanów i stawienie czoła biedzie, szerzącej się na indiańskich ziemiach.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
MARTA ZDZIEBORSKA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w środę 24 lipca, godz. 16.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

W rezerwatach zatrudnienie można znaleźć głównie w administracji plemiennej, szkołach i sklepach. Ważnym pracodawcą na przestrzeni ostatnich dekad stały się też kasyna, które dla niektórych plemion są głównym źródłem dochodu. Z biznesu hazardowego słynie m.in. plemię Seminolów z Florydy. Zyski z prowadzenia sześciu kasyn wynoszą tam miliardy dolarów rocznie. To jednak wyjątek. Tylko niektóre spośród 573 uznanych przez rząd federalny USA plemion prowadzą na tyle rentowne kasyna, aby zyski przełożyły się na dobrobyt całej społeczności.

I tak, choć na terenie rezerwatu Czarnych Stóp w stanie Montana funkcjonuje kasyno, to aż 38 proc. tutejszych mieszkańców żyje w ubóstwie. Taki sam odsetek ubogich mieszka w największym w Stanach rezerwacie plemienia Nawaho. Rekordy bije jednak rezerwat Pine Ridge w Dakocie Południowej, gdzie ponad połowa ludzi żyje poniżej granicy ubóstwa. Około 80 proc. mieszkańców nie ma tam pracy, prawie dwie trzecie jest uzależnione od alkoholu, a co czwarte dziecko rodzi się z alkoholowym zespołem płodowym. Nic dziwnego, że w tym jednym z najbiedniejszych rejonów USA średnia długość życia wynosi niecałe 67 lat. To krócej, niż żyją mieszkańcy Iraku.

Po cichu

Do długiej listy problemów, z jakimi zmagają się Indianie, należałoby dodać także niewydolne władze plemienne. Ich działanie zależy od cienkiego strumienia funduszy z budżetu federalnego. Do tego trzeba dodać szerzącą się w rezerwatach korupcję, braki kadrowe i nisko wykwalifikowany personel.

Jak wynika z danych Narodowego Kongresu Indian Amerykańskich, na terenie wszystkich rezerwatów zatrudnionych jest niecałe 3 tys. funkcjonariuszy policji i federalnego Biura ds. Indian. Rezerwat Czarnych Stóp, który ma prawie 8 tys. km kwadratowych powierzchni, patroluje zaledwie 19 policjantów.

Rodzina szukająca ciała Ashley jest raczej bez szans. W kraju, gdzie tak wiele mówi się o równości, Indianie wciąż żyją i odchodzą po cichu.

© MARTA ZDZIEBORSKA

MARK CONDREN / THE IRISH INDEPENDENT / EYEVINE / EAST NEWS

W ruinach miasta Dajr az-Zaur we wschodniej Syrii.

Państwo Islamskie wciąż walczy

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z RAKKI I AJN ISY (SYRIA)

Po utracie swego kalifatu dżihadyści zaczęli działania dywersyjne. Sieją chaos w północno-wschodniej Syrii i dają sygnał, że Państwo Islamskie nie jest przeszłością.

Aram Rakka wraz ze swoimi towarzyszami broni stał na dachu budynku przy jednym z posterunków. Chronili małą miejscowość we wschodniej Syrii, której nazwy już nie pamięta. Podobnie jak dokładnej daty. Mówi, że gdy jest się na froncie, dni i godziny zlewają się w jedno i niemiłosiernie ciągną.

Z tamtej sekwencji zdarzeń najbardziej wbił mu się w pamięć moment, gdy kobieta z dzieckiem na rękach wysadziła się w powietrze tuż przed jego nosem. Obok niej szła jeszcze jedna. Obie były zasłonięte od stóp do głów czarnymi szatami.

Ubiór nie wzbudził podejrzeń ludzi na posterunku. Prowincja Dajr az-Zaur we wschodniej Syrii – gdzie wtedy stacjonował on, 25-letni bojownik Syryjskich Sił Demokratycznych o pseudonimie Aram Rakka – od lat słynęła z konserwatyzmu mieszkańców, niemal wyłącznie sunnitów. Ponadto to na tych terytoriach, ↦

↦ po wybuchu syryjskiej wojny domowej w 2011 r., szybko zakorzeniły się frakcje dżihadystyczne – w tym tzw. Państwo Islamskie. Przez lata mieszkańcy prowincji musieli przestrzegać narzuconych przez nich zasad, także tych dotyczących ubioru.

– Daesz zmuszało ludzi, by nosili długie brody i czarne szaty. Przez to trudno było rozróżnić, kto jest cywilem, a kto jest od nich – wyjaśnia Aram. – Przychodząc z zewnątrz, wydawało się, że wszyscy należą do Daeszu.

Mówiąc o Państwie Islamskim, Aram używa nazwy Daesz – jest stosowana przez przeciwników organizacji.

Z szahadą na ustach

Podejrzenie bojowników wzbudziła natomiast torba, którą oprócz dziecka miała ze sobą kobieta. Była niebieska, średniego rozmiaru. Państwo Islamskie wykorzystuje bomby-pułapki, które noszą na sobie ludzie. Są także montowane w samochodach, wozach pancernych, motocyklach i najróżniejszych przedmiotach. Kobieta wraz z towarzyszką szły w stronę posterunku. Aram pamięta, że wzywali ją, by postawiła torbę na ziemi. Nie uczyniła tego. Zawołali po raz drugi, ale wciąż trzymała ją przy sobie. Wycelowali w nią broń.

– Powiedzieliśmy, że jeśli zrobi jeszcze jeden krok, zastrzelimy ją – wspomina.

Zatrzymała się i odwróciła plecami. Stała tak bez ruchu, po czym spojrzała w ich stronę, coś nacisnęła – i wysadziła się w powietrze. Bojowników na posterunku uratowało to, że tuż przed samobójczą śmiercią zaczęła odmawiać szahadę – muzułmańskie wyznanie wiary; zamachowcy-samobójcy zwykli umierać ze słowami szahady na ustach.

Sześciu kolegów – Aram pamięta liczbę – od razu zrozumiało, co się dzieje, i rzucili się za worki z piaskiem. Pozostałych raniły odłamki: jednego w nogę, drugiego w szyję. Ciało kobiety było rozerwane na dwie części, ciało jej współtowarzyszki leżało zmasakrowane, a głowę dziecka bojownicy znaleźli dopiero po pewnym czasie, na pobliskim dachu.

Mogłoby się wydawać, że to odległa przeszłość, bo kalifatu – samozwańczego Państwa Bożego na ziemi – już nie ma. Ale Państwo Islamskie nie daje o sobie zapomnieć. Atakuje przede wszystkim tutaj – w północnej i wschodniej Syrii, na terenach kontrolowanych przez Syryjskie Siły Demokratyczne.

Przygoda na pustyni

Aram jest chrześcijaninem – członkiem Syriackiej Rady Wojskowej, chrześcijańskiej bojówki wchodzącej w skład kurdyjsko-arabskich Syryjskich Sił Demokratycznych. Są wspierane z powietrza i lądu przez międzynarodową koalicję, ze Stanami Zjednoczonymi na czele.

Przed wojną chrześcijanie stanowili ok. 10 proc. populacji Syrii. Stali się ofiarami narastających wraz z wojną napięć religijnych wewnątrz kraju. Szczególnym zagrożeniem było dla nich Państwo Islamskie: jego dżihadyści brutalnie obchodzili się ze wszystkimi, których uważali za kafirów (to określenie „niewiernych" w negatywnym kontekście; w interpretacji Państwa Islamskiego pod tę kategorię podpadali zresztą także muzułmanie niebędący sunnitami). Bojówki asyryjskich chrześcijan powstały w celach obronnych.

To jednak nie kwestie religijne ani etniczne były głównym powodem, dla których Aram dołączył do Syriackiej Rady Wojskowej. Zaimponowało mu to, że dowództwo dbało o swoich ludzi. Oraz to, że dobrze walczyli.

Do walki przeciwko ostatkom samozwańczego kalifatu w prowincji Dajr az-Zaur wysłano wiele tysięcy bojowników Syryjskich Sił Demokratycznych. Aram był jednym z nich. Chociaż pochodzi z Ar-Rakki, oddalonej raptem 60 km na zachód od granicy prowincji, nigdy wcześniej w niej był. Przyznaje, że eskapada do Dajr az-Zaur była dla niego także przygodą, wybraniem się na nieznane tereny.

Chociaż przyznaje i to, że z tego samego powodu czuł lęk. Nie wiedział, co go tam czeka, a na miejscu szybko przekonał się, że ludność cywilna nawet ubiera się tak samo jak bojownicy Państwa Islamskiego. Trudno było rozróżnić, kto im sprzyja, a kto szykuje zasadzki. Właśnie dlatego to nie front, lecz tyły były bardziej niebezpieczne. Uśpione komórki Daeszu otrzymywały informacje od miejscowej ludności, przez co notorycznie organizowały ataki i zamachy. Często bardzo precyzyjne.

Walki o prowincję zaczęły się jeszcze w 2017 r. i trwały długie 19 miesięcy. Dwa razy dłużej niż ofensywa na Mosul, największe miasto kontrolowane przez Państwo Islamskie. Syryjskie Siły Demokratyczne potrzebowały cztery razy więcej czasu na zajęcie Dajr az-Zaur niż Rakki – pierwszego miasta zdobytego przez Państwo Islamskie i jego nieformalnej stolicy. Ta część wschodniej Syrii to w większości mało zaludnione tereny, duże połacie pustyni, które są trudne lub wręcz niemożliwe do kontrolowania.

Walka do upadłego

23 marca 2019 r. to data końca kalifatu. Wówczas, po wielu próbach, Syryjskie Siły Demokratyczne zajęły Al-Baghuz Faukani – ostatnią miejscowość kontrolowaną przez dżihadystów. Zacięte walki trwały przez półtora miesiąca. Choć wydawało się, że dżihadyści – zepchnięci do małej miejscowości, otoczeni przez kurdyjskie i arabskie bojówki, a do tego odcięci przez rzekę Eufrat – nie utrzymają się długo.

Ale, mimo nalotów i ostrzałów, Państwo Islamskie odpowiadało: w starciach bezpośrednich, ale też lekką artylerią i wszelkiego rodzaju bombami-pułapkami. Bojownicy Syryjskich Sił Demokratycznych spodziewali się oporu, lecz nie takiego.

– Nikt z nich nie próbował się poddać, mimo że byli przez nas otoczeni. Walczyli do ostatniej kropli krwi – mówi Aram.

Im bardziej zawężały się tereny kontrolowane przez dżihadystów, tym więcej namiotów rosło w Baghuz Faukani. Aram wyjaśnia, że to był jeden z powodów, który spowalniał ofensywę: dżihadyści byli przemieszani z cywilami, więc aby uniknąć niepotrzebnych ofiar, nie przeprowadzali gwałtownych natarć. Jednak Syryjskie Obserwatorium Praw Człowieka z siedzibą w Londynie odnotowało od początku grudnia 2018 r. – czyli w trakcie ostatniej fazy ofensywy, aż do ostatnich dni bitwy o Baghuz Faukani – 474 zabitych cywilów. W tym samym okresie miało zginąć co najmniej 753 bojowników Syryjskich Sił Demokratycznych i 1442 dżihadystów.

Obozowa apokalipsa

Ostatecznie w ciągu dwóch miesięcy z okolic Baghuz Faukani w ręce Syryjskich Sił Demokratycznych trafiło ponad 60 tys. osób. Według danych otrzymanych przez agencję Reutera, 34 tys. z nich to cywile, 5 tys. bojownicy, a reszta to ich rodziny i bliscy.

Te liczby tłumaczą gwałtowny przyrost populacji obozu w miejscowości Al-Haul, w prowincji Al-Hasaka przy granicy z Irakiem. Jest oddalony o ponad 200 km od Baghuz Faukani. Powstał jeszcze w 1991 r., w trakcie wojny w Zatoce Perskiej, dla uchodźców z Iraku. Od tego czasu trafiały do niego kolejne grupy szukających schronienia Irakijczyków.

Bitwa o Baghuz Faukani i okoliczne miejscowości spowodowała, że w ciągu kilku miesięcy liczba przebywających w Haul wzrosła niemal siedmiokrotnie. Obecnie znajduje się w nim 70 tys. ludzi, a kolejne 30 tys. w pobliskich obozach. Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża określa sytuację mianem „apokaliptycznej". Szczególnie dotyczy to obozu Haul, który jest przeludniony, a przybyłe do niego osoby od lat żyły pod bombardowaniami, głód zaglądał im w oczy, odnosiły rany i doznawały traum.

Obóz zamieszkują głównie Irakijczycy i Syryjczycy, ale są też obywatele innych państw, którzy wyjechali do kalifatu. Według danych syryjskiej organizacji Rojava Information Centre na terytoriach kontrolowanych przez Syryjskie Siły Demokratyczne znajduje się 14,5 tys. obywateli innych krajów niż Irak i Syria, z czego dwie trzecie to dzieci. Znaczna większość z nich przebywa w obozie Haul.

Rządy państw niechętnie przyjmują z powrotem swoich obywateli, którzy trafili do Syrii. Niektóre nawet posunęły się do odebrania im obywatelstwa. Przez co wielu z nich jest teraz w ślepym zaułku.

Najbardziej klarowna jest kwestia z dżihadystami, którzy przybyli tu z innych państw. – Prawdopodobnie większość stanie przed sądem tutaj, a reszta wróci do swoich krajów i tam zostanie osądzona – mówi Mustafa Bali, szef biura prasowego Syryjskich Sił Demokratycznych.

Daesz się odbudowuje

Duża część przebywających w obozie Haul to rodziny, których członkowie walczyli w szeregach Państwa Islamskiego. Nieprzypadkowo trzymali się dżihadystów tak długo, jak tylko mogli. – Za każdym razem, gdy Syryjskie Siły Demokratyczne wyzwoliły jakiś teren, oni szli za Daeszem do następnej wioski czy miasta – mówi Aram. – Podzielali ich wartości.

Obóz Haul leży na terytoriach kontrolowanych przez Syryjskie Siły Demokratyczne. Administracja i siły porządkowe z trudem panują nad sytuacją. Na początku lipca kobieta ugodziła nożem jednego z ochroniarzy. Na zdjęciu, które obiegło internet, widać, że wsadziła go w plecy po samą rękojeść. Grupy prodżihadystyczne próbują narzucić zasady takie, jak obowiązywały na terenie kalifatu, przez co regularnie dochodzi do incydentów między mieszkańcami obozu.

To jednak nie jest największy problem Syryjskich Sił Demokratycznych. Bitwa o Baghuz Faukani zakończyła się cztery miesiące temu, a mimo to Państwo Islamskie wciąż walczy. Wszędzie dochodzi do podobnych incydentów, choć z różną częstotliwością.

Najtrudniejsza sytuacja jest w prowincji Dajr az-Zaur. Dżihadyści notorycznie przeprowadzają skrytobójstwa i zamachy, często wykorzystują do nich motocykle. Według danych Syryjskiego Obserwatorium Praw Człowieka, od zajęcia Baghuz Faukani na terenach kontrolowanych przez Syryjskie Siły Demokratyczne zginęło ponad 300 bojowników tego ugrupowania.

– Dzięki swoim uśpionym komórkom odbudowują się – wyjaśnia Mustafa Bali. – Daesz jest najbardziej aktywny w prowincji Dajr az-Zaur oraz w Tabce, Rakce i Manbidżu.

Te tereny zostały odbite z rąk Państwa Islamskiego w latach 2016-19 i miało ono tam swoich sympatyków.

Tajemnicza śmierć

Dziś Aram znowu jest w Rakce. Przebywa w bazie i czeka na kolejne rozkazy.

Jeden z budynków, w którym stacjonuje oddział Syriackiej Rady Wojskowej, to muzeum wojny domowej. Pokazuje, jak zmieniał się ten konflikt. Każda grupa, która przychodziła, zostawiała po sobie napis na ścianie. Zaczyna się od wolności, od wezwania do obalenia prezydenta Baszara al-Asada, przechodzi w chęć rewanżu za przelaną krew, aż do wyznania wiary napisanego przez bojowników Państwa Islamskiego. Tylko rządzące miastem Syryjskie Siły Demokratyczne nie zostawiły śladu na ścianie.

Bojownicy chowają się w domach przed prażącym słońcem, śpią lub snują bez celu. Mimo leniwej atmosfery i rozprężenia, Aram jest przekonany, że to nie koniec. Mówi, że dżihadyści chcą zrewanżować się tym, którzy stanęli przeciwko nim lub ich zdradzili. Co znaczy, że ani jedni, ani drudzy prędko nie złożą broni.

W dniu naszej rozmowy, we wsi na północ od Rakki w tajemniczy sposób zginął prominentny przywódca jednego z klanów lojalnego wobec Syryjskich Sił Demokratycznych, Obaid al-Hassan. Znaleziono go w domu, z karabinem na piersi i kilkoma ranami postrzałowymi głowy.

Co się stało w domu Al-Hassana? Tego dotąd nie wyjaśniono. Jak i wielu poprzednich śmierci wpływowych postaci w północnej i wschodniej Syrii.

To właśnie niepewność, strach i chaos są tym, na czym Państwo Islamskie może obecnie się odbudowywać. Bo marzenie o kalifacie rozpłynęło się w wojennym zgiełku. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

ARAM RAKKA:

Państwo Islamskie zmuszało ludzi, by nosili długie brody i czarne szaty. Przez to trudno było rozróżnić, kto jest cywilem, a kto jest od nich. Przychodząc z zewnątrz, wydawało się, że wszyscy należą do nich.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Aram Rakka walczy w szeregach Syriackiej Rady Wojskowej, która powstała, aby bronić ludności chrześcijańskiej. Lato 2019 r.

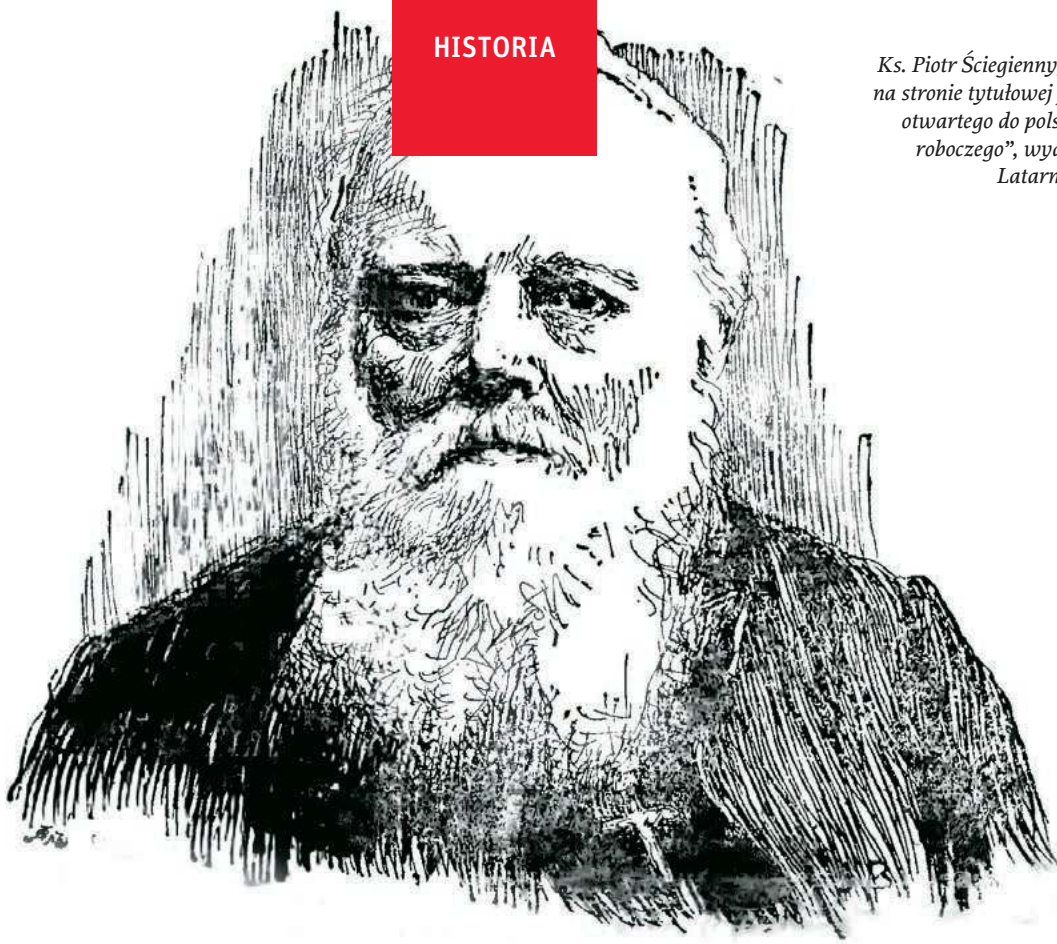

Ks. Piotr Ściegienny, ilustracja na stronie tytułowej jego „Listu otwartego do polskiego ludu roboczego", wydawnictwo Latarnia, 1900 r.

POLONA.PL

POLSKA TEOLOGIA WYZWOLENIA

Na długo przed Ameryką Łacińską w Polsce pojawiali się duchowni, którzy chrześcijaństwo łączyli z ideą sprawiedliwości społecznej – i wzywali do jej budowania przez radykalne reformy.

REMIGIUSZ OKRASKA

Pierwszy był Piotr Ściegienny. Chłopski syn spod Kielc, wstąpił do zakonu pijarów.

Entuzjastycznie przyjął wybuch powstania listopadowego, w seminarium w Opolu Lubelskim zorganizował szpital dla powstańców. W 1832 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Skierowano go do parafii w Wilkołazie na Lubelszczyźnie, gdzie – jak wspominał – ujrzał „z bliska znów uciśnienie i nędzę ludu".

Kilka lat później nawiązał kontakt z konspiracją, której celem było przygotowanie kolejnego spotkania. Ideowo na lewym skrzydle ruchu, głosił konieczność walki zbrojnej z zaborcami, a także upodmiotowienia ludu, równości i radykalnych reform. Pisząc „List ojca świętego Grzegorza papieża do rolników i rzemieślników z Rzymu przysłany" wierzył, że taka forma (udająca wypowiedź papieża) ośmieli lud do walki bardziej niż inne zachęty. Jego teksty krążyły w nielegalnym obiegu, zyskując popularność na Lubelszczyźnie i Kielecczyźnie.

Ćwierć wieku katorgi

Ściegienny, znakomity mówca, głosił konieczność zniesienia wielkiej własno-

ści prywatnej (głównie ziemi) i rozmaite formy ludowładztwa. Odwoływał się nie tylko do chłopstwa, ale też mieszczan, rzemieślników, urzędników, żołnierzy: nazywał ich „cierpiącą klasą ludzi" i zachęcał do walki ze starym porządkiem. W rzekomym liście papieża pisał: „Bóg stworzył wszystkich ludzi (...) abyście wolni używali wszystkich darów boskich, nie żyli w niedostatku i nędzy, nie cierpieli głodu i zimna, pracowali jedynie dla siebie, dla swoich żon i dzieci, dla starców i kalek". Postulował zniesienie pańszczyzny (w zaborze austriackim stało się to w 1848 r., w rosyjskim w 1861 r.).

Ludowa solidarność miała przekraczać granice i nacje: „Przyszła wojna będzie nie chłopów z chłopami, nie ubogich z ubogimi, ale chłopów z panami, ubogich z bogatymi, uciśnionych i nieszczęśliwych z ciemięzcami i w zbytkach żyjącymi". Zapowiadał wspólnotową własność ziemi rolnej, równy podział owoców pracy, finansowanie wydatków publicznych z części tych dochodów.

Agaton Giller komentował: „Teoria jego socjalna, acz nie praktyczniejsza od innych, była nie pożyczoną, nie z obcego drzewa zerwaną, ale jego własną, zupełnie samodzielną (...) Różniła się (...) tym od francuskich, angielskich i niemieckich, że nie niszczyła Kościoła katolickiego, ale go demokratyzowała i przeważną rolę w Rzeczypospolitej mu nadawała".

Ze współpracownikami przygotowywał wystąpienie zbrojne. Jednak w październiku 1844 r., dzień po konspiracyjnym spotkaniu w podkieleckich lasach, władze carskie aresztowały Ściegiennego i innych, wskutek zdrady jednego z uczestników. Ściegienny usłyszał wyrok śmierci. Doprowadzonemu już na szubienicę, odczytano decyzję o usunięciu ze stanu kapłańskiego – oraz o zamianie wyroku na katorgę w kopalniach Syberii.

Wrócił z zesłania po ćwierćwieczu. Nie podjął już aktywności politycznej. Przywrócono go do stanu kapłańskiego. Zmarł w 1890 r., w wieku 89 lat. Jego dawne teksty wznawiano przez lata, a on sam wszedł do legendy ruchu socjalistycznego.

Organizator i asceta

W „Słowie o bandosie" – tekście publicystycznym z początku XX w., choć napisanym w konwencji fikcji literackiej o sezonowych robotnikach rolnych (zwanych bandosami) z Kielecczyzny – Stefan Żeromski wymienia garstkę rodaków nieobojętnych na krzywdę ludu. Jednym z nich był Antoni Szech. Żeromski pisał, że „nim słowo zwiastujące mówić począł, oczyścił się w zimnej kąpieli czynu: sprzedał, co miał, i wykupił nieszczęsne dusze, jęczące w jarzmie rozpusty".

Szech to pseudonim. Kryjący się za nim Izydor Kajetan Wysłouch urodził się w 1869 r. koło Drohiczyna. Prowincjonalna szlachecka rodzina miała „rewolucyjne geny": spokrewniona była z radykałem-ludowcem Bolesławem Wysłouchem i nestorem polskiego ruchu socjalistycznego Bolesławem Limanowskim.

Podczas studiów w Warszawie dał się poznać jako człowiek o silnej i autentycznej pobożności. W Nowym Mieście nad Pilicą spotkał się z o. Honoratem Koźmińskim, twórcą opiekuńczych inicjatyw kościelnych. Władze carskie zabraniały wtedy przyjmowania nowicjuszy do zakonów, wstąpił zatem do bezhabitowego Zgromadzenia Braci Sług Maryi. Pracował wśród łódzkich robotników w dzielnicach nędzy. Zyskał szacunek jako znakomity organizator oraz z powodu wyjątkowo ascetycznego życia. W 1895 r. sprzedał swoją część rodzinnego majątku i przekazał pieniądze kapucynkom z Kęt, które pomagały kobietom zajmującym się prostytucją – do tego czynu nawiązują cytowane słowa Żeromskiego.

Po „odwilży" politycznej zaczął nowicjat w Nowym Mieście i w 1899 r. otrzymał święcenia jako brat Antoni. Wkrótce doszedł do wniosku, że duchowieństwo nie wychodzi naprzeciw budzącej się wrażliwości na krzywdę i wyzysk. W rozprawie „O pracy katolickiej" stwierdzał, iż „Działalność katolicka (...) odłączyła się zanadto od wszystkiego, co obchodzi społeczeństwo".

Struktury zła

Gdy wybuchła rewolucja 1905 r., wrzenie ogarnęło też Antoniego Szecha – bo tak sygnował teksty. Pisał: „Kościół Chrystusowy na ruch społeczny, w imię pogwałconej sprawiedliwości wszczęty, patrzeć musi sympatycznym okiem. Wszak to plon wyrosły z Ewangelii posiewu (...) co przeniknął społeczeństwo całe". W innym miejscu dodawał: „nieprzyjacielem strasznym, nieubłaganym, (...) tym wrogiem krwawym i okrutnym – nie socjalizm i nie socjaliści. Tym wrogiem – niesprawiedliwość społeczna, krzywda milionów".

Jako jeden z pierwszych w Kościele wskazywał na materialne przyczyny prowadzące do grzechu. „Niedostateczne pożywienie i ubranie" pobudza „do kradzieży i oszukaństwa", brak pracy „do podstępnego korzystania z cudzego majątku". Prostytucja, „ta ohyda wieku naszego", jest „przecie dzieckiem nędzy i ekonomicznych dzisiejszych warunków". Stanisław Gajewski konstatował, że Wysłouch dostrzegał „to, co obecnie Jan Paweł II (...) nazywa »strukturami zła«", tj. warunki, w których trudno żyć wedle zasad chrześcijańskich.

Brat Antoni uważał, że socjalizm nieprzypadkowo zrodził się w Europie – to nie tylko reakcja na krzywdę mas, ale też skutek chrześcijańskiego dziedzictwa kontynentu: wrażliwości na krzywdę i tęsknoty za równością. Program socjalistyczny to według Wysłoucha „wprowadzenie idei chrześcijańskiej w urządzenie społeczne". Jeśli socjaliści zdołają zmniejszyć skalę niesprawiedliwości i wyzysku, „to największą przysługę wyrządzą religii – przygotują grunt pod posiew Boży". Tak rozumiany socjalizm „nie tylko nie sprzeciwia się Kościołowi – ale owszem jest [ideą] arcychrześcijańską". Odrzucał jednak Marksa, krytykował koncepcję walki klas. Apelował o „socjalizm naprawdę chrześcijański, oparty na chrześcijańskich ideałach, (...) ożywiony duchem ewangelicznej miłości. Byłby to socjalizm – ale taki, co nie poniżałby, ale podnosił duszę, uszlachetniał".

Kościół, lewica, brak dialogu

Prasa katolicko-konserwatywna atakowała go ostro. „Kto zacz ów Antoni Szech i jaką wytwarza truciznę? Ma to być »kapłan«, nawet kapłan-zakonnik, ale kapłan taki, którego (...) admirują i wysławiają najnędzniejsze świstki wywrotowe i żydowsko-socjalistyczne" – pisała „Rola". Brata Antoniego krytykowali publicznie biskupi Karol Niedziałkowski i Edward Ropp oraz arcybiskup Józef Teodorowicz.

Nakazano mu, by przed każdą publikacją uzyskiwał aprobatę zwierzchników. Wysłany do Kolegium Jezuickiego w Innsbrucku, wrócił po roku i bez konsultacji opublikował kolejne teksty. Hierarchia zareagowała twardo: otrzymał nakaz opuszczenia klasztoru, ruszyło postępowanie dyscyplinarne. W 1908 r. brat Antoni wystąpił ze stanu duchownego. Nie zaprzestał działalności ↦

publicystycznej, a w niej krytyce poddał także Kościół. Nie przystąpił jednak do politycznej lewicy. „Postępowi (...) zanadto widzą we mnie religijnego, bym się im podobać mógł. Socjaliści takich idealistów nie aprobują”.

Wyjechał do Paryża, wrócił w przededniu wybuchu I wojny światowej. Popierał Legiony Piłsudskiego. W wolnej Polsce zatrudniono go w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, należał do współtwórców nowoczesnego – w skali światowej – polskiego ustawodawstwa socjalnego. Związany z postępową inteligencją, w 1932 r. został przyjęty do warszawskiej loży masońskiej „Kopernik”. Zmarł nagle w 1937 r.

Zaświtał dzień wyzwolenia

O pół pokolenia młodszy był Eugeniusz Okoń, urodzony w 1881 r. w biednej chłopskiej rodzinie w Radomyślu nad Sanem. Ukończył seminarium, w 1906 r. otrzymał święcenia. Początkowo związał się z endecją, ale szybko popadł z nią w konflikt, zaczął bowiem bronić interesów ludu przeciw właścicielom majątków ziemskich, a także krytykować cały porządek społeczny. Zyskał popularność tak dużą, że w 1913 r. został posłem do galicyjskiego Sejmu Krajowego we Lwowie, choć startował bez poparcia żadnej partii.

I wojna światowa zradykalizowała kapłana. 2 listopada 1918 r. wzywa chłopów na wiecu w rodzinnej miejscowości, by obalali słupy graniczne państw zaborczych. Cztery dni później przemawia w Tarnobrzegu do 30 tys. zgromadzonych: „Żołnierze, robotnicy i ty, biedoto chłopska! Zaświtał (...) dzień wyzwolenia, swobody, porachunku za tyle krzywd doznanych, za tyle poniewierania twej godności, za tyle wyzysku ciebie, chłopie polski (...). Już nie będziesz się wysługiwał i krwawo mozolił dla obcej sprawy. (...) Precz z jaśnie wielmożnymi dziedzicami, precz z utracjuszami, tyś powinien zamieszkać w tych pałacach (...). Ta ziemia, której broniłeś, tobie ma przypaść”. Na wiecu powołano Republikę Tarnobrzeską – lokalną władzę, która rekwirowała żywność z magazynów austriackich i spichlerzy ziemiańskich i rozdzielała wśród mieszkańców.

Już w niepodległej Polsce został uwięziony na kilka dni za radykalne przemówienie na wiecu w Baranowie – co tylko zwiększyło jego autorytet. Kuria przemyska zawiesiła go w obowiązkach.

SALA ZWIĄZKU HANDLOWCÓW
Sienna №. 16.

W piątek, dnia 23 marca 1923 r., o godz. 8 wieczorem
Ks. Andrzej Huszno
wygłosi
ODCZYT
na temat:
REFORMA RELIGIJNO-KOŚCIELNA
POTRZEBA DUCHA CZASU.

Po odczycie dyskusja.

Cena biletów wejścia od 1000 do 3000 mk.

POLONA.PL

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W DĄBROWIE GÓRNICZEJ

Ks. Andrzej Huszno, jeszcze w mundurze studenckim

W pierwszych wyborach II RP, w styczniu 1919 r., został posłem z listy PSL-Lewica, ale działał pod szyldem Chłopskiego Stronnictwa Radykalnego. W 1922 r. uzyskał reelekcję z jego listy. Aktywny parlamentarzysta, słynął z ostrych wystąpień sejmowych, a na wiecach porywał tłumy.

Sześć kilometrów

Ks. Okoń był zwolennikiem głębokiej reformy rolnej. Wzywał: „upatruję w oddaniu ziemi z rąk lekkomyślnych, marnotrawnych, egoistycznych i leniwych obszarników i szlachciców w twarde chłopskie ręce (...) zbawienie Polski, (...) najskuteczniejszy środek stworzenia z Ojczyzny naszej silnego, zdrowego jak lud i potężnego państwa (...) oraz za zabezpieczenie świetnej przyszłości Polski na wieki całe”. Domagał się masowej budowy placówek oświatowych na wsi, a także bezpośredniego wyboru prezydenta, likwidacji Senatu i zniesienia kary śmierci.

Nie oszczędzał Kościoła i postulował wywłaszczenie jego majątków ziemskich na rzecz chłopów. W Sejmie mówił: „Majątek doczesny, ziemia, folwarki, lasy, to nie świętość, to nie relikwie, lecz to mamona – to marność. Majątki ziemskie nie należą wcale do istoty Kościoła katolickiego, gdyż przez wieki przeszło Kościół istniał bez majątków ziemskich, a nie upadł, lecz właśnie wtenczas, oddany wyłącznie idei Chrystusowej, ukryty w katakumbach, jaśniał blaskiem największej moralnej potęgi i chwały”. Postulował, by parafianie sami wybierali proboszczów, a wierni – biskupów. Kapłanów związanych z prawicą wzywał: „Czas najwyższy porzucić obóz obszarniczy. Wy powinniście się znaleźć na lewicy, gdyż miejsce księdza (...) winno być po stronie chłopskiej, a nie pańskiej”.

Po zakończeniu drugiej kadencji i wygaśnięciu immunitetu został aresztowany za „podburzanie chłopów” i „rewolucjonizowanie wsi”. Uniemożliwiło mu to ponowne kandydowanie – zwolniono go już po wyborach. Po kilku miesiącach pobytu w rodzinnej wsi postanowił wrócić do Kościoła, napisał list wyrażający skruchę, odbył pokutę w klasztorze w Dukli. Przywrócony do czynnego stanu kapłańskiego, został pomocnikiem proboszcza w Radomyślu. Nie prowadził już aktywności politycznej, choć jego legenda ludowego trybuna była wciąż żywa.

W czasie II wojny światowej współpracował z AK i pomagał ratować Żydów, sam też zmuszony był do ukrywania się przez trzy lata przed Niemcami. Zmarł w 1949 r. Ktoś policzył, że kondukt żałobny ciągnął się przez sześć kilometrów.

Kapłan z Czerwonego Zagłębia

W tym samym czasie co Okoń, działał Andrzej Huszno – tyle że w środowisku robotniczym. Chłopski syn spod Włoszczowy, ukończył kieleckie seminarium i w 1915 r. został księdzem. Już rok później został suspendowany: oficjalnie za niemoralny sposób życia, ale prawdopodobnie z powodu broszury „Syn Człowieczy”, odbiegającej od ortodoksji katolickiej. Objął samozwańczo parafię Msty-

czów, pustą z powodu konfliktu wiernych z hierarchami. Przygotował broszurę „Kościół demokratyczny", w której postulował m.in. wybieranie proboszczów, biskupów i papieża przez delegatów parafii.

Kilka miesięcy po odzyskaniu niepodległości został aresztowany na wniosek biskupa za „wywrotowe poglądy". W jego obronie przemawiali posłowie PPS. Odzyskał wolność po dziesięciu miesiącach i wstąpił do Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego. Rozstał się z nim jednak szybko i powołał Polsko-Katolicki Kościół Narodowy z siedzibą w Dąbrowie Górniczej. Doktrynę silnie naznaczył wątkami mesjanistycznymi i posłannictwem Polski.

Ks. Huszno zyskał popularność wśród robotników Zagłębia Dąbrowskiego, na msze pod gołym niebem przybywały tysiące. Jego kazania przypominały mowy wiecowe: grzmiał w nich na kapitalizm i lokalnych fabrykantów, upominał się o prawa robotnicze. „Robotnik polski obecnie przeżywa okres prawdziwej niewoli egipskiej, zdany na łaskę kapitalistów, (...). Żyje z dnia na dzień przy głodowych płacach (...). Źle odżywiony, dorwawszy się do pracy, robi jak koń, bo robiąc na 3 dniówki stara się tyle zarobić, żeby mógł swą rodzinkę jako tako wyżywić. (...) Kapitał zaciera ręce, a kostucha śmierć przy współudziale gruźlicy czyni to samo".

Huszno współpracował z Polską Partią Socjalistyczną. W jej piśmie „Głos Zagłębia" przekonywał: „Zmuście ich [kapitalistów], by przestali być pijawkami ludu mego, by przestali tuczyć się jego krzywdą, pracą i znojem, zmuście ich, by byli ludźmi szlachetnymi, uczciwymi, sprawiedliwymi, miłosiernymi, bo złodziejom, wyzyskiwaczom, trutniom społeczeństwa, niesprawiedliwym cześć będzie w jeziorze ognistym".

Domagał się nie tylko poszanowania ustawowych praw pracowniczych, ale też ich rozszerzenia, np. jawności finansów fabryk i decydowania delegatów robotniczych o części zysku, a docelowo uspołecznienia zakładów i poddania ich kontroli robotników. Przez lewicowych robotników był niezwykle szanowany, został też sportretowany jako ksiądz Kania w głośnych „Czarnych skrzydłach" Kadena-Bandrowskiego.

W niebie i na ziemi

Uważany za wywrotowca, zatrzymywany przez policję, Huszno żył w ubóstwie; utrzymywał się z ziołolecznictwa. Pod koniec lat 20. zaczął wycofywać się z aktywności publicznej, także z powodu choroby nowotworowej. Już tylko sporadycznie zabierał głos. Ciężko chory, w maju 1939 r. odbył spowiedź, złożył akt żalu i prosił o powrót do Kościoła katolickiego. Na jego pogrzeb w czerwcu tego roku przybyło 10 tysięcy robotników z Zagłębia.

Politolog i religioznawca Rafał Łętocha pisał: „Odnajdujemy w jego pismach fragmenty, w których mamy do czynienia wręcz ze sprowadzeniem idei zbawienia do wymiaru czysto ziemskiego wyzwolenia od społecznej niesprawiedliwości, od zła – tu i teraz. Nasuwa to pewne skojarzenia z teologią wyzwolenia, w której kategoria wyzwolenia nawiązuje do wielkiej historii z Księgi Wyjścia o ludzie Bożym, który uwalnia się z niewoli egipskiej i osiąga zbawienie w historii, mając w perspektywie nową, wolną od niesprawiedliwości ziemię".

Łętocha uznał, że w ujęciu ks. Huszny wygląda to bardzo podobnie: duszpasterz z Zagłębia uważał bowiem, że zbawienie ma również wymiar ziemski – że jest to także, jak pisał Huszno, „wyswobodzenie z kajdan niewoli kapitalizmu, ciemnoty, nałogu, lenistwa, biedy i nędzy wszelakiej".

© REMIGIUSZ OKRASKA

TP ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU": DODATEK NA 75. ROCZNICĘ WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

POWSTAŃCY '44

■ **REPORTAŻ PATRYCJI BUKALSKIEJ O WETERANACH** – zwykle już ponad 90-letnich – którzy zmagają się z codziennością: „Dziś, 75 lat później, Halina (wtedy sanitariuszka, ps. »Sławka«) dalej ratuje innych. Dwa razy w tygodniu jedzie do siedziby związku weteranów na ul. Długiej. »Trzeba przejść w wejściu dwa schodki – mówi. – Niech to licho, te schodki! Ale daję radę«. Czego potrzeba dziś powstańcom? Halina mówi, że głównie codziennej opieki i uwagi: »Niektórzy z nas sami już nie są w stanie wyjść z domu. A chcieliby pójść na spacer. Nie być samemu«".

■ **ROZMOWA Z WACŁAWEM GLUTH-NOWOWIEJSKIM.** Żołnierz Zgrupowania AK „Żmija" na Żoliborzu, stracił trzech braci: dwóch Niemcy rozstrzelali wiosną 1944 r., trzeci zginął we wrześniu 1944 r. Niedawno ukazało się wznowienie jego książki o „Robinsonach": ludziach, którzy po upadku Powstania tak jak on ukrywali się w ruinach. Wacław: „Mama nie zatrzymywała nas. Wcześniej, jak byliśmy w konspiracji, zawsze bardzo się niepokoiła. Wybiegała wieczorami przed dom na ulicę, wypatrując synów. 1 sierpnia wiedziała jednak, że jeśli wzywają mnie i Alka, to musimy iść. I poszliśmy. Po drodze zajrzałem do najbliższego kościoła św. Andrzeja Boboli. A tam był już Alek. Pomodliliśmy się razem, razem wyszliśmy. Cześć, cześć, do zobaczenia po wojnie! Tak powiedział: »Do zobaczenia po wojnie«".

Dodatek powstał we współpracy z Muzeum Powstania Warszawskiego oraz firmą Maspex w ramach projektu Parasol Historii

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

ZMIERZCH ISTOTNOŚCI

Jedno z najważniejszych pojęć nauki może wkrótce wypaść z obiegu. Czy szykuje się rewolucja w działaniu nauki?

MIROSŁAW SZREDER

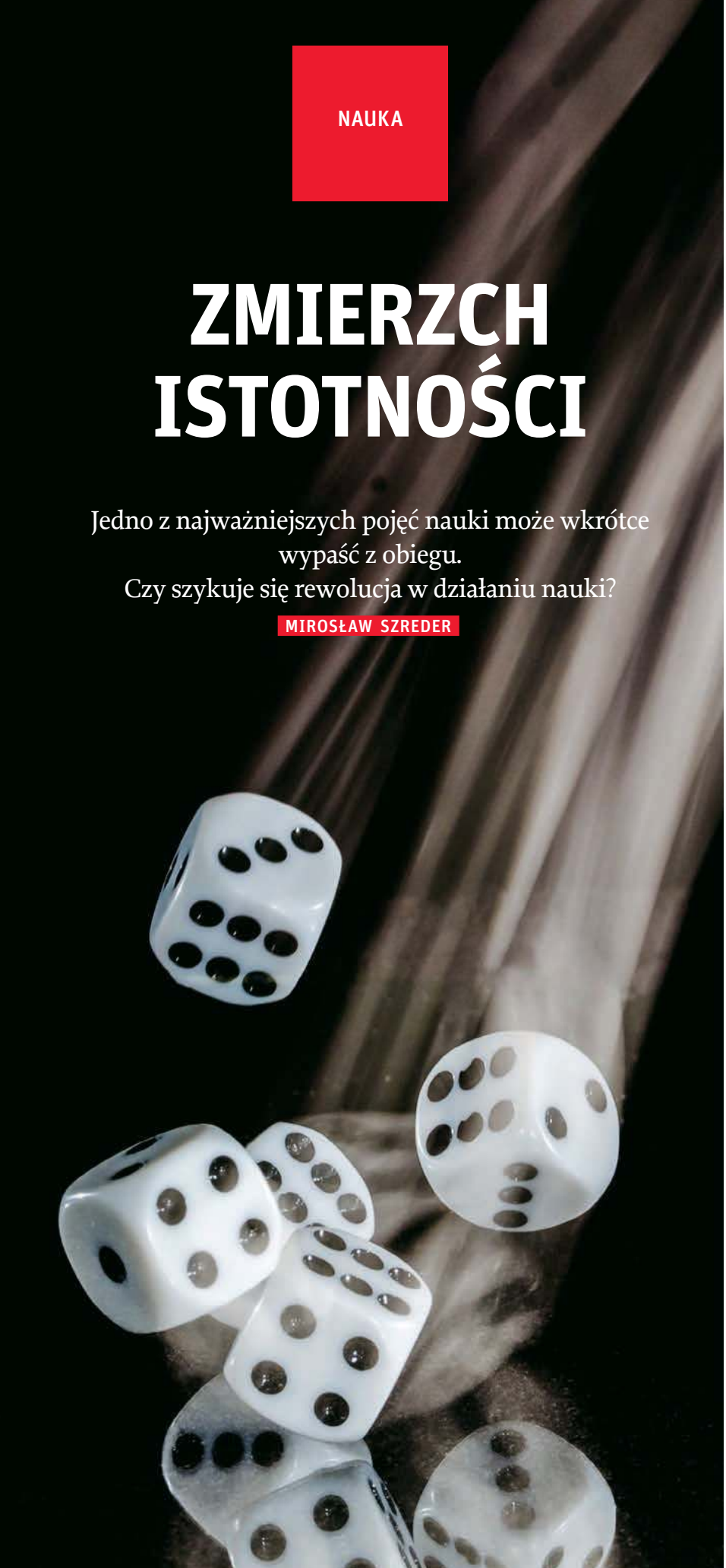

ADOBESTOCK

Od niemal 90 lat w publikacjach naukowych pojawia się pojęcie „statystycznej istotności". Słyszymy m.in. o statystycznie istotnych różnicach w reakcjach pacjentów, którym podano nowy lek, oraz tych, którzy przyjęli placebo. Czytamy o wykazaniu statystycznie istotnego wpływu jednej zmiennej (np. jakości powietrza w mieście) na drugą (długość życia mieszkańców) albo o statystycznie istotnej korelacji (np. koncentracji dwutlenku węgla w atmosferze i średniej temperaturze na Ziemi).

Tymczasem coraz większa liczba naukowców opowiada się za zmianą podejścia do pojęcia istotności statystycznej i – tym samym – zmianą sposobu prowadzenia badań naukowych. Czasopismo „Nature" z marca tego roku tytułuje swój komentarz: „Czas skończyć już z kategorią statystycznej istotności". W tym samym czasie inne cenione czasopismo naukowe „The American Statistician" zamieściło 43 artykuły poświęcone temu właśnie zagadnieniu – ułomności w ocenianiu, mierzeniu i komunikowaniu statystycznej istotności.

Źródło niepewności

Pojęcie statystycznej istotności wiąże się przede wszystkim z niepewnością, której źródłem jest dokonanie pomiarów na określonej próbie losowej, a nie na wszystkich jednostkach interesującej badacza populacji. Gdyby interesowała nas różnica między średnim wzrostem dziewcząt i chłopców pewnej szkoły, to po zmierzeniu wszystkich uczniów moglibyśmy stwierdzić, że różnica ta wynosi np. 3 cm, i nie bardzo byłoby tu miejsce na określenie, czy jest ona statystycznie istotna czy nie. Po prostu wynosi 3 cm w całej badanej zbiorowości. Jedni mogliby powiedzieć, że to sporo, inni – że raczej mało, ale dla pojęcia istotności statystycznej nie miałoby to żadnego znaczenia.

Gdyby jednak tę samą liczbę dziewcząt i chłopców (w określonym przedziale wieku) wylosowano do próby z populacji całego kraju w celu wnioskowania o różnicy przeciętnego wzrostu w ogólnokrajowej populacji, to sytuacja

wyglądałaby inaczej. Przede wszystkim w losowej próbie liczymy się z tym, że mają prawo wystąpić różnice i odchylenia w stosunku do struktury populacji, z której próbę pobrano. Taka jest natura losowości. W końcu nikt się raczej nie upiera, że kostka do gry jest nierzetelna, jeżeli w dziesięciu kolejnych rzutach nie wypadła „szóstka".

Losowość ma bowiem swoje prawa. Badacz otrzymuje w próbie wyniki, które nie są doskonałym odzwierciedleniem populacji. Akceptuje więc pewne odchylenia, podobnie jak gracz rzucający kostkę, nieco zniecierpliwiony brakiem „szóstki". Ale gdy wielkość tych odchyleń wzrasta, pojawiają się wątpliwości, czy wciąż da się je wytłumaczyć wyłącznie losowością obserwacji.

Jeżeli po 15 lub 20 rzutach kostką nadal nie pojawia się „szóstka", to coraz poważniej traktujemy przypuszczenie, iż kostka nie jest symetryczna.

W pewnym momencie badacz stwierdza, że choć świadom jest istnienia zakłóceń spowodowanych niedoskonałością mechanizmu losowania, czyli istnienia błędu losowego, nie może uznać zaobserwowanych odchyleń za losowe. Stwierdza więc, że istnieje statystycznie istotna różnica pomiędzy strukturą próby a strukturą populacji. Innymi słowy, statystycznie istotny oznacza znaczący, nawet po uwzględnieniu dopuszczalnych rozbieżności spowodowanych czynnikami losowymi.

Istotny czy ważny?

Już w samym brzmieniu terminu „statystycznie istotny" kryje się pewna pułapka. Większość osób, które wcześniej nie interesowały się naukowymi eksperymentami i wnioskowaniem, termin ten utożsamiać będzie z czymś ważnym, doniosłym, kluczowym. Bardzo podobne jest zresztą rozumienie tego terminu w języku angielskim (*statistically significant*). Tymczasem statystycznie istotny nie zawsze oznacza ważny. Czasami może wręcz opisywać coś mało ważnego. I *vice versa* – określenie „statystycznie nieistotny" może odnosić się do czegoś ważnego albo mającego duży potencjał. To pierwszy z powodów, dla których część naukowców wolałaby nie używać tego terminu.

Prześledźmy to na przykładzie. Załóżmy, że w badaniach nad nowym lekiem *A* na nadciśnienie uzyskano wynik wskazujący na to, iż jego zastosowanie obniża ciśnienie krwi średnio o 0,2 jednostki, a odchylenia od tego wyniku są u poszczególnych pacjentów niewielkie (przeciętnie 0,03 jednostki). Wynik taki uznany zostanie za statystycznie istotny.

Sens tego stwierdzenia będzie taki, iż lek *A* z dużą dozą pewności powoduje spadek ciśnienia krwi u pacjentów, którzy go otrzymali. Jest to co prawda niewielki spadek, ale występuje u niemal wszystkich poddanych badaniu, ponieważ przy tak małym rozproszeniu wyników nie znajdzie się niemal żaden pacjent, którego ciśnienie nie zmniejszyłoby się w wyniku podania leku *A*.

Nie sposób wytłumaczyć zaobserwowanego obniżenia ciśnienia krwi wyłącznie czynnikami losowymi. Niestety, w praktyce znaczenie tych wyników testowania leku *A* będzie niewielkie, biorąc pod uwagę, że typowy poziom ciśnienia krwi u człowieka waha się w okolicy stu jednostek. Trudno więc będzie traktować statystycznie istotny wynik jako ważny lub doniosły.

I odwrotnie: wynik badania, w którym inny lek *B* obniża ciśnienie krwi aż o dziesięć jednostek, z przeciętnym odchyleniem ciśnienia u badanych pacjentów równym także dziesięć jednostek, zostanie uznany za statystycznie nieistotny. Duże zróżnicowanie reakcji pacjentów na ten lek wyraża niepewność co do jego skuteczności. Czyli u znacznej frakcji pacjentów nie będzie żadnej reakcji na lek *B*, a u części nastąpi nawet wzrost ciśnienia. Rezultat działania tego leku jest statystycznie nieistotny, choć w dalszych badaniach nad nim może się to zmienić. Wszak przeciętnie skutkuje on spadkiem ciśnienia krwi aż o dziesięć jednostek. Ważny może się okazać potencjał leku *B*.

Problemem, który dotyczy nas wszystkich, nie tylko naukowców, są konsekwencje uznania działania danego leku za statystycznie nieistotne. Cóż z tego, że lek ten ma potencjał, że warto prowadzić nad nim dalsze badania, skoro etykieta „statystycznie nieistotne zmiany" byłaby dla badaczy jak wyrok. Trudniej z takimi wynikami uzyskać finansowanie dalszych badań, a jeszcze trudniej przebić się z publikacją „statystycznie nieistotnych" rezultatów. W publikacjach naukowych – jak przyznaje coraz więcej badaczy – występuje więc sztuczna nadwyżka badań nie zawsze ważnych, ale zarazem takich, które zdołały uzyskać status statystycznie istotnych. Drugą stroną medalu jest porzucenie innych badań i brak podejmowania dyskusji nad nimi tylko dlatego, że statusu tego nie uzyskały. Ostateczne koszty tego ponosimy wszyscy, nie tylko naukowcy.

Próg pięciu procent

W tych okolicznościach trudne do przecenienia są jasne i jednoznaczne kryteria, które decydują o uznaniu rezultatów badań za statystycznie istotne bądź nieistotne. I ta właśnie sprawa jest drugą fundamentalną kwestią wywołującą rosnące niezadowolenie w środowiskach naukowych. Wraz z upowszechnieniem się sprawnego oprogramowania komputerowego, zdolnego wykonać w ciągu kilku sekund skomplikowane obliczenia statystyczne, coraz częściej o uznaniu wyników badania za statystycznie istotne przesądza tylko jeden prosty wskaźnik. Programy komputerowe wyliczają go błyskawicznie. Wskaźnikiem tym jest tzw. prawdopodobieństwo krytyczne, częściej nazywane z angielskiego *p-value*. Jest to prawdopodobieństwo tego, że określona miara syntetyczna wyników z próby (np. średnia arytmetyczna) przyjmie wartość taką, jak zaobserwowano, lub bardziej od niej ekstremalną (większą lub mniejszą). Gdy przy sformułowanej na wstępie hipotezie badawczej okaże się, że w próbie zaobserwowano wyniki, które są bardzo mało prawdopodobne, to uznaje się, że hipoteza jest nieprawdziwa. Przyjmując np. założenie, że kostka do gry jest symetryczna, prawdopodobieństwo nieuzyskania ani jednej „szóstki" w dwudziestu kolejnych rzutach, wynoszące 0,026, jest na tyle małe, że przesądza o uznaniu kostki za niesymetryczną. Gdzie więc leży wartość graniczna prawdopodobieństwa, poniżej której badacz decyduje się na uznanie wyjściowej hipotezy za fałszywą?

W większości dziedzin nauki przyjmuje się, że progiem tym jest dla *p-value* wartość 0,05. Innymi słowy, stając przed wyborem, czy uznać, że w losowej próbie zrealizowało się zdarzenie o prawdopodobieństwie mniejszym niż 5 proc., czy raczej to, że wyjściowa hipoteza jest nieprawdziwa, badacz wybiera to drugie (zob. ramka). W ten sposób całość analiz statystycznych zostaje zredukowana do sprawdzenia, czy wskaźnik *p* jest większy, czy mniejszy od 0,05. Tak daleko posunięte uproszczenie staje się jednak dla ↦

wielu nie do zaakceptowania. Między innymi Amerykańskie Towarzystwo Statystyczne wydało przed trzema laty specjalne oświadczenie na ten temat, zwracając uwagę na niebezpieczeństwa takich uproszczeń. A dyskusję we wspomnianym „The American Statistician" z bieżącego roku otwiera artykuł pod znamiennym tytułem: „Wkraczając do świata poza p < 0,05".

Niektóre dziedziny stosują bardziej wyśrubowane kryteria wartości *p*. W fizyce cząstek elementarnych istnienie postulowanej cząstki uznaje się za udowodnione dopiero przy osiągnięciu wartości *p* równej 0,0000003. Jednak większość dziedzin, zwłaszcza tych, gdzie czysty eksperyment jest niemożliwy, nie może sobie na taki luksus pozwolić. W medycynie czy naukach społecznych (np. psychologii) ani próba nie może być dowolnie duża, ani nie jest realne założenie, że wyniki w próbie nie są obarczone innymi błędami, głównie nielosowymi.

Wspólnym wnioskiem z tych dyskusji i postulatem statystyków jest to, aby wskaźnika *p-value* nie uznawać ani za decydujący, ani za jedyny w rozstrzyganiu o prawdziwości sprawdzanej hipotezy. Większość badaczy sprzeciwia się ustanawianiu progu dla prawdopodobieństwa *p* i jego dychotomizacji.

Postuluje się, aby w publikacjach z badań podawać konkretne wartości tego wskaźnika, informować czytelnika o wszystkich sprawdzanych hipotezach, o założeniach wykorzystywanego modelu, a także o możliwych błędach w realizacji badania.

Chodzi więc o większą przejrzystość procesu badania i wnioskowania, której nie jest w stanie zapewnić proste stwierdzenie o przekroczeniu przez *p-value* progu 5 proc.

W niewoli komputerów

Sądzę, że to poruszenie w świecie nauki ma szereg pozytywnych konsekwencji.

Po pierwsze, uświadamia nam wszystkim, jak bardzo ulegamy w naszych działaniach – także w sferze badań naukowych – prymatowi techniki.

Mniej lub bardziej świadomie podporządkowujemy nie tylko to, co robimy, ale często także to, jak myślimy, nowym rozwiązaniom oferowanym przez technologię komputerową.

Po drugie, dyskusje na temat statystycznej istotności pokazują, jakie zagrożenia tkwią w uproszczonych kryteriach oceny wartości naukowej rezultatów badań. Znaczny procent wyników badań – jak stwierdzają w komentarzu opublikowanym w „Science" w marcu tego roku Valentin Amrhein z Uniwersytetu Bazylejskiego i współpracownicy – nie znajduje potwierdzenia w powtórzonych doświadczeniach.

Po trzecie, oprócz zagrożeń ujawnia się też w tego typu uproszczonych procedurach potencjalnie dużo zaniechanych wysiłków badawczych, gdy pierwsze wyniki nie znalazły się po właściwej stronie progu 5 proc. Skłonni do zbyt daleko idących uproszczeń, kuszeni świetnym oprogramowaniem komputerowym, naukowcy zbyt dużo ryzykują. Chodzi nie tylko o prestiż ich pracy, ale w równym stopniu o pożytek, jaki społeczeństwa mają z finansowania badań naukowych. Dlatego dobrze, że w tym względzie szykuje się zmiana.

© MIROSŁAW SZREDER

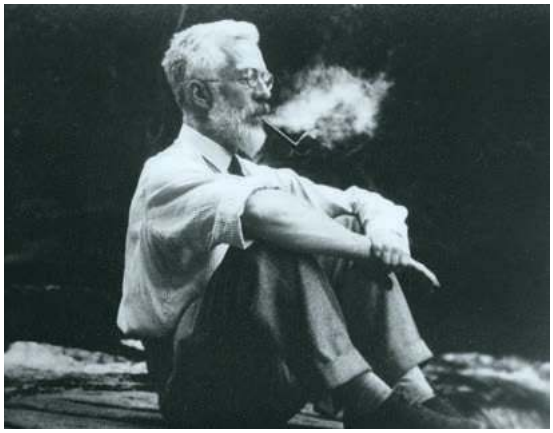

R.A. FISHER DIGITAL ARCHIVE

Ronald A. Fisher, 1946 r.

Hipoteza zerowa Ronalda Fishera

ZAGADNIENIE STATYSTYCZNEJ istotności efektów, które obserwuje się w eksperymentach prowadzonych na próbach losowych, wiąże się z ważnym dla nauki problemem weryfikacji hipotez. Autorem jednego z podejść do testowania hipotez był Ronald A. Fisher, niezwykle wpływowy statystyk i ewolucjonista.

Fisher posługiwał się pojęciem tzw. hipotezy zerowej, która zakłada, że uzyskany wynik jest efektem przypadku. Jeżeli przy założeniu, że hipoteza zerowa jest prawdziwa, uzyskano wynik eksperymentu mało prawdopodobny – trudny do wytłumaczenia zmiennością losową lub przypadkiem – to świadczyć to miało przeciw hipotezie zerowej.

Kiedy przyjaciółka Fishera Muriel Bristol stwierdziła, że herbata smakuje jej tylko wtedy, gdy najpierw do filiżanki naleje się mleko, a dopiero potem herbatę, i jest w stanie to rozpoznać, Fisher postanowił z przyjaciółmi sprawdzić tę zaskakującą umiejętność. Stwierdził, że zamiast próbować dowodzić, iż Muriel potrafi rozróżnić, w której filiżance do mleka dodano herbatę, a w której do herbaty mleko, należy raczej dążyć do odrzucenia hipotezy (zerowej), że dokonany przez nią wybór jest podyktowany przypadkiem (losowością).

Eksperyment z dwiema filiżankami herbaty, w których w odmiennej kolejności nalano herbatę i mleko, nie wchodził w grę, gdyż losowo zgadując, Muriel miałaby aż 50 proc. szans na udzielenie poprawnej odpowiedzi.

Przygotowano więc aż osiem filiżanek z herbatą z mlekiem – do czterech najpierw nalano herbaty (następnie dodano trochę mleka), w przypadku pozostałych czterech postąpiono odwrotnie.

Okazało się, że Muriel bezbłędnie wskazała wszystkie filiżanki z rzeczywistą kolejnością nalewania mleka i herbaty.

Prawdopodobieństwo tego, że losowo udzieli się w pełni poprawnej odpowiedzi w tym eksperymencie, wynosi zaledwie 1/70, czyli 1,4 proc.

Co prawda Fisher nie mógł ze stuprocentowym przekonaniem wykluczyć, że Muriel po prostu sprzyjało szczęście, ale byłoby to bardzo mało prawdopodobne.

Za próg, poniżej którego prawdopodobieństwo radził uznać za zbyt małe, by utrzymała się hipoteza zerowa, wskazał właśnie 5 proc.

weź, czytaj!

SLOT ART FESTIVAL

Specjalna oferta dla uczestników SLOT ART FESTIVAL
Kup prenumeratę kwartalną***
z dostawą do domu
za 99 zł

Oferta ważna tylko do 31 lipca br.

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE 4 wydania*
z dostawą do domu
za 69 zł

**

* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl
*** wejdź na stronę powszech.net/prenumerata, wybierz ofertę SLOT, w rubryce „Uwagi” wpisz numer swojego identyfikatora z dowolnej edycji Slot Art Festival.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	
Slot (13 numerów)	99 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

GOMBRO NA KRYZYS

Witold Gombrowicz zmarł pięćdziesiąt lat temu. Choć potrafił nas ogarnąć i przewidzieć, jako wieszcz pozostał w permanentnym czyśćcu. Pora go stamtąd wydobyć.

ELIZA KĄCKA

ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

Witold Gombrowicz (na dywaniku) w gościnie u Marcela Marcousa, dyrektora firmy Bunge y Born, zajmującej się handlem zbożem. Buenos Aires, Argentyna, prawdopodobnie 1940 r.

Przypowieść powiada, że w pewnym hołdującym Sztuce Kartografii Cesarstwie sporządzono Mapę tegoż w skali 1:1, która jednakże rychło okazała swą Niepraktyczność. Na Pustyniach i Nieużytkach tego Kraju można wciąż spotkać Ruiny i Resztki Mapy, porzucone na łaskę Losu.

Taką też Mapę swojego Dzieła sporządzał przez lata Witold Gombrowicz. Przewaga Autokomentarza nad Dziełem w jego twórczości Przygniata. Cztery (i pół, jeśli wliczyć „Opętanych") Powieści, trzy (i pół, bo „Historia" jest rekonstrukcją) Dramaty, dziesięć (z pominięciem wprawek) Opowiadań – a Reszta to Mapa, Mapa i Mapa. „Dziennik" – główna Mapa Cesarstwa Gombrowicz, „Wspomnienia polskie", „Wędrówki po Argentynie", „Testament", publicystyka, krytyka, korespondencja, na koniec „Kronos" – wszystko to Mapa.

Zaludniają ją Studenci i Badacze. Mało kto ośmiela się przebić przez Mapę ku Terytorium. Może by tak, w pół wieku po śmierci Wielkiego Kartografa, z lekka tę Mapę zwinąć? I co widać z Gombrowicza dziś, gdy jest na listach lektur albo go tam nie ma, modny lub obrzydły (zależnie od konduity), ale z rzadka pytamy o to, co tak naprawdę wniósł do naszego myślenia?

Mistrz krótkiej ławki

Żaden pisarz polski nie narzucał się tak publiczności czytającej, plotkującej i opiniodawczej – w przekonaniu, że ma do powiedzenia coś nadzwyczajnego. Dziwne, że dopiął swego, a jeszcze dziwniejsze, że – z perspektywy czasu – miał słuszność. Koszt tego był jednak wysoki: rozwinięte w tym celu strategie i niebywały upór zjadły, być może, znaczną część jego nienapisanego dzieła. Zwłaszcza że zaczynał dwukrotnie. Za młodu w zakopiańskim pensjonacie celował w grze w krótką ławkę (o jedną osobę za dużo, ktoś musi spaść). Znamy grę literackich debiutantów: zająć miejsce i nie dać się ruszyć. Tę grę w przedwojennej Polsce wygrał.

W powojennej Argentynie, żyjąc psim swędem, wyłącznie dzięki talentom towarzyskim zbudował wokół siebie prekariackie, jak on sam, środowisko. Aż w pewnej chwili znów tu i ówdzie zaistniał. Wielu miało dar istnienia ot, tak sobie, bez wysiłku. Gombrowicz stwarzał się w pocie czoła.

Jego poczucie misji natrafiło jednak na problem. To, co chciał przekazać, zmuszało do urobienia sobie własnej publiczności. A kto miał do czynienia z publicznością, wie, jakie to trudne – ona nie znosi zaskoczeń, przyprawia ją to o niestrawność.

Owszem, przed Gombrowiczowskim debiutem był niedługi okres, że przyjmowano życzliwie każdą nowość; trwał jednak krótko. Gdy tuż po wojnie Isaiah Berlin przyjechał do Sowietów, posadzono go na bankiecie koło Sergiusza Eisensteina. Zapytany przez filozofa o najszczęśliwszy okres w życiu, wielki reżyser wspomniał początek lat 20.: „Na przykład na widownię w teatrze wpuszczaliśmy wysmarowane sadzą świnie. Ludzie w panice wskakiwali na krzesła. To było cudowne". I westchnął. Na początku lat 30., gdy debiutował Gombrowicz, wyczyny tego rodzaju były ledwie półrealnym wspomnieniem. On zaś żywił ambicje skandalisty. Startował więc poniekąd z pozycji anachronicznych – i dostał za swoje. W latach 30. XX wieku ekscentryczność wyszła już bowiem z mody.

Ocaliła go żyłka trendsettera. Świadczy o tym jego wczesna krytyka literacka i dygresyjne rozdziały „Ferdydurke". Pomysły proste i bezczelne. Choćby ten, że w książkach ciekawy jest nie tekst, lecz autor. To, jak się ów autor pozuje i wzdyma, z reguły na kredyt. Literatura to w tym ujęciu nie więcej, jak wgląd w ludzkie pokręcenia. A wydanie książki to coś na kształt spuszczenia w towarzystwie portek. Kupa śmiechu, żenada.

Ponadto – co mu zostało – odkrył uroki podglądania własnej myślowej kuchni (a choćby i mentalnej obsceny). Żadnych miarodajnych wyroków zawodowego krytyka. By tak rzec, trawił publicznie – żeby pokazać, co ma w zanadrzu.

Generalne intuicje życiowe – silne i nieodparte, jak w przypadku Gombrowicza – mamy zazwyczaj sami z siebie. Dla kilku wczesnych opowiadań i uwag o pisaniu ważna jest zwłaszcza jedna – nieprzedawniona i dziś. Intuicje takie wymagają jednak impulsu, który by je uświadomił. Ma się rozumieć, ów pierwszy bodziec to sekret. Gombrowicz zresztą niechętnie przyznawał się do lektur. Z lubością pozował na ignoranta, hreczkosieja z Sandomierskiego.

Pan Poniżalski

„Nie każdy cham to troglodyta, nie każdy wieszcz ma inedita" – pisał przed wojną Stanisław Jerzy Lec. Gombrowicz, na szczęście, ma inedita. Jednym z nich jest opowiadanie „Z diariusza prywatnego Hieronima Poniżalskiego", tak zakamuflowane na pożółkłych łamach „Gazety Polskiej" z 1934 r., że ujawnił je dopiero tom „Varia", cztery lata po śmierci autora. Jego bohater-grafoman protestuje przeciw dostojnej fasadzie życia kulturalnego, a chce dobrać się do prawd życiowych: „Od dziś w sumieniu swoim cenić będę tylko ludzi prawdziwie wielkich, lub też tych, którzy mają odwagę małości. Tych zaś, którzy wywyższają się tylko – poniżyć! Poniżyć!". Niemiły pan Poniżalski to głos wewnętrzny Gombrowicza. Ten, który ma przymus jątrzenia, kto patrzy na świat oczyma pełnego uraz szydercy. Słuchamy więc kogoś, kto musi sobie ulżyć.

Ale pan Poniżalski nie przyszedłby na świat, gdyby nie pewna książka. Kto pierwszy stanowił okaz takiego typka, jak nieprzystosowany Gombrowiczowski Stefan Czarniecki, jak złośliwy Tancerz mecenasa Kraykowskiego, jak niegodziwy Fryderyk z „Pornografii"? Badacze Gombrowicza wymieniają, słusznie, bezimiennego „Człowieka z lochu". Tak zatytułowane opowiadanie Dostojewskiego (zwane dziś „Notatkami z podziemia") w przekładzie Marii Grabowskiej ukazało się w roku 1929, akurat wtedy, gdy Gombrowicz jął serio rozważać karierę pisarską.

Ów paskudny człowiek z lochu, cynik, bufon, nicuje w monologu złudzenia dobroczynnego postępu, wizje sprawiedliwego społeczeństwa, racjonalizm i przyrodzoną dobroć natury ludzkiej. „A ja wam na złość jeszcze wstrętniej zawyję!". Niewątpliwie – bez wahań, jak narrator „Kosmosu", powiesiłby kota. Dla Gombrowicza w początkach drogi pisarskiej był jednak może zbyt radykalny. Pan Poniżalski rozpoznałby się w innej, mniej agresywnej postaci. Mam na myśli „Kuzynka mistrza Rameau", równo sto lat od „Człowieka z lochu" wcześniejszego bohatera opowiastki Denisa Diderota. Jej przekład pióra Staffa wyszedł w roku 1910. Podówczas ludzie kulturalni czytywali dla przyjemności takie rzeczy. Gombrowicz i myśl Oświecenia – świeższe niż Gombrowicz pod rękę z egzystencjalizmem, prawda?

Kuzynek to, w gruncie rzeczy, pechowiec, stłamszony sławą stryja, wielkiego muzyka. Choć niemiły, ma swój wdzięk. Pieczeniarz i ekscentryk, natura ↦

↦ przekorna, nieszkodliwy, acz niepokojący – jak wszyscy wrogowie obłudy. Najlepiej określa go nieprzetłumaczalne niemieckie słówko *Spielverderber* – taki, który psuje zabawę, bo wszędzie aranżuje skandal. Diderot dialoguje z nim, by zgłębić, skąd się bierze w człowieku perfidia, rujnująca całą oświeceniową, optymistyczną antropologię. Oto, w kim się rozpoznał Gombrowiczowski głos wewnętrzny.

Johann Wolfgang von Goethe, który tekst Diderota przełożył na niemiecki, po czym zgubił oryginał (wszystko to bardzo ciekawe), powiada, że publiczność składa się z ludzi ograniczonych, którzy czyjś niepojęty dla nich geniusz uznają póty, póki pewni są jego wyższości. Dość jednak (są sposoby) pokazać im geniusza w kapciach, „a ściągną go z jego sfery wyższej w swoje małe kółko i poddadzą wyrokom opinii towarzyskiej". Słowem, publiczność to Poniżalski zbiorowy. Kuzynek, który na przemian ją bawi, prowokuje i jej schlebia, testuje na niej moralność eksperymentalną.

Eksperymenty

Domniemana lektura Diderota zbiega się w czasie z zawiązaniem sławnego triumwiratu. Gombrowicz zawarł znajomość z Witkacym, który był właśnie w trakcie pisania „Niemytych dusz" z tezą, że głównym mechanizmem psychicznym Polaków jest puszenie się, czyli podszyta kompleksami nadętość. I że przydałoby się z Polaka nieco tego gazu spuścić.

Pod tym względem rozumieli się z Gombrowiczem doskonale. Trzecią osobistością był bujający na ezoterycznych wyżynach Bruno Schulz. Jego to zatem poddał Gombrowicz okrutnej próbie w swoim stylu.

Ogłosił list otwarty, gdzie oznajmił, że zdaniem pewnej doktorowej z Wilczej Schulz to błazen i się zgrywa. Schulz jednak, miast ukorzyć się przed uosobioną publiką, czyli konsumentką kultury masowej, oddał hołd kształtnym nogom doktorowej i pozostał przy swoim. Wiedział, że są rzeczy nie dla wszystkich. Gombrowicz uznał to za staroświecczyznę, przeczuwał bowiem, że znawców i koneserów, dla jakich pisze Schulz, nie ma lub wkrótce nie będzie. I że on sam skazany jest na doktorową i własne odbicie w jej („Ferdydurke") „kretynicznej duszy". Przeznaczenie pokarało go po 30 latach, gdy odbił się, już we Francji, w duszy niejakiej Barbary Szubskiej, nadzwyczaj pewnej siebie czytelniczki. I miast się upokorzyć, sam wskoczył w buty Schulza, próbując zmiażdżyć ją wzgardą. Daremnie. Trafiła kosa na kamień: odporna na pańskość Szubska była bowiem (o czym pewno nie wiedział) księżniczką *de domo* Koczubej.

Wszystko to kręci się, wedle sławnych rozważań Hegla, wokół kwestii pana i niewolnika, czyli praktyk narzucania siebie. Ludzie, powiada Hegel (którego Gombrowicz musiał poznać w ramach studiów prawniczych), zawiązują stosunki społeczne, konfrontując ze sobą pragnienia. Nie zawsze jednak chcą nagiej władzy. Równie mocno pragną uznania, docenienia, rozpoznania w nich kogoś znaczącego: człowiek staje się osobą dzięki cudzemu spojrzeniu! Jaki stąd wniosek? Prosty: bez wytchnienia i na wszelkie sposoby trzeba narzucać się innym. Zaczęto zwracać na mnie uwagę – czyli stałam się kimś i wiem o tym, zyskałam świadomość. A po co mi ona? By zdominować tych, którym jej brak. I będę gwałcić ich sobą tak długo, aż niepostrzeżenie popadnę w ich niewolę: moja świadomość uzależni się od nich. Znamy to świetnie, prawda?

Studium niewerbalnego narzucania swej woli, przemocy symbolicznej, to najmocniejszy atut dzieł Gombrowicza. Za najlepsze „analitycznie" strony uważam te, na których upupiony Józio-Ferdydurke błądzi bezradnie po sterylnym mieszkaniu Młodziaków, pożądając konceptu, którym mógłby splugawić tę nowoczesną utopię. Próbuje, przymierza się. W pewnej chwili obrywa musze skrzydełka i łapki, po czym wrzuca ją do upajająco dziewczęcego pantofla tenisowego pensjonarki Zuty. To właśnie przemoc symboliczna: jak widać, ma wiele wspólnego z magią. A ściślej: wywodzi się wprost z magii.

Trudno orzec, jak dalece Gombrowicz zdawał sobie z tego sprawę. W każdym razie traktował te rzeczy serio. I odkrył, zapewne samodzielnie, przymus mimetyczny, czyli mówiąc w uproszczeniu – przymus naśladownictwa. Ten fenomen istnieje realnie. Pewna dostojna teoria widzi w nim źródło religii, podstawę struktury społecznej i motor historii, lecz bądźmy bardziej wstrzemięźliwi. Wiadomo, że ziewanie jest zaraźliwe, że w teatrze kilku klakierów potrafi rozruszać widownię, że gdy w korku zirytowany kierowca naciśnie klakson, zaraz inni zrobią to samo.

Gombrowicz z tego zjawiska zrobił sprężynę swych fabuł. Bójki w „Ferdydurke" wciągają postronnych widzów. Gdy w przypowieści o pojedynku filozofów Antyfilidor strzela w bok, Filidor też musi strzelić w bok. Na wzór pewnego histeryka tłum panów z opowiastki o Filibercie dosiada panie. Karol w „Pornografii" rozgniata glistę, więc i Henia musi rozgnieść glistę. Intrygę „Trans-Atlantyku" rozwiązuje dziki wybuch śmiechu. Jest to tak zwany kryzys mimetyczny: imitowanie zachowań wiedzie do czynów gwałtownych i irracjonalnych.

Wnuczyzna

W „Przedmowie do Filidora", dygresyjnego rozdziału „Ferdydurke", zjawia się

Witold Gombrowicz

„JEGO TWARZ (...) była przerażająco piękna. Wyglądał, jakby zastygł w ruchu, jakby napiął się w ogromnym wysiłku, żeby wziąć przeszkodę" – wspominała żona. Umarł 24 lipca 1969 r. przed północą, w willi Val Claire w Vence, mając niespełna 65 lat. Debiutował „Pamiętnikiem z okresu dojrzewania" (1933), przed wojną ogłosił też sztukę „Iwona, księżniczka Burgunda" (1938) oraz powieści: „Ferdydurke" (1938) i – pod pseudonimem – „Opętani" (1939). W sierpniu 1939 r. wypłynął statkiem „Chrobry" do Ameryki Południowej i pozostał w Buenos Aires, gdzie stworzył wokół siebie krąg młodych wyznawców. Kolejne utwory – „Trans-Atlantyk" (1953), „Ślub" (1953), „Pornografię" (1960), „Kosmos" (1965), „Operetkę" (1966) i tomy „Dziennika" (1957, 1962, 1966) – publikował w Paryskim Instytucie Literackim, u Jerzego Giedroycia. W 1963 r. wrócił do Europy, rok później zamieszkał w Vence z Kanadyjką Ritą Labrosse (w grudniu 1968 r. wzięli ślub). Po roku 1956 r. wznowiono w kraju trzy jego książki, ale pełne wydanie dzieł mogło się ukazać dopiero trzy dekady później. ©℗ TF

po raz pierwszy ulubiony przez Gombrowicza rozbębniony pianista: „Jeśli każdy z nich [słuchaczy], blady z entuzjazmu, bije brawo, krzyczy i się miota, należy przypisać to temu, iż inni także miotają się krzycząc; albowiem każdy z nich myśli, że inni doznają straszliwej rozkoszy, nadziemskiego wzruszenia, wobec czego i jego wzruszenie zaczyna rosnąć na cudzych drożdżach; i w ten sposób łatwo może się wydarzyć, że choć nikt na sali nie został bezpośrednio zachwycony, wszyscy przejawiają oznaki zachwytu".

Horyzont tego zdania oraz podobnych w „Dzienniku" wykracza, oczywiście, poza koncerty i sztukę. Obejmuje place, ponad którymi grzmi głos dyktatorów, ogarnia rewolty, masowe paniki i ekstazy w obliczu wytęsknionych cudów. Jednym słowem, przymus mimetyczny rzuca światło zarówno na psychologię tłumu, jak i każdego, kto się nań składa. Stanowi klucz do zbiorowych histerii i złowieszczych pobudek uczniów człowieka z lochu. Równie wyraziście naświetla zjawisko ogólnej standaryzacji, obejmującej społeczeństwa, środowiska i fanatyczne grupy, na czele z rodzimym wcieleniem przymusu mimetycznego, strasznym Związkiem Kawalerów Ostrogi: „Ucieczki, ani zdrady żadnej, nie próbuj, bo ci Ostrogę zadadzą, a jeżelibyś choć chęć Zdrady, Ucieczki w którym z towarzyszów twoich spostrzegł, jemu Ostrogę masz wrzepić" („Trans-Atlantyk"). Wizjoner!

Inaczej mówiąc, wczesne Gombrowiczowskie domysły po latach jak mało co wprowadzają w główne problemy nowoczesności. Myśli proste mają swoje zalety. Ale Gombrowicz widzi to jeszcze szerzej. To, co jedni narzucają drugim, czym podniecają się wzajem, gaszą, dręczą i kształtują, urasta mu po wojnie w manifest, w summę ateologiczną, której potędze nie dorównuje żadne wyznanie wiary w literaturze polskiej XX wieku. Tak, to monolog Henryka z III aktu „Ślubu":

Dość już tych Bogów! Dajcie mi człowieka!
(...)
Abym z nim tańczył! Bawił się! Z nim walczył
Przed nim udawał! Do niego się wdzięczył!
I jego gwałcił, w nim się kochał, na nim
Stwarzał się wciąż na nowo, nim rósł i tak rosnąc
Sam sobie dawał ślub w kościele ludzkim!

Ostatnio nasza Ojczyzna w najbardziej niepokojącym stylu lat 30. roztacza swe niezwalczone uroki.

Kto czytał Gombrowicza, ten nie ma prawa się dziwić.

W tym testamencie ostatniej nadziei najważniejsze jest dla mnie końcowe pragnienie wzrostu, przyrostu człowieczeństwa. Bunt, tęsknotę, szamotania się, zwątpienia i euforie wieńczy bowiem obietnica. Droga do ślubu w kościele ludzkim – to przecież nic innego jak kultura.

Tak to przedwojenny Mistrz Analizy, destruktor Antyfilidor zmienił się po wojnie w Mistrza Syntezy, twórcę wartości, Filidora. Jak wiadomo, doszło do tego w „Trans-Atlantyku", gdzie (prawem paradoksu) dogmatyczna Ojczyzna wyłania z siebie anarchiczną Synczyznę.

„Nie dość wiecznego Umęczenia, Udręczenia? – sączy narratorowi w ucho deprawator Gonzalo. – Oj, wypuścić Chłopaków z ojcowskiej klatki, a niech i po bezdrożach polatają, niechże i do Nieznanego zajrzą!".

Co też się i sprawdziło: polatali i wrócili do klatki. Mam na myśli dialektykę ostatniego półwiecza. Któżby uwierzył w burzliwych latach 60., że potomstwo zbuntowanych kudłaczy wdzieje kuse garniturki i kornie wsunie szyje w obroże korporacji? Co więcej, najgorszą zarazę widząc w hulankach Synczyzny. Zwłaszcza ostatnio opresyjna Ojczyzna w najbardziej niepokojącym stylu lat 30. zdaje się roztaczać niezwalczone uroki. Ale Gombrowicz to wszystko przewidział. I to, co przewidział, stanowi przykład, jak z ciemnych pokus, z myśli zaprzecznej, rozbijackiej, drążącej rodzi się jej przeciwieństwo. Albo, innymi słowy, z beznadziejnie wczepionych w siebie Ojczyzny i Synczyzny wychyla się dialektycznie synteza – Wnuczyzna. Groźny ten Gombrowicz w swoich intuicjach, prawda?

Zawodowcy wiedzą, że nie czytamy, mówiąc ściśle, tej samej „Ferdydurke", która wyszła z datą 1938. Przed publikacją krajową w lutym 1957 r. autor zmienił znaczne partie wspomnianej już wyżej „Przedmowy do Filidora". Nowy wywód, wychodząc z buntowniczych założeń „Trans-Atlantyku", kreśli proroczo perspektywy Wnuczyzny. A więc światopoglądu zdolnego przezwyciężyć klincz kulturowy naszych czasów. Nie sądzę, by często czytano jak trzeba te zdania – niech więc to rozważanie zakończy obszerna prezentacja wizji, którą Gombrowicz przedstawia w rzadkim u niego trybie serio:

„Niezadługo zdamy sobie sprawę, że już nie to jest najważniejsze: umierać za idee, style, tezy, hasła, wiary; i nie to także: utwierdzać się w nich i zamykać; ale co innego, ale to: wycofać się o krok i zdobyć dystans do wszystkiego, co nieustannie wydarza się z nami.

Odwrót. Przeczuwam (...), że wkrótce nastąpi czas Generalnego Odwrotu. Zrozumie syn ziemi, że nie wyraża się w zgodzie ze swoją najgłębszą istotą, lecz tylko i zawsze w formie sztucznej i boleśnie z zewnątrz narzuconej (...) Wkrótce poczniemy obawiać się naszych osób i osobowości, stanie się nam jasne bowiem, że one bynajmniej nie są w pełni nasze. I zamiast rzec: »Ja w to wierzę – ja to czuję – ja taki jestem – ja tego bronię« – powiemy z pokorą: »Mnie się w to wierzy – mnie się to czuje – mnie się to powiedziało, uczyniło, pomyślało«. Wieszcz wzgardzi swym śpiewem. Wódz zadrży przed swym rozkazem. Kapłan zlęknie się ołtarza, a matka wpajać będzie w syna nie tylko zasady, lecz także zdolność umykania się im, iżby go nie przydusiły.

Długa i ciężka to będzie droga. Albowiem dzisiaj zarówno jednostki, jak narody całe umieją już wcale nieźle zarządzać swym życiem psychicznym i nieobca im umiejętność wytwarzania stylów, wiar, zasad, ideałów, uczuć wedle woli, ale też wedle tego, co im dyktują ich doraźne interesy; ale bez stylu nie umieją żyć; i nie wiemy jeszcze, jak bronić naszej najgłębszej świeżości przed szatanem ładu".

Jest to fragment o takiej mocy aktualności, której nie sposób tu rozpisać. Rymuje się z pisanymi dziś dekalogami – nie tylko, acz przede wszystkim – świeckiego trwania. Przejmuje i transmituje jakże współczesny – nam, teraz – dreszcz. W pięćdziesięciolecie śmierci Witolda Gombrowicza przyjmijmy odeń Wnuczyznę.

© ELIZA KĄCKA

Człowiek płonie

BARTEK DOBROCH

Rammstein – zespół, który odniósł światowy sukces, jaki nie stał się udziałem żadnego innego niemieckojęzycznego wykonawcy rocka. Fenomen, który niełatwo wytłumaczyć.

Zanim w środę 24 lipca na Stadionie Śląskim wystąpią w Polsce po raz jedenasty, ogłosili datę kolejnego koncertu w 2020 r. w Warszawie. W ramach pierwszej stadionowej trasy po Europie zagrają ich w sumie 53. I to będąc zespołem tworzącym od ćwierć wieku w szerokim nurcie ciężkiej muzyki do tekstów w języku niemieckim, który nie tylko nie zdominował popkultury, ale ciągle budzi skrajne emocje.

To jednak właśnie język i ojczyzna twórców są głównym tropem do rozwikłania fenomenu zespołu Rammstein. Warto sięgnąć po kilka niemieckich słów. Niektóre funkcjonują w innych językach jako germanizmy, inne przeniknęły do światowej kultury, jeszcze inne nazywają pojęcia nieznajdujące w języku polskim odpowiedników.

Hassliebe

(*silna więź emocjonalna lub uczucie oscylujące między miłością a nienawiścią*)

Można ich kochać albo nienawidzić, ale trzeba przyznać, że umieją podgrzać emocje, ocierając się przy tym o granicę dobrego smaku i szeroko rozumianej poprawności. Zanim ukazał się nowy album zespołu – siódmy studyjny, poprzedzony dekadą przerwy – w sieci pojawiła się zapowiedź teledysku promującego go singla „Deutschland", przedstawiająca muzyków ubranych w obozowe pasiaki i z szubienicznymi pętlami na szyjach. Niemiecki zespół i scena z nazistowskiego obozu koncentracyjnego – już samo to zestawienie wzbudzało niesmak, a u niektórych krytyków wręcz *Schadenfreude*, uczucie radości z czyjegoś potknięcia: oto znany z prowokacji zespół podjął tym razem próbę z gruntu samobójczą.

Brawurowo zmontowany, wyreżyserowany przez podpisującego się pseudonimem Specter Berlin artystę teledysk okazał się blisko dziesięciominutową jazdą przez dwa tysiące lat niemieckiej historii, jak na norymberskim rollercoasterze z widokiem na inspirowaną rzymskim Koloseum halę kongresową na dawnym terenie zjazdów NSDAP. Germania jako personifikacja Niemiec, zagrana przez czarnoskórą (!) niemiecką aktorkę, ukazuje się w filmie w 16 r. n.e. (bitwa pod Idistaviso) z głową jednego z rzymskich legionistów (wokalisty Tilla Lindemanna) – to symbol wcześniejszego zwycięstwa Germanów w bitwie bitwie w Lesie Teutoburskim. Mit tej bitwy wpłynął w XIX w. na kształtowanie się niemieckiego nacjonalizmu. I z nim walczy Rammstein śpiewając o kraju, który „można kochać i chce się nienawidzić".

Słowa ilustrowane są niechlubnymi scenami z historii Niemiec: są tu wyprawy krzyżowe, palenie książek, mariaż Kościoła z nazizmem, pijackie rauty agentów enerdowskiej Stasi, terroryzm RAF-u, wreszcie egzekucje więźniów w obozie Mittelbau-Dora, gdzie konstruowano rakiety V2. To właśnie sceny egzekucji ściągnęły na zespół oskarżenia o instrumentalne wykorzystanie i trywializację Holokaustu. Protestowały środowiska żydowskie i pełnomocnik rządu ds. antysemityzmu – choć podobny zarzut można wysunąć wobec „Bękartów wojny" Quentina Tarantino, którymi autor teledysku posiłkuje się w fantasmagorycznej wizji odwróconej egzekucji SS-manów przez więźniów. W teledysku roi się od filmowych kryptocytatów, od „Listy Schindlera" po „Życie na podsłuchu".

Zespół dotknął serca niemieckiej tożsamości, mierząc w skrzętnie skrywane poczucie wyższości i mozolnie odbudowywaną niemiecką dumę. A raczej bycie dumnym z niebycia dumnym. Zakazaną pierwszą zwrotkę niemieckiego hymnu „*Deutschland, Deutschland über alles*" („Niemcy, Niemcy ponad wszystko") Rammstein zaostrza: „*Wer hoch steig, der wird tief fallen / Deutschland, Deutschland über allen*" („Kto pnie się wysoko, upadnie nisko / Niemcy, Niemcy ponad wszystkimi"). Kto inny mógłby sobie pozwolić na takie słowa o swoim kraju, jeśli nie zespół, który w repertuarze ma już piosenki będące wyrazem niemieckiej *Hassliebe* wobec Ameryki i Moskwy?

Fernweh

(*potrzeba wyjazdu, otwartej przestrzeni, odetchnięcia innym powietrzem*)

Historia zaczyna się w smutnym kraju, jakim do upadku Muru Berlińskiego była Niemiecka Republika Demokratyczna. To w niej w latach 1963-71 przyszło na świat sześciu członków zespołu: trzech w Berlinie Wschodnim, pozostali w Lipsku i Schwerinie, a Zven Kruspe w brandenburskim Wittenberge – nie mylić z Wittenbergą Lutra.

Kruspe nie był wychowywany na buntownika. Po rozwodzie rodziców i przenosinach do Schwerina wierny partii ojczym konsekwentnie tępił wolnościowe zapędy chłopaka. Wpajał mu kult tężyzny fizycznej, zapisał do sekcji zapaśniczej i darł plakaty zespołów symbolizujących kulturę zgniłego Zachodu, zwłaszcza znanego z obscenicznych gestów zespołu Kiss. W NRD trudno było o instrumenty, a sprzedaż niektórych wydawnictw muzycznych była zakazana. Zven kupował je podczas wakacji na Węgrzech lub w Szczecinie. Szkolny wyjazd do Czechosłowacji zaowocował nabyciem gitary. Potem w konserwatorium uczył się grać na gitarze jazzowej. Pociągały go jednak inne brzmienia: chropawość punk rocka, me-

YUOTUBE // RAMMSTEIN.DE

Scena z wideo „Deutschland", 2019 r.; obok pierwsza kaseta zespołu Rammstein, 1994 r.

lodyka klasycznego heavy metalu i melancholia new romantic. Prądy, wydawałoby się, nie do pogodzenia. Ale to właśnie szerokie muzyczne horyzonty (i unikanie służby wojskowej) miały sprawić, że drogi przyszłych muzyków Rammsteina się przecięły. Mimo odmiennych życiorysów.

Ojciec wokalisty Tilla Lindemanna był szanowanym poetą i autorem książek dla dzieci, matka dziennikarką. Bywali u nich artyści i pisarze, jak mieszkająca w sąsiedztwie Christa Wolf, najwybitniejsza prozaiczka wschodnioniemiecka. Zanim zaczął pisać wiersze i teksty piosenek, Till był obiecującym pływakiem. Sport dawał w NRD znacznie większe niż kultura szanse zaspokojenia *Fernweh* i wypłynięcia na szeroki świat. Till dopłynął aż do Młodzieżowych Mistrzostw Europy we Florencji w 1978 r., gdzie zakwalifikował się na olimpiadę w Moskwie. Podczas bójki we Włoszech doznał jednak kontuzji mięśni brzucha, która przerwała jego sportową karierę.

Skierował zainteresowania ku muzyce, która stała się też obszarem wewnętrznej emigracji dla jego przyszłych kolegów: gitarzysty Paula Landersa, perkusisty Christopha Schneidera, basisty Olivera Riedela i klawiszowca Christiana Lorenza, znanego bardziej jako Flake. Publiczne granie wymagało wówczas pozwolenia. Stasi rozpracowywała środowisko muzyczne; jej tajnymi współpracownikami okazało się dwoje muzyków zespołu Die Firma, w którym występowali wówczas Landers, Schneider i Kruspe.

Kruspe także znalazł się w orbicie zainteresowania tajnych służb. W październiku 1988 r. przypadkowy udział w antysystemowej demonstracji zakończył się dla niego aresztowaniem, pobiciem i sześciodniową odsiadką. Zdarzenie skłoniło go do ucieczki z NRD. Przez Czechosłowację, Węgry, Austrię i Bawarię dotarł do Berlina Zachodniego. Zmienił imię na Richard; Zven brzmiało zbyt wschodnioniemiecko. Krótki powrót do Schwerina zaowocował poznaniem Lindemanna. Po upadku muru drogi ich obu prowadziły do połączonego już i wolnego Berlina.

Feuerwerk

(w języku polskim jako germanizm – fajerwerk, a w dosłownym tłumaczeniu: dzieło ognia)

Zanim runął mur, zdarzyła się katastrofa. 28 sierpnia 1988 r. w Ramstein, bazie lotniczej NATO opodal Kaiserslautern, odbywał się *Flugschau* – pokaz lotniczy. Włoska grupa Frecce Tricolori wykonywała właśnie efektowną figurę, gdy trzy z siedmiu biorących w niej udział samolotów zderzyły się w powietrzu. Jeden spadł na publiczność. Wybuchło 800 litrów paliwa lotniczego. Zginęło 70 osób, prawie tysiąc zostało rannych.

Tragedia na oczach tysięcy ludzi i rejestrujących pokazy kamer tak mocno utkwiła w pamięci muzyków, że gdy sześć lat później szukali nazwy dla zespołu, padła propozycja: Ramstein-Flugschau. Podobno miał to być hołd dla ofiar katastrofy, a może chodziło po prostu o brzmienie, zwłaszcza pierwszego członu. Wkrótce obcięto drugi, dodając za to jedno „m". „Rammstein" brzmiało dokładnie tak jak nazwa bazy, ale w tym zapisie uzyskiwało drugie znaczenie: „taranujący kamień", coś jak niemiecki *rolling stone*, a w istocie kamień używany do burzenia budynków. Nazwa ma więc hardrockowo-metalowy ciężar, industrialną proweniencję i element kontrowersji w katastroficznym skojarzeniu.

„Rammstein" – tak po prostu zatytułowany jest też jeden z pierwszych utworów zespołu, suchy opis katastrofy zaczynający się twardo i wolno artykułowaną frazą: „Rammstein / Człowiek płonie". Tym bardziej wstrząsającą, że wokalista wykonywał utwór w specjalnym płonącym kostiumie. Ogień stał się też lejtmotywem obecnym na kolejnych płytach, począwszy od rozpoczynającego debiutancką „Herzeleid" „*Wollt ihr das Bett voll in Flammen sehen?*" („Czy chcecie zobaczyć łoże całe w płomieniach?"). Człowiek płonął w nich w wyniku starcia z maszyną, rozpalających serce emocji lub wzniecających niszczące pożary żądz.

Na scenie jednak ogień zawsze był prawdziwy. Koncerty Rammsteina od zabaw piromanów amatorów ewoluowały w muzyczne performanse połączone z pirotechnicznym pokazem, w industrialno-postapokaliptycznych kostiumach i dekoracjach jakby inspirowanych filmem „Mad Max". Fajerwerki i siermiężny futuryzm – to był kolejny przepis na zainteresowanie swoją twórczością świata.

Ohrwurm

(w dosłownym znaczeniu skorek, w przenośni wpadająca w ucho i niemogąca wyjść z głowy melodia)

W 1996 r. po wydaniu pierwszej płyty ludzie z wytwórni zapytali muzyków, kogo widzieliby jako reżysera teledysku. Ci wymienili Davida Lyncha, najbardziej kultowego wtedy reżysera. Pomysł wydawał się absurdalny, ale gdy nagrania dotarły do Lyncha, zaintrygowały go do tego stopnia, że aktorom na planie realizowanego właśnie filmu „Zagubiona autostrada" polecił improwizować do nich sceny, a dwa utwory („Rammstein" i „Heirate mich") włączył w ścieżkę dźwiękową.

Zaledwie cztery miesiące po premierze „Zagubionej autostrady" ukazał się drugi ↦

album grupy – „Sehnsucht", opatrzony bizarnymi, by tak rzec, portretami muzyków autorstwa Gottfrieda Helnweina (austriackiego artysty, z pochodzenia Irlandczyka). Album poprzedziło wydanie kanonicznych dziś przebojów „Engel" i „Du hast", a teledyski do nich nawiązały do innych kultowych obrazów amerykańskiej kinematografii lat 90.: „Od zmierzchu do świtu" Roberta Rodrigueza i „Wściekłych psów" Quentina Tarantino. Efekt – ponad milion sprzedanych egzemplarzy płyty w Ameryce, gdzie nigdzie wcześniej ani później niemieckojęzyczny wykonawca nawet nie zbliżył się do takiego wyniku.

Cytowany w biografii zespołu autorstwa Łukasza Dunaja dziennikarz tygodnika „Der Spiegel" Tobias Rapp pisał: „Jest w tym jakaś przewrotna ironia losu, że Rammstein odnieśli tak wielki sukces, wykorzystując mnóstwo klisz związanych z zachodnią popkulturą i kształtowaną przez narody, które po dziś dzień uważają naród niemiecki za odpowiedzialny za największe zło, jakie spotkało ludzkość XX wieku".

Sukces ten jest także wypadkową klisz i stereotypów wdrukowanych w głowach odbiorców przez powojenną kulturę. Pasował do nich wizerunek groźnie wyglądających i dobrze zbudowanych (poza chuderlawym Lorenzem) Niemców, grających muzykę zbudowaną na marszowym rytmie, ostrych jak salwy z karabinów gitarowych riffach, a czasem okraszoną Wagnerowską podniosłością.

Oskarżenia o faszystowskie inklinacje pod adresem ekspunkowców były niedorzeczne, ale zespół popełnił na tym polu poważny błąd, ilustrując *cover* „Stripped" Depeche Mode czarno-białymi zdjęciami sportowców. Estetyczny efekt był świetny, ale najwyraźniej nie zadziałał instynkt samozachowawczy – bo zdjęcia pochodziły z nowatorskiego dokumentu Leni Riefenstahl „Olympia", zrealizowanego podczas igrzysk w Berlinie w 1936 r. na zamówienie samego Hitlera. Zespół bił się w piersi i pokutował, śpiewając na kolejnej płycie o sercu bijącym na lewo, ale zapewne dopiero „Deutschland" przyniesie odpuszczenie grzechów.

Krytycy zarzucali też często Rammsteinowi czerpanie z pomysłów poprzedników, w tym choćby Die Krupps, którzy już w latach 80. łączyli ciężkie metalowe rytmy z elektroniką. Kraftwerkowi zespół zawdzięcza nie tylko elektroniczną melodykę, ale też wizję zespołu jako sprawnie funkcjonującego kolektywu, ludzkiej maszyny. O ile trudno mówić o bezpośrednim wpływie awangardowych eksperymentatorów z Einstürzende Neubauten, o tyle widać go w wierności językowi niemieckiemu i zamiłowaniu do językowych gier.

MATERIAŁY PRASOWE

Rammstein, 1995 r.

Industrialne drogi przecierał Rammsteinowi także zespół KMFDM. Z kolei słoweński Laibach mógł inspirować sztuką prowokacji. Jak Słoweńcy uderzali w system poprzez przesadną z nim identyfikację, tak i Rammstein zaczął szokować nie tylko ciężarem podejmowanych tematów, ale też pozorem utożsamiania się ze sprawcami, choćby poprzez teksty pisane z ich pozycji.

Zeitgeist i Weltschmerz

(duch czasu i ból świata)

Nie byłoby fenomenu Rammsteina, gdyby nie duch czasu, w którym media swoim ślepym zachwytem lub świętym oburzeniem kreują bohaterów – zarówno idoli tłumów, jak i zbrodniarzy. Magazyn „Rolling Stone" nazwał kiedyś grupę „wschodnioniemieckim sekstetem fanatyków seksualnych tortur". Rammstein ma na swoim koncie piosenki o rozlicznych rodzajach perwersji, dewiacji i zbrodni. O nekrofilii, pedofilii (także kościelnej), kazirodztwie, sadomasochizmie, ale też np. o homofobii i seksturystyce. Niektóre zainspirowane zostały autentycznymi przypadkami, m.in. kanibala z Rotenburga („Mein Teil") czy Josefa Fritzla (otwarty Straussowskim walcem „Wiener Blut"). „Podobnie jak robaki w przyrodzie – ich zadaniem jest zjadanie mięsa, my odsłaniamy ciemne strony życia, ciemne strony człowieka" – tłumaczył to zainteresowanie w wywiadzie Paul Landers.

Często motywem jest chora, zaburzona, destrukcyjna, prowadząca do śmierci miłość. Albo wynikająca z jej braku i rodząca demony samotność. Bohater, zarówno ten współczesny, jak i osadzony w mrokach historii, pochodzi najczęściej z germańskiego kręgu kulturowego, co sugeruje, że choć temat bywa uniwersalny, to probierzem kiepskiej kondycji człowieczeństwa jest *homo germanicus*.

Przesadą byłoby jednak mówić o wstręcie do własnej tożsamości i lewackiej ojkofobii, której po „Deutschland" doszukują się prawicowi komentatorzy. Rammstein czerpie z niemieckiej kultury, w swoim dorobku ma trawestację „Króla Olch" Goethego czy jego „Dzikiej różyczki". Orgia okrucieństwa przypomina baśnie braci Grimm, do których zresztą niektóre teksty nawiązują. Od płyty „Mutter" baśniowość odgrywa ważną rolę w tekstach i teledyskach zespołu, jak w „Sonne", w którym zespół wcielił się w krasnoludków wydobywających złoto dla surowej i dominującej Królewny Śnieżki. Oczywiście są to baśnie dla dorosłych, a może raczej odbicia ich psychoanalitycznych odczytań, według których człowiek jawił się jako niewolnik własnych popędów.

Nie tylko w romantycznych nawiązaniach czy balladach, niekiedy patetycznych lub kiczowatych, ale też w całej ponurej wizji świata, w którym nawet „szczęście i radość pociągają za sobą udrękę"; w wizji bliskości, która dzieli, i miłości niemożliwej, w poczuciu nieuchronności przemijania słychać echa innego niemieckiego konceptu – Weltschmerzu.

Choć skryty za kostiumami twardzieli, zasłoną z ognia czy umiejętnie wykoncypowanym skandalem, ból świata wydaje się szczery. Ujawnia go choćby „Haifisch", kolejna trawestacja, tym razem pieśni Brechta o Mackie Majchrze, w której morderczy rekin zostaje uczłowieczony: „No a rekin, on też płacze, / Łzy ciekną mu po twarzy. / Ale rekin żyje w wodzie, / Kto łzy te zauważy?". © BARTEK DOBROCH

Gorączka biograficzna

INGA IWASIÓW

Zniszczenie, niedokończenie, wyrzucenie do magazynu, na śmietnik, zalanie, spalenie – często pojawiają się w opisach materii pozostałej po artystkach.

ARCHIWUM ALEKSANDRA FILIPOWICZA

Maria Jarema, lata 30.

Biografie są w modzie, biografistyka ma coraz lepszą formę. Narasta dostępność źródeł, otwartość archiwów i zaciekawienie prywatnością. Ciułamy historie rodzinne i ustawiamy na nowo panoramy dziejowe. W księgarniach znajdziemy opowieści o życiu celebrytów, aktorek, noblistów, zasłużonych działaczy, przedstawicielek społeczności lokalnej. Niektóre należą do popkultury, a inne do akademickiej niszy. Ciągną za tekstem głównym sztampowe niedyskrecje lub sieć wypełnioną drobiazgowymi przypisami. Powstają biografie ponad indywidualne (np. książki Joanny Kuciel-Frydryszak „Służące do wszystkiego" i Alicji Urbanik-Kopeć „Anioł w domu, mrówka w fabryce"), odtwarzające na podstawie wątłych śladów codzienność osób niewidocznych z perspektywy mitologii dworkowej, ziemiańskiej, inteligenckiej. Życie jest dla współczesnych intrygującym tematem.

Nie załapały się

Na tym pracowicie zagospodarowywanym polu szczególne miejsce zajmują historie kobiet-artystek, często dosłownie wychodzących z cienia – zza pleców mężów i partnerów, z marginesów podręczników akademickich. Zdumiewa, iż musiały zostać rozpoznane, przywrócone, odnalezione – ich dorobek wydaje się niewątpliwy, one same zaś tak nietuzinkowe, że każdej można by poświęcić ambitny serial. A jednak narratorki często zadają pytania „gdzie one są?", „jak do nich dotrzeć?", powtarzające koncept przełomowej pracy Lindy Nochlin z 1971 r.: „Dlaczego nie było wielkich artystek".

Nie było czy nie ma? Kto aktualizuje ten osąd? Te pytania to sygnały sprzeciwu wobec mechanizmów kodyfikowania sztuki, bezradności w konfrontacji z mechaniką dziejową, rozsypującą ludzkie pamiątki po terytorium demolowanego kataklizmami świata, świadectwo wyczulenia na pogłosy decyzji egzystencjalnych, słabo słyszalnych po latach. Dostrzegam w nich także zmianę podejścia – choć coraz łatwiej znajdować i zbadać dokumenty, piszący stracili wiarę w istnienie kanonicznej wersji zdarzeń. Wiedzą, iż luka zależy od opowieści.

Nie ukrywają rozterek towarzyszących pracy nad książką: „Ale co z tą Szelburg? W opowieści skupionej na samym akcie opowiadania zostanie unieruchomiona, unieważniona prawie, jakby na dowód, że niemożliwe jest porozumienie, że niemożliwe jest poznanie. (...) Trzeba ją odnaleźć. Trzeba odnaleźć Szelburg" (Anna Marchewka „Ślady nieobecności. Poszukiwanie Ireny Szelburg", Studio Wydawnicze DodoEditor 2014).

„Jak sprawić, by Jarema i jej sztuka były na nowo obecne, odczuwalne i widzialne? Liczne tropy podsycają ciekawość i umacniają w pytaniu: gdzie jest Maria?" (Agnieszka Dauksza „Jaremianka. Biografia", Znak 2019).

„Boję się, że Katarzyna Kobro może się do filmu Andrzeja Wajdy nie załapać. W każdym razie nie w roli głównej" (Małgorzata Czyńska „Kobro. Skok w przestrzeń", Czarne 2015).

Zacytowane biografistki nie kamuflują własnej fizycznej obecności w pracowniach malarskich, gabinetach pisarskich, w kontakcie z potomkami, czyniącej z nich promotorki śledztwa i terapeutki. Wpatrują się w fotografie, czytają listy, interpretują wiersze i obrazy, odczuwają emocje. Kapitulują, gdy wątki okazują się nie do rozplątania. W niedokończonych utworach i zniszczonych rzeźbach widzą ↦

↦ przestrogę przed chęcią podania do publicznej wiadomości skończonej wersji życiorysu swoich bohaterek, wyrwania z nich każdej tajemnicy.

Trzeba jednak drążyć – inaczej bohaterki mogą się nie załapać – to przeczucie dotyczące filmu Andrzeja Wajdy znalazło potwierdzenie. Reżyser w „Powidokach" opowiedział o Władysławie Strzemińskim, jego córkę i żonę umieszczając na drugim planie. Tłumaczył taką konstrukcję scenariusza potrzebą refleksji nad kondycją artysty w okresie stalinowskim, gdy małżeństwo wybitnych awangardzistów przestało już istnieć. Trudno jednak nie zauważyć, iż film przyczynił się do dyskusji nad losem i dorobkiem artysty, raz jeszcze lokując genialną rzeźbiarkę w cieniu.

GRAŻYNA MAKARA

Fontanna Marii Jaremy na Plantach w Krakowie

Stygma

Zniszczenie, niedokończenie, wyrzucenie do magazynu, na śmietnik, zalanie, spalenie – często pojawiają się w opisach materii pozostałej po artystkach. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę XX-wieczne losy mieszkańców Polski, w każdej dekadzie przerywane scenami zniszczeń, pożarów, egzekucji, aresztowań, wątki te zyskują dodatkowe znaczenia lub są przekonującą metaforą wymazywania artystek. Ich „skoki w przestrzeń", namysł nad formą plastyczną, powiązanie techniki pracy z doświadczeniem lub radykalne abstrahowanie od podmiotowości – zostają zepchnięte do lamusa. Cokolwiek by zrobiły, lądują w graciarni. Jak kurtyna z malunkami Jaremianki, przechowywana w kominie kamienicy, gdzie mieścił się teatr.

Zastanawia łatwa analogia tych przypadków z kulturowymi normami, przypisującymi kobietom drugorzędne role i nieułatwiającymi zobaczenia ich wybitności – to ogólnie. A konkretniej trzeba też rozpatrywać system kształcenia i uznania, stosowany przez instytucje: uniwersytety, akademie sztuki, galerie. Artystki, które przeszły to pierwsze sito i zdobywały prestiż w środowisku artystycznym, błyszczały zwykle krótkotrwale, a po śmierci bywały jakimś tajemniczym sposobem ustawiane w drugim szeregu, za twórcami ważnymi w swej formacji.

Retrospektywne wystawy i podręczniki historii sztuki, podobnie jak kanon literacki, potrzebują okazji, by uznać twórczynie za bohaterki pierwszoplanowe. Oczywiście doktrynalną przesadą byłoby twierdzenie, iż Kobro, Stryjeńska, Szapocznikow, Abakanowicz są nieznane i potrzebują specjalnego potraktowania, by zaistnieć. Na pewno jednak historia wkładu kobiet w sztukę XX-wieczną, a także ich walki o prawo do pójścia własną drogą jest niepełna.

Maria Poprzęcka w „Uczcie bogiń", zbiorze opisującym sylwetki dwunastu twórczyń z kręgu europejskiej i amerykańskiej awangardy, pisze o nich: „Wszystkie, czując siłę swojej płci, świadomie kierowały swoim życiem, nie godziły się na przeciętność, były zdolne do ryzyka, nie poddawały się przeciwnościom losu. No i tworzyły sztukę, choć może z nierównym sukcesem. Ale to sztuka była siłą sprawczą ich niezwykłych życiorysów".

Nieprzeciętność to także swoista stygma, inność. Przeciwności zaś mają często przyczyny polityczne. Międzywojenna, lewicowa awangarda została po wojnie uciszona. Kto przeżył okres odcięcia od środków do życia, często nie miał siły, by zadbać o swą spuściznę. Indywidualna historia Aliny Szapocznikow, Katarzyny Kobro i Marii Jaremy nie da się zrozumieć poza warunkami politycznymi.

Marek Beylin w „Ferworze. Życiu Aliny Szapocznikow" i Małgorzata Czyńska zwracają uwagę na obcość i dziwność swoich bohaterek. Szapocznikow – Żydówka, więziona w niemieckich obozach zagłady. Kobro – Rosjanka, sanitariuszka podczas I wojny. Obie miały trudności z adaptacją w powojennej rzeczywistości. Problem umiejscowienia artystek jest w obu przypadkach skojarzony z zagadnieniami pamięci i przewartościowania dziejów Polski. By dodać jedno jeszcze biograficzne podobieństwo: chorują, niewypowiedzianie cierpią, tracą zdolności samodzielnego funkcjonowania i umierają na raka. Szapocznikow długotrwałe zmagania z chorobą tematyzowała w swojej sztuce. Od 1963 r. na emigracji, umarła w 1973 r. we francuskim sanatorium. Kobro pod koniec życia już nie tworzyła, borykała się ze skrajną biedą i wycieńczeniem.

Łaski i niełaski

Maria Jarema, podejmując studia, przeniosła się ze Starego Sambora do Krakowa, gdzie spędziła resztę życia, wyjeżdżając na krótkie pobyty stypendialne za granicę. Co prawda pozostała w obrębie Galicji, ale zmianie uległa mapa Polski. Szczególną kondycję Marii wyznaczyła bliźniaczość – autorka jej biografii, Agnieszka Dauksza, rozpatruje symboliczne, widoczne na zdjęciach odbicia sióstr, lecz i przejęcie przez Nunę roli opiekuńczej wobec siostrzeńca, a wreszcie tajemnicę jej śmierci na białaczkę. Wyjątkowość Jaremianki manifestowała się bezkompromisowym oddaniem sztuce. Podczas wojny urodziła syna, zabiegała o środki na utrzymanie kilkorga osób z rodziny oraz na paczki wysyłane do obozu koncentracyjnego Kornelowi Filipowiczowi. Po wojnie oboje z Filipowiczem zostali pozbawieni możliwości

zarobkowania. Żyli w biedzie, uporczywie tworząc. Ona w nowatorskiej technice monotypii, on – prozę będącą reakcją na przeżycia obozowe.

Wszystkie kreowały nową sztukę, nowe warunki jej uprawiania. Wybierały trudną materię. Rzeźbiły. Poddawały refleksji związki przestrzeni z formą plastyczną i rolę sztuki w świecie. Na różnych etapach, zwykle z potrzeby zarobkowania, robiły lalki. W przypadku Jaremy lalki wywodzą się także z nurtu eksperymentów scenograficznych i kostiumologicznych podejmowanych w Teatrze Artystów Cricot, który współtworzyła z bratem Józefem, Zbigniewem Pronaszką i Henrykiem Gotlibem, a po wojnie z Tadeuszem Kantorem.

Upodrzędnianie Aliny Szapocznikow w oficjalnej wykładni sztuki ma zdaniem jej biografa Marka Beylina charakter systemowy. Ani galerie, ani marszandzi, ani krytycy nie przywiązują wagi do nowatorskich działań kobiet. Biografia Aliny układa się w kobiecą egzystencję jej czasu, autorefleksją uobecnianą w sztuce wyprzedziła przynajmniej o dekadę „zwrot do ciała".

Przywołując przykłady przeżywania „ja" przez Szapocznikow – pozostawione w organicznych i odpadowych formach oraz materiałach rzeźbiarskich, w pracy na ciele – Beylin nie zapomina o analizie politycznej. Środowisko plastyków prowadziło w okresie socrealizmu grę z władzami, której stawką była obecność w galeriach i sterowane centralnie przywileje. Szapocznikow wykonywała rzeźby w doktrynalnie narzuconym stylu, stawała do konkursów, zabiegała o zlecenia. Inaczej niż zagłodzone przez władze Kobro i Jaremianka, cieszyła się przywilejami. A jednak część wykonanych w stylu monumentalnym prac rzeźbiarskich wylądowała na wysypiskach lub składowiskach odpadów po komunizmie. Z czasem Alina zaczęła tworzyć na krawędzi doświadczenia biograficznego, wykorzystując aktualny „stan gry" między sobą a światem, jak wówczas, gdy odlewała z tworzyw sztucznych części dręczonego bólem ciała.

Jaremianka nie miała wiele czasu, by wrócić do łask po odwilży – umarła w 1958 r., ale w ostatnim okresie życia, mimo niepokornej postawy, wróciła do sal wystawowych, pojechała na weneckie Biennale, doczekała się indywidualnej prezentacji w Kordegardzie.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Maria Jarema „Taniec", 1955. Muzeum Narodowe w Krakowie

Katarzyna Kobro zaczynała od pracy w silnej grupie rosyjskich konstruktywistów, współtworzyła radykalny Blok, Praesens oraz rewolucyjny a.r., by skończyć na szyciu lalek. Ustąpiła pod naporem warunków życia, w skrajnej biedzie, w burzliwym małżeństwie ze Strzemińskim. Po wojnie jej rzeźby uległy destrukcji: wyrzucone na śmietnik, zapomniane czy wreszcie transformujące w zarobkowe rękodzieło. Umarła w 1951 r.

Żony, matki

W pisanych dziś książkach biograficznych dokonuje się także rekonstrukcja sfer życia i wydarzeń, które należą do schematu kobiecych ról. Ważne są w nich relacje z rodzicami, z mężczyznami, z dziećmi. Wnoszą sporo do wizji codzienności i scenariuszy życia prywatnego w XX-wiecznej Polsce. Na przykład Alina Szapocznikow adoptuje syna Piotra. Ich związek staje się przedmiotem i tematem instalacji, niezwykle sensualnych, organicznych, dekonstruując tym samym dogmat o biologicznym czy wręcz genetycznym byciu ciało-w-ciało, zapoczątkowanym ciążą. Marek Beylin rozważa hipotezę doznanego przez artystkę poronienia lub innej sytuacji mogącej wpłynąć na bezdzietność i stać się jednym z podskórnie obecnych tematów jej twórczości.

Katarzyna Kobro rodzi dziecko dość późno i jest opiekuńczą matką, ale jej jedyna córka, pamiętająca przede wszystkim powojenną biedę, degradację fizyczną ojca i matki, awantury między rodzicami – co oddaje w swojej książce wspomnieniowej – odczuwa negatywne skutki życia w domu geniuszy. Maria Jarema nie chce mieć dzieci, być może także ma poronienie latem 1937 r. Agnieszka Dauksza tropów tego przeżycia szuka w rzeźbie „Macierzyństwo" oraz niewielkiej temperze pt. „Dwie postacie". Interpretuje tę pracę na podstawie czarno-białej reprodukcji, co wzmaga klimat niepewności. Jedno jest widoczne – mniejsza postać wymyka się, zsuwa z kolan większej.

Drugi raz Maria zachodzi w ciążę podczas wojny. Dauksza znalazła w archiwum rodzinnym niewykupioną receptę na antykoncepcyjną miksturę. Dlaczego recepta nie została zrealizowana? Z powodu braku środków, zapomnienia? Maria podczas ciąży maluje jedyny „miękki" cykl kwiatowy, „żeby syn był wrażliwy". Leży w lipcu 1943 r. przez dwanaście godzin twarzą do ziemi, gdy Niemcy szukają na krakowskiej Woli Justowskiej nielegalnej drukarni – jest w szóstym miesiącu ciąży.

Są matkami nietypowymi z punktu widzenia mieszczańskich wyobrażeń. W związkach oczekują swobody – Szapocznikow inicjuje otwarte relacje, Jarema wydziela mężczyznom niewielką przestrzeń obok siebie. Obie pozostają w przyjaźniach z poprzednimi partnerami, tworząc konstelacje, które śmiało można nazwać „rozszerzonymi rodzinami z wyboru". Syna Jaremy i Filipowicza wychowuje rodzina. Ze wspomnień wynika, że osobne zamieszkiwanie przez rodziców nie wywołało u niego poczucia odsunięcia. Byli z nim emocjonalnie, fizycznie zaś spędzali tyle czasu, ile mogli.

Żeby opowiedzieć o artystce, trzeba odtworzyć jej uniwersum – świat sztuki z zamazanymi dziś powiązaniami, przyjaźniami, ideami, miejscami spotkań. Opowiedziany od strony kobiet, zyskuje nowe warianty. Gdy się tym wariantom przyjrzeć, zdumiewa ich kruchość i bogactwo, powiązana z nietrwałością używanych materiałów, śladów po życiu, przemijalnością doktryn, wyludnianiem miejsc. Czytanie biografii ma też wymiar ostrzegawczy – uzmysławia, jak wiele możemy przeoczyć, stracić, zaprzepaścić, ulegając sztampie, modzie i uprzedzeniom.

© INGA IWASIÓW

Drażnienie językiem

ANITA PIOTROWSKA

Z filmem „Mowa ptaków" w reżyserii Xawerego Żuławskiego można się głęboko nie zgadzać, może on irytować, ale nie można go zignorować.

Komitet Organizacyjny festiwalu filmowego w Gdyni, złożony przede wszystkim z obecnych włodarzy kinematografii i kultury, mimo rekomendacji ze strony Zespołu Selekcyjnego, składającego się z uznanych ludzi kina, o mały włos nie przyjąłby do konkursu najnowszego filmu Xawerego Żuławskiego, który powstał na podstawie scenariusza jego ojca Andrzeja. Czy byłaby to decyzja polityczna, wyraz pielęgnowanych od lat uprzedzeń, czy może przejaw artystycznej zachowawczości ze strony organizatorów? Jakim filmem jest „Mowa ptaków", przekonają się już za chwilę widzowie festiwalu Nowe Horyzonty, gdzie będzie mieć on swoją prapremierę.

Jedno jest pewne: twórca „Wojny polsko-ruskiej" nakręcił film gniewny, chwilami naiwny czy pięknoduchowski w swoim obrażaniu się na rzeczywistość, ale za to śmiało idący pod prąd dominującym w naszym kinie narracjom. Równocześnie powstał obraz bardzo intymny, wpisany w skomplikowaną relację ojcowsko-synowską, a zarazem składający hołd twórczości Andrzeja Żuławskiego. W efekcie dostajemy film nierówny, popękany, frenetyczny – początkowo miał on zresztą aż czterech pracujących równolegle reżyserów (wśród nich był jeszcze Jacek Borcuch, Piotr Kielar i Jan Komasa). Z jednej strony „Mowa ptaków" jest dziełem bardzo „żuławskim", robionym z charakterystyczną gorączką i zadyszką, z drugiej zaś znajdziemy w nim rzeczy zaskakujące – np. ukryte pokłady czułości: wobec miasta i kraju, w których robi się coraz duszniej, lecz także wobec zmarłego przed trzema laty ojca reżysera, który pojawia się w drugiej części filmu odtwarzany wybornie przez Daniela Olbrychskiego. Wściekły manifest polskiego inteligenta, coraz bardziej wyobcowanego ze współczesnej polskiej rzeczywistości, wyraża również tęsknotę za utraconą arkadią, w której mówiło się wymarłym już dzisiaj językiem. I której namiastką staje się na ekranie bardzo nietypowa wspólnota.

Nauczyciel historii prześladowany przez faszyzujących uczniów, polonista stający z nożem w obronie szykanowanego kolegi, młoda niepełnosprawna kwiaciarka, muzyk cierpiący na trąd – kto pamięta filmy Żuławskiego seniora, nie będzie traktował tych postaci zbyt dosłownie.

Są jak widma przybyłe tu z innego porządku: z nieskrępowanej niczym artystycznej wyobraźni, z rwącej rzeki słów, nabrzmiałych od aluzji i cytatów, którymi szermuje się tu bez opamiętania. Gombrowiczem podszyte są sceny w szkole i cała ta inteligencka błazenada, która ma być odtrutką na umysłową duchotę. Współczesna Warszawa, niczym w wyklętej „Szamance", jest karykaturalną stolicą upadku i chaosu – egzemplarze paryskiej „Kultury" sprzedaje się tu na straganach obok tanich ciuchów. Dwubiegunowa, mocno przerysowana wizja ojczyzny, zamieszkałej przez neonazistów i ekskomunistów, banksterów i księży, wariatów i bliźniaczych lekarzy, przez bierny tłum i garstkę wrażliwców, celowo prowokuje i drażni. Na jednym oddechu mówi się tu o czystych uczuciach i o gnijących ranach, karmi się nas i McDonaldem, i swojskim chlebem ze smalcem – czy to Polska właśnie?

Uwolniona kamera kołuje wokół postaci jak oszalała, choć być może tym, kto w filmie patrzy, czyli rządzi, jest wszędobylska dziewczyna ze smartfonem – natrętna podglądaczka, która staje się prototypem współczesnej artystki. A może jesteśmy przez cały czas nie w filmie, ale na planie filmu? Kto jednak go kręci? Żuławski junior opowiada o tym wszystkim w sposób nowoczesny i nowofalowo staroświecki równocześnie; czuje się tu ścierające się ze sobą różne pokolenia i różne poetyki, obsesyjne kinopisarstwo Andrzeja i próbę przełamania go poprzez myślenie obrazem w wydaniu Xawerego.

Kiedy jednak okazuje się, że wydalony ze szkoły polonista jest synem milczącego od lat znanego reżysera, zaczyna się jeszcze inny film, niekoniecznie zgodny z pierwotnym scenariuszem. Trafiamy oto do domu-sanktuarium, w którym króluje pamięć o Andrzeju Żuławskim. I nie ma znaczenia, że filmowy reżyser żyje i ma na imię Gustaw. Poprzez pojawiające się w kadrze książki, filmy, plakaty, rodzinne pamiątki zostaje odtworzony niepowta-

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Mowa ptaków”

rzalny mikrokosmos artysty. Po części także filmowe uniwersum, tworzone przez ludzi, którzy z nim kiedyś pracowali. Albowiem prócz plejady młodych aktorów (Sebastian Pawlak, Sebastian Fabijański, Eryk Kulm, Żaneta Palica, Jaśmina Polak, Marta Żmuda-Trzebiatowska) pojawiają się w „Mowie ptaków” nazwiska znane z filmów ojca reżysera: Alicja Jachiewicz, Monika Niemczyk czy Michał Grudziński. Zdjęcia Andrzeja J. Jaroszewicza i muzyka Andrzeja Korzyńskiego również stają się ukłonem w stronę twórczości mistrza. Mnożą się też autotematyczne nawiązania, a fikcja i rzeczywistość toczą ze sobą nieustający, chwilami nierozstrzygalny pojedynek – co sugeruje już prolog do filmu, w którym nakładają się na siebie twarze i głosy twórców i odtwórców: scenarzysty, reżysera, aktorów.

Za dużo nut? I owszem. Nieznośna maniera? Jak najbardziej. Dialogi brzmią, jakby w dzisiejszych czasach wystukane zostały na maszynie do pisania?

Bo rzeczywiście były! Można się z tym filmem głęboko nie zgadzać, może on irytować, ale nie można go zignorować. Zaszczepieni na tzw. żuławszczyznę znajdą tutaj wiele innych przestrzeni, nawet jeśli zbyt prosto zabrzmi im przesłanie, że tylko miłość i sztuka nas ocali, a to ostatnie jest dziś jedyną ostoją wolności. Dla kinofilów będzie to uczta najobfitsza – zwariowana, międzygatunkowa podróż do granic kina, napędzana dodatkowym pytaniem: „W jaki sposób, gdyby mógł, opowiedziałby nam dziś tę historię Andrzej Żuławski?”.

Obok „Mowy ptaków” i „Wojny polsko-ruskiej” na Nowych Horyzontach pokazane zostaną także jego filmy: „Diabeł” „Opętanie” i „Najważniejsze to kochać”. Duch nieżyjącego dziś reżysera unosi się nad programem wrocławskiego festiwalu prawie od zawsze. Tu miał swoją retrospektywę w 2008 r., tu też można obejrzeć najbardziej dyskutowane propozycje filmowe z całego świata, często ocierające się o ryzykowny eksperyment i twórcze szaleństwo.

Rezerwatem „kina, które dotyka” – tak brzmi tegoroczne hasło festiwalu – jest mocno wyśrubowany konkurs, ale również cykle: „Ciało, w którym żyję”, „Front wizualny”, „Trzecie oko: duchowość, magia i czarownice” czy przegląd Alberta Serry i Shūjiego Teryamy. O tym, że nie umarło bardziej przystępne kino autorskie, przypominają najnowsze tytuły Almodóvara, Dolana, braci Dardenne, Ozona, Tarantino czy nagrodzony w Cannes „Parasite” Bonga Joon-ho.

Na tym tle odbywający się za niecałe dwa miesiące najważniejszy polski festiwal, pozbawiony od trzech lat dyrektora artystycznego, a w tym roku sekcji „Inne spojrzenie”, coraz bardziej ręcznie sterowany, zdaje się „odpływać” – w stronę filmów historycznie słusznych, politycznie użytecznych, po koleżeńsku docenionych. A przy okazji w bezpieczne rejony kina, które swoim językiem nikogo nie drażni, bo po prostu nie dotyka. I na poły kurtuazyjne, na poły strategiczne ugięcie się organizatorów pod wpływem środowiskowego oburzenia, czego efektem jest ostateczne przyjęcie do konkursu „Mowy ptaków” oraz trzech innych rekomendowanych tytułów, niekoniecznie to zmieni. ©

MOWA PTAKÓW – *reż. Xawery Żuławski. Prod. Polska 2019. Dystryb. Velvet Spoon. W kinach od 27 września.*

19. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Nowe Horyzonty, 25 lipca – 4 sierpnia, Wrocław

WARTO ZOBACZYĆ W TV [27 VII – 2 VIII]

1. Hakowanie świata

Dokumentalny, reż. Karim Amer, Jehane Noujaim, USA 2019, Netflix

Informacja jest dziś najcenniejszym zasobem – przekonują twórcy i bohaterowie filmu biorącego pod lupę niedawny skandal związany z Cambridge Analytica. Handel danymi użytkowników internetu pozwala także dostarczać potężną broń polityczną, szczególnie w okresie zbliżających się wyborów.

2. Pierwszy człowiek

Biograficzny, reż. Damien Chazelle, USA/Japonia 2018, Canal+, 28 VIII, 14.35, Canal+ 1, 28 VIII, 15.35

21 lipca minęła 50. rocznica wylądowania Neila Armstronga na Księżycu. Twórca „Whiplash” i „La La Land” opowiada tę historię z innej niż dotychczas perspektywy, skupiając się na życiu osobistym kosmonauty, jego lękach i rozterkach, oraz na postaci jego żony Janet. W rolach głównych Ryan Gosling i Claire Foy.

3. Jordi Savall: Tribute to the Earth

Koncert, reż. Benjamin Bleton, Francja 2015, Mezzo, 1 VIII, 16.30

W jaki sposób barokowi kompozytorzy wyrażali w swojej muzyce zjawiska natury? Utwory m.in. Antonia Vivaldiego, Georga Philippa Telemanna i Marina Marais wykonuje grupa Le Concert des Nations pod batutą katalońskiego mistrza. Koncert zarejestrowany został w Abbaye Sainte-Marie de Fontfroide, dawnym opactwie cystersów.

4. Lód płonie

Dokumentalny, reż. Leila Conners, USA 2019, HBO GO

Oto kolejny apel w obronie ginącej planety, adresowany głównie do zatwardziałych niedowiarków. Rozmowy z ekspertami, infografiki, sugestywne obrazy raz jeszcze próbują uświadamiać, dlaczego warto zmienić podejście do konsumpcji, w wymiarze indywidualnym i globalnym. Producentem i narratorem filmu jest Leonardo DiCaprio.

JAN

Klata:
Oblicze swego czasu

W internecie znów burza, jak zawsze zresztą, ale tym razem nawet ciekawa, wielce twarzowa. Oto niczym pożar lasu szerzy się popularność aplikacji do postarzania fizis. Tak zwani internauci rzucili się do przerabiania podobizn swych młodych, pięknych lic na starczą modłę. Kupa śmiechu, po prostu, ubaw po pachy, a nawet wyżej, do cebulek. Obliczone przez algorytmy zmarszczki mimiczne zawładnęły tak zwaną cyberprzestrzenią, z pranksterskich zmieniając się w grymas przerażenia na wieść, że aplikacja, której oddaliśmy swe twarze do przeróbki, jest... rosyjska. Horror, po prostu horror, Władimir Władimirowicz zawładnie teraz naszymi wizerunkami, zarówno młodymi, jak i starymi, teraźniejszością i starością, zapanuje nad naszym czasem i wprzęgnie nas w swe złowrogie plany. Fala oburzenia unosi smartfony na całym wolnym świecie hipsterów, którzy uświadomili sobie poniewczasie, że strzelając selfika palnęli głupstwo, walnęli samobója i oddali się walkowerem w pacht autokraty (o twarzy już od jakiegoś czasu podejrzanie takiej samej).

Ja pozwolę sobie moralne wzmożenie potencjalną inwigilacją obejść szerokim łukiem, gdyż nie od dziś wiadomo, że zawartość naszych urządzeń elektronicznych jest nie tylko nasza, że należy również do Donalda, Władimira, Xi, a nawet (brrr) Zbigniewa, więc o co chodzi?

Intryguje mnie inny aspekt, profetyczny. Człowiek XXI wieku bardzo, ale to bardzo lubi patrzeć w lustro (jest mnóstwo filtrów w smartfonie, żeby lustro nie bolało). Uwieczniając się na Instagramie nie dostrzega paradoksalności swych ulotnych działań... a zarazem nurtuje go długie trwanie. Nurtuje go w trybie instant karma, oczywiście, stąd fenomen rosyjskiej aplikacji do oblicz.

Wnioski: 1. Chcemy być starzy natychmiast, nie mamy ochoty poczekać. 2. Chcemy byc starzy na chwilę, żeby się pośmiać, podzielić setnym żartem na „społecznościowych" portalach, i wrócić do naszego wiecznego, młodego, pięknego teraz.

Artyści od niemal czterech i pół tysiąca lat z pasją portretowali siebie, często jako ofiary. Na zawsze zostaną z nami ucięta głowa Goliata Caravaggia czy twarz Michała Anioła na zdartej skórze św. Bartłomieja... a teraz, ponieważ każdy jest artystą, każdy chce na własną rękę chwilowo uwieczniać siebie jako ofiarę upływającego czasu. Nie lepiej poczekać? Wtedy będzie szansa, z której arcydzielnie skorzystali Picasso w 1972 i Robert Mapplethorpe w 1988 r. Obydwaj na rok przed śmiercią, bez pomocy aplikacji. Żyjąc. Żłobiąc sobie twarze czasem. ©

Lektor:
Śmierć jest w nas

▪ *Sándor Márai*
DZIENNIK 1967–1976
Wybór, przekład, opracowanie, przypisy i posłowie Teresy Worowskiej. Czytelnik, Warszawa 2019, ss. 440.

„Śmierć nie przybywa z zewnątrz, nie dzwoni, nie zapowiada się listem, nie telefonuje: śmierć jest w nas, całkowicie w nas. Któregoś dnia znajdujemy ją jak coś, co się znajduje w kieszeni zimowego płaszcza". Márai zanotował te słowa w styczniu 1972; wkrótce skończy 72 lata, a 17 lat później odbierze sobie życie. Dziennik, który zaczął pisać w 1943 r., będzie prowadził do samego końca. Wybór z ogromnej całości, którego dokonała niezawodna Teresa Worowska, obejmuje pięć tomów – ten jest przedostatni.

W maju '67, po piętnastoletnim pobycie w Nowym Jorku, Máraiowie wracają do Europy. Kolejnym przystankiem ich emigranckiej odysei staje się Salerno. Pisarz, wdzięczny Ameryce za przyznanie obywatelstwa i uważający ją za krainę wolności, nie umiał się w niej odnaleźć, odstręczał go zalew kultury masowej, z ulgą też zakończył współpracę z węgierską Wolną Europą. I choć wszędzie czuł się obywatelem umarłego świata, Włochy – ich pejzaż, ludzie, kultura – były mu najbliższe, mimo politycznej niestabilności i terroryzmu. Wyniszczającą chorobę żołądka leczy najpierw w Neapolu (bezskutecznie, ale pobyt w szpitalu przyniósł kilka stron wspaniałej prozy), potem w Szwajcarii (skutecznie). No i finalizuje ważne projekty: powieści „Sąd w Canudos" (o społeczno-religijnym buncie w brazylijskim stanie Bahia) i „Ziemia! Ziemia!..." (o końcu wojny na Węgrzech).

Z rzadka, ale dobitnie komentuje wydarzenia bieżące. Nieprzejednany antykomunista, krytykuje wszelkie formy nowego appeasementu wobec ZSRR. Jest nawet (jak nasz Józef Mackiewicz) podejrzliwy wobec sowieckich dysydentów, do Sołżenicyna i Sacharowa przekonuje się stopniowo, węgierskim pisarzom, którzy przyłożyli rękę do budowy stalinizmu, nie potrafi wybaczyć, nawet jeśli potem wzięli udział w rewolucji 1956 i trafili do więzienia. Ale jego dziennik to przede wszystkim kronika starości i przeczucia śmierci. „Ze starości nieustannie woła jakiś głos. Krzyczy: »To nieprawda!«. Co? Wszystko: to, że między ludźmi panuje pokój, że istnieje przyjaźń i miłość, że jest przebaczenie, życie po śmierci. (...) A co jest prawdą? Chwila. Tylko chwila. Chwila seksu, chwila myślenia, chwila poznania, chwila dotknięcia rzeczywistości. (...) Ale ona może być jak bomba atomowa, w jej zgęszczeniu kryje się energia megaton". ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Czym się żywi Instagram*

Sto milionów razy pobrano aplikację FaceApp pozwalającą przerabiać zdjęcia twarzy. W zasadzie dowolnej, ale twórcy tego narzędzia dobrze wiedzieli, że wstrzelą się w manię selfików i że użytkownicy będą się bawić tylko własną buzią. Czy na pewno „bawić się" to dobre określenie? Oglądając wysyp postarzonych facjat znajomych, poczułem, że warstewka zabawnych autokomentarzy maskuje wcale poważną wyprawę w głąb piwnic naszej tożsamości. Ten sam impuls, który gnał niektórych do wróżki z przysłowiową szklaną kulą, można teraz wypuścić z siebie bezkosztowo i bez narażania się na złośliwe komentarze naszego wewnętrznego krytyka-racjonalisty. To tylko niewinna gra, zobacz, jakie śmieszne te zmarszczki, może ta starość nie będzie taka okropna?

Aplikacja zmienia wiek albo płeć bardzo przekonująco i tym bardziej się boję tych, którzy dysponują aż tak zdolną sztuczną inteligencją, nawet jeśli to nie są Rosjanie ćwiczący dzięki naszej naiwności jakieś potrzebne w następnej wojnie moce – o czym piszemy w Obrazie Tygodnika. Czyni to też ze znajomością uczuć, wie, czego nie chcemy widzieć w lustrze. Dlatego ta starość z FaceAppa jest tak wypreparowana, by raczej wzruszać niż przygnębiać – zmarszczki, zacna siwizna owszem, ale lustereczko nie powie nam nic o cukrzycy, zwyrodnieniu stawów, zaburzeniu snu, zanikach pamięci i nietrzymaniu moczu.

Nie po to przecież połowa ludzkości uprawia bez skrępowania nową formę narcyzmu, żeby przepracować spotkanie z rzeczywistym sobą. Ta forma autokreacji towarzyszy przenoszeniu punktu ciężkości życia w rozrzedzoną atmosferę mediów społecznościowych – ale nie jest tego efektem, jak narzekają zawodowi prorocy upadku cywilizacji i nostalgicy lepszych analogowych czasów. W populacji, jak sądzę, jest stały odsetek osobników czerpiących rozkosz z wystawienia się na widok innych, sycących się cudzym wzrokiem i zakochanych w sobie z wzajemnością. Byli wśród nas zawsze, tyle że dziś dostali do ręki łatwy i dostępny wszędzie zestaw środków, by to czynić, dlatego ich ciągle widzimy.

Ale to nie znaczy, że czasem bliźni nie potrafią mnie jednak mocno zaskoczyć. Przyjemność, jaką czerpałem z karmienia ludzi za pieniądze, zalęgła się we mnie jak tasiemiec, i wiem, że któregoś dnia syknie: wracaj do knajpy. Dlatego nadal śledzę trendy i zjawiska, które gastronomii towarzyszą, choć nie odnoszą się wprost do tego, co na talerzu – praca kucharza i jej fizyczny efekt to tylko jedna z osi, wokół których ten świat się obraca. To, że teraz chodzi się do restauracji nie po to, żeby zjeść i pogadać, ale żeby zrobić dobre zdjęcie i oznaczyć się w stosownym do własnych aspiracji miejscu, to już banał. Poważnie myślący o biznesie restauratorzy muszą projektować potrawy i sposób ich podania tak, żeby były instagramowalne.

Teraz jednak przeniosło się to na... toalety. Tak, restauracyjne kibelki są najgorętszym tematem branżowym w tym sezonie. Ich wystrój i nastrój jest czymś bodaj ważniejszym od projektu sali jadalnej. Dlaczego? Bo tam wisi lustro, nad umywalką przeważnie. Dlatego wyszukując na Instagramie zdjęcia otagowane nazwami restauracji, coraz częściej trafiamy na mniej lub bardziej wymyślne autoportrety ustępowe. Brytyjski „Vogue" już zdążył opublikować ranking londyńskich lokali z najlepszymi do zdjęć toaletami.

Moda chwyciła tym bardziej, że i bez tego bodźca reklamowego właściciele lokali i ich projektanci lubią wyżywać się twórczo w urządzaniu tych przybytków – wymyślnie, dowcipnie, aluzyjnie. Tu można naprawdę zaszaleć, także dlatego, że istnieje potrzeba zamaskowania wyrzuconych poza nawias kulturalnej rozmowy potrzeb i czynności, jakie nas w to miejsce ściągają. Pamiętam, jak musiałem powstrzymywać swojego wspólnika przed co bardziej szalonymi pomysłami na ulepszenie naszych ciasnych wnętrz – znosił z targów staroci i antykwariatów coraz to bardziej dziwne przedmioty oraz grafiki. O gustach trudno dyskutować, jednak byłem w stanie go przekonać, że głowa Lenina, uszkodzony puzon lub miedzioryt z tańczącą hurysą będą niepotrzebnie zaburzać swojskość z lekka przełamaną kiczem, która się dobrze komponowała ze stylem kuchni i obsługi. Mówiłem wtedy kompromisowo: jak musisz, to wstaw te dziwadła do toalety, *nel bagno, ti prego.*

No i wstawiał, powstało wnętrze zaiste surrealistyczne, warte utrwalenia dla potomnych. Tylko że – teraz pojmuję ten błąd – lustro zawisło w niewygodnym z punktu widzenia fotografii miejscu i jest za małe, żeby objąć rozłożyste ego przedstawiciela pokolenia millenialsów. Coraz mocniej wątpię, czy będzie ono w stanie doświadczać czegokolwiek wprost, bez zapośredniczenia zdjęciem. Wzrok, bateria i zasięg, tylko tyle wystarczy do szczęścia. Od jedzenia przecież się tyje. I trzeba iść znów do toalety, chociaż już zdjęcie hula po Instagramie. ©℗

Mamy bardzo dobry rok dla moreli, po tygodniu zajadania się nimi z jogurtem, zaczynam je trochę przerabiać termicznie – to są świetne owoce do krótkiego zapiekania pod aromatyczną kołderką. Z jednego z przepisów na ciasto w książce „Słodko" Yotama Ottolenghiego przejąłem pomysł na bardzo ciekawą polewę, bezmączną wersję „crumble'a".

ADOBE STOCK

W rondelku topimy 60 g masła, dobrze mieszamy ze 100 g drobnego cukru, 2 łyżeczkami cynamonu i dużą szczyptą soli (ale nie chodzi o to, żeby cukier się skarmelizował). Studzimy parę minut, wkręcamy 2 jajka. Pokrojone na pół morele kładziemy skórką do dołu na posmarowanym tłuszczem papierze do pieczenia np. w tortownicy o średnicy 22 cm (powinno wyjść 8–10). Zalewamy dokładnie masą, pieczemy w 180 stopniach ok. pół godziny, aż masa „powstanie" i zacznie wyglądać sucho. Pod koniec pieczenia można posypać płatkami migdałów, bo morele się z nimi lubią. Ten sam pomysł przetestowałem na wczesnych śliwkach.

DOMY NA WODZIE

Kaszmir uchodzi za jeden z najpiękniejszych zakątków świata. Zwłaszcza wczesną jesienią, gdy liście platanów przybierają barwę purpury i starego złota.

WOJCIECH JAGIELSKI

Z Szafim znamy się ćwierć wieku. Kiedy wypatrzył mnie w tłumie na Pahargandżu, przydworcowej dzielnicy targowisk i tanich zajazdów w Delhi, był jeszcze nastolatkiem, ale już wyróżniał się smykałką do interesów. Wyławiał w ludzkiej ciżbie cudzoziemców i namawiał ich na wyprawę do Kaszmiru. „Raju na ziemi" – zapewniał.

Wakacje z Mickiem Jaggerem

O chętnych na tysiąckilometrową podróż na himalajskie przedgórze nie było łatwo. W raju na ziemi trwało zbrojne powstanie, a miejscowi mudżahedini odgrażali się, że skoro Indie nie chcą się zgodzić na secesję Kaszmiru po dobroci, wywalczą ją z bronią w ręku.

Wymówiłem się Szafiemu, że wracam właśnie z wyprawy do Afganistanu i na kolejną nie mam ani siły, ani ochoty. – Tym bardziej powinieneś jechać do Kaszmiru. Wystarczy kilka dni odpoczynku w Alzirze, naszym domu na wodzie, a poczujesz się jak młody bóg – przekonywał.

– Jestem dziennikarzem – odparłem. – Korespondentem wojennym.

– Mój najstarszy brat Abdul zna w Kaszmirze wszystkich i do każdego może cię doprowadzić – kusił niczym niezrażony, ściszając tylko nieco głos.

Dałem się przekonać, a Szafi przeliczywszy zaliczkę, wielce z siebie zadowolony zapewniał, że Abdul umówi mnie z przywódcami powstania, a po pracy będę mógł zażywać odpoczynku i pięknych widoków w tym samym łóżku, które przed laty zajmował w ich domu na wodzie Mick Jagger. Szafi był jeszcze małym chłopcem, ale pamięta, że Jagger był dla niego bardzo miły, zagadywał przy każdej okazji, żartował.

Ojciec Szafiego, właściciel Alziry, uznał jednak, że nie będą się przechwalać sławnym gościem, aby nie odstraszać podróżnych. Mogliby pomyśleć, że skoro w Alzirze spędzał wakacje Jagger, za kwaterę trzeba płacić ceny będące zupełnie nie na ich kieszeń.

Witajcie w raju

Alzirę, dom na wodzie wyrzeźbiony z cedrowego drewna i przycumowany na brzegu jeziora Dal, zbudował ojciec Szafiego, Ghulam Rasul. Wpadł na ten pomysł, gdy jako chło-

AQIB MAJEED / SOPA IMAGES / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

Na jeziorze, pomiędzy przywiędłymi liśćmi lotosu, bezszelestnie przemykają smukłe łódki, szikary, kaszmirskie taksówki wodne, Śrinagar.

pak wraz z ojcem usługiwał Brytyjczykom panującym w Indiach. Nic dziwnego, że Kaszmir wydał im się rajem na ziemi. Zwłaszcza latem, gdy upały rozpalały indyjskie płaskowyże, a monsunowe deszcze czyniły życie nieznośnym. Brytyjscy urzędnicy kolonialni, wojskowi, kupcy wędrowali z rodzinami w góry, by na himalajskim przedgórzu zażyć spokoju, przeczekać zły czas. Przed nimi pod Himalaje uciekali latem wraz z dworami i garnizonami poprzedni władcy Indii, Wielcy Mogołowie.

Odgrodzony od reszty świata Himalajami, porośnięty wiecznie zielonymi lasami i kwiecistymi łąkami, poprzecinany górskimi rzekami i jeziorami o krystalicznie czystej, chłodnej wodzie, Kaszmir obiecywał przeżycia, jakich doznaje się obcując ze sztuką najwyższego lotu. Brytyjczycy nie zaprzestali pielgrzymek do Kaszmiru nawet wtedy, gdy odstąpili go maharadżom z radżpuckiej dynastii Dogrów w podzięce za wsparcie, jakiego im udzielił w wojnie z sikhami Randżita Singha.

Kaszmirscy maharadżowie, widząc zauroczenie cudzoziemców ich krajem, zaczęli się obawiać, że przybysze powykupują najlepsze parcele. Aby temu zapobiec, ustanowili prawo zabraniające sprzedawania obcym ziemi i w ogóle nieruchomości. Nie zniechęciło to jednak przyjezdnych, którzy obchodząc nieprzyjazne przepisy, zamiast na ziemi, zaczęli wznosić domy na wodzie i spędzali w nich wszystkie letnie miesiące. Potrzebowali służby, więc zatrudniali miejscowych Kaszmirczyków. Takich jak ojciec i dziadek Szafiego.

Nawet gdy rozstali się z indyjskimi koloniami, Brytyjczycy wciąż przybywali do Kaszmiru, by spędzać wakacje w domach na wodzie. Niektórzy posprzedawali swoje pływające pałace miejscowym bogaczom. Widząc upodobanie cudzoziemców do odpoczynku w domach na wodzie, ojciec Szafiego postanowił zbudować własny i wynajmować go letnikom.

Zaczął skromnie, od dwuizbowej dungi, ale w końcu dorobił się prawdziwej perły, za jaką uchodziła jego Alzira. Umeblował ją dywanami i misternie rzeźbionymi meblami, na rufie zmajstrował taras z balustradą, skąd letnicy mogli podziwiać umajone lotosami i liliami jezioro oraz otaczające je ośnieżone himalajskie szczyty. Przycumował nawet niewielką barkę, na której urządził ogród różany.

Zyski z turystyki okazały się tak duże, że wkrótce podejmowanie gości, obok rękodzieła i handlu, stało się głównym zajęciem i źródłem dochodów większości Kaszmirczyków. Już pod koniec XIX stulecia brytyjski podróżnik Francis Younghusband pisał, że przy brzegach jezior Dal i Nagin, a także rzeki Dźhelam, przepływającej przez Śrinagar, stało na cumach kilkaset domów na wodzie. Pół wieku później było już ich tam prawie 3 tysiące.

Gości nigdy nie brakowało. Niedługo po wyjeździe białych sahibów w Kaszmirze pojawili się ich synowie, dzieci kwiaty, długowłosi włóczędzy, przekonani, że w Indiach znajdą duchowy sens istnienia, który zgubili na Zachodzie, zaślepionym żądzą doczesnych dostatków. Do Kaszmiru ciągnęli także Hindusi z subkontynentu. Tamtejsze doliny, lasy i jeziora były dla nich wyobrażeniem największego romantycznego uniesienia. W przekonaniu tym utwierdzali ich szefowie Bollywoodu, indyjskiej fabryki snów, którzy filmy o miłości i bohaterstwie kręcili w kaszmirskich plenerach.

Rodzinnym interesem na miejscu zarządzał ojciec, który podejmował w Alzirze gości. Do pomocy miał zawsze dwóch synów. Trzeci pilnował w tym czasie interesu w Delhi, gdzie łowił klientów i wyprawiał ich do Kaszmiru. Jesienią 1994 r. wypadło akurat na Szafiego. Nie miał łatwego zadania.

Powstanie

Gdy pod koniec 1988 r. w Śrinagarze wybuchło powstanie przeciwko rządowi z Delhi, turyści zniknęli z dnia na dzień. Domy na wodzie, restauracje i schroniska, a także ogromne autobusy, wciąż kursujące między Delhi a Kaszmirem, świeciły pustkami.

Poszło o kolejne, sfałszowane wybory. W Dehli ogłoszono, że były dowodem, iż Kaszmirczycy wyrzekli się secesji i pragną być lojalnymi obywatelami Indii. Starzy, jak ojciec Szafiego, pokiwali tylko głowami. Młodzi, jak synowie Baszir i Szafi, zatrzęśli się z oburzenia. Był rok 1989, a na świecie ↦

działy się rzeczy, które wcześniej uznano by za niemożliwe. Upadł mur berliński, rozpadł się Związek Radziecki, ostatnie tchnienie wydawał niewydolny komunizm. Młodzież ze śrinagarskiego uniwersytetu wierzyła, że i w Kaszmirze może zdarzyć się cud. Najstarszy Abdul miał już na szczęście czterdziestkę na karku i własną rodzinę na utrzymaniu i nie stać go było na politykę.

Kiedy maszerowali ulicami Śrinagaru, wołając „*Azadi! Azadi!*" (Wolność! Wolność!), nie mieli nic konkretnego na myśli. Nikt nie przypuszczał, że bunt przerodzi się w 20-letnią wojnę, że zginie w niej 100 tys. ludzi. Wojsko nie patyczkowało się z demonstrantami, a każdy kolejny pogrzeb przeradzał się w nowe antyrządowe wystąpienia, i nowe masakry. Każda śmierć pociągała następne. Do pacyfikacji Kaszmiru Indie wysłały ponadpółmilionową armię. Po odliczeniu kobiet i dzieci wypadał jeden żołnierz na sześciu dorosłych Kaszmirczyków.

Żegnając się z indyjską kolonią, Brytyjczycy postanowili wykroić z niej Pakistan, w którym mieli zamieszkać muzułmanie popadający co rusz w konflikty ze stanowiącymi większość hindusami. Indyjskie księstwa, podległe brytyjskiej Koronie, miały zdecydować, w którym z państw chcą się znaleźć: w Indiach czy muzułmańskim Pakistanie? Spodziewano się, że Kaszmir, którego trzy czwarte ludności stanowią muzułmanie, opowie się za Pakistanem. Ale gdyby ich o to zapytano, Kaszmirczycy, zarówno mahometanie, jak i ich hinduski maharadża, wybraliby samodzielność i zażyczyliby sobie, by uznać ich za niepodległe państwo jak Nepal czy Bhutan. Nikt jednak nie zamierzał ich o nic pytać. Pakistan, zniecierpliwiony niezdecydowaniem maharadży, posłał do Kaszmiru pospolite ruszenie pasztuńskich plemieńców, żeby wywołali powstanie. Przestraszony maharadża wezwał na pomoc indyjskie wojsko i przyłączył Kaszmir do Indii.

Wybuchła pierwsza z indyjsko-pakistańskich wojen o Kaszmir. Jedynym jej skutkiem był rozbiór Kaszmiru. Indiom przypadły region Dżammu, gdzie większość stanowią hindusi, buddyjski Ladakh i Dolina Kaszmiru, zamieszkała przez muzułmanów. Pakistańczycy, którzy zdołali zająć tylko trzecią część Kaszmiru, oddzielili zaraz od niego Hunzę, Czitral, Gilgit i Baltistan, wcielając do swojego państwa jako tzw. Terytoria Północne. Pozostały skrawek Kaszmiru ochrzcili Wolnym (*Azad*) i poprzysięgli zjednoczyć go z indyjskim, według nich okupowanym. Chiny, korzystając z okazji, zagarnęły dla siebie krainę Aksaj. Indie i Pakistan stoczyły jeszcze dwie wojny (czwartą, w 1999 r., udało się cudem w ostatniej chwili powstrzymać), ale w Kaszmirze nie zmieniły one praktycznie niczego. Odmieniło go, i to nie do poznania, dopiero powstanie.

Azadi znaczy wolność

Kaszmir uchodzi za jeden z najpiękniejszych zakątków świata. Zwłaszcza wczesną jesienią, gdy liście platanów przybierają barwę purpury i starego złota, a stare drewniane domy nad brzegami kanałów jaśnieją żółto w słonecznych promieniach. Na jeziorze, pomiędzy przywiędłymi liśćmi lotosu, bezszelestnie przemykają smukłe łódki, szikary, kaszmirskie taksówki wodne.

Wysiadłem z autobusu na rogatkach Śrinagaru, w miejscu, które wyglądało dokładnie tak, jak je opisywał Szafi, a Abdul, najstarszy z braci, zgodnie z umową czekał w niewielkiej ciężarówce, wyładowanej skrzynkami jabłek. O tej porze roku w Kaszmirze dobiegały końca jesienne prace w sadach i na drogach pełno było samochodów zwożących jabłka.

Abdul kazał mi usiąść na tyle ciężarówki, żebym nie rzucał się w oczy szpiclom, od których roiło się w mieście. Uradził z ojcem, że sąsiadom powie się, iż jestem przybyłym z Europy właścicielem sklepu kolonialnego, a do Kaszmiru przyjechałem w interesach. Aby nie wzbudzać podejrzeń, codziennie wypływałem szikarą na jezioro, odwiedzałem sklepiki i warsztaty, w których stolarze wyrabiali z orzechowego i sandałowego drewna stoliki, fotele, zydle i parawany. Wieczorami z kolei do Alziry podpływali łodziami domokrążni sprzedawcy z naręczami dywanów i kilimów, jedwabiu i tkanin z uchodzącej za najlepszą na świecie wełny kaszmirskich kóz.

Zgodnie z obietnicą Szafiego, Abdul zaprowadził mnie do ukrywających się partyzantów, a także ich przywódców. Znał ich wszystkich, podobnie jak miasto, każdy w nim zaułek, każde podwórko.

Jasin Malik, jeden z pierwszych przywódców buntowników, został właśnie wypuszczony z indyjskiego więzienia. Wierzył w niepodległość i narzekał, że powstanie zostało skradzione przez ludzi, którzy poddaństwo wobec Indii chcą zastąpić poddaństwem wobec Pakistanu. Nie toczyli wojny wyzwoleńczej, ale świętą, dżihad. Wytykali Kaszmirczykom, że grzeszą, bo zamiast ściśle stosować się do nauk Koranu, słuchają sufickich mędrców, a w dodatku czczą ich jako świętych mężów. Strach przed mudżahedinami i ich religijnym zacietrzewieniem sprawił, że z Kaszmiru uciekli hinduscy pandici, szlachetnie urodzeni uczeni, z których wywodził się ród Nehru, pierwszego premiera niepodległych Indii.

Z więzienia wyszedł też Szabir Ahmad Szah, który choć liczył sobie niewiele ponad 40 lat, większość życia spędził za kratkami za działalność niepodległościową. Po raz pierwszy trafił do więzienia jako 14-latek. „Nawet jeśli miałoby się okazać, że nie poradzimy sobie z niepodległością, powinno się przynajmniej dać nam spróbować. Mamy prawo sami siebie posłać do diabła" – powiedział mi podczas spotkania w jego domu na przedmieściu Śrinagaru.

Ile są warte marzenia?

Biuro Szafiego w Pahargandżu przypomina niewielką komórkę, wciśniętą między dwie czteropiętrowe kamienice, zajęte przez hotele i restauracje. Szafi i Baszir urzędują na zmianę w tylnej części ciemnej nory, rozparci wygodnie za stołem. W przedniej części synowie Baszira (dochował się trzech synów, Szafi – dwóch. Razem z bratem kpili z najstarszego Abdula, że urodziły mu się same córki. Trzy!) załatwiają pomniejsze sprawy, jak zakup biletów na kolej lub autobus czy hotelowe rezerwacje. Poważniejszymi klientami, pytającymi o wakacje w Kaszmirze, wyprawę wielbłądami po pustyniach Radżastanu albo romantyczną wycieczkę do Agry czy Udajpuru, zajmuje się osobiście Szafi lub Baszir.

Kiedyśmy się widzieli ostatnim razem, Szafi powiedział, że nie narzeka, chociaż nie tak wyobrażał sobie swoje życie. Chciał zostać lekarzem, ale gdy wybuchło powstanie, ojciec odesłał go razem z Baszirem do Delhi. Bał się zwłaszcza o nastoletniego wówczas Szafiego, że zapatrzy się w starszych ko-

WOJCIECH JAGIELSKI

Szafi w swoim biurze, Delhi 2016 r.

legów, przystanie do powstania, zatruje myśli nienawiścią i fanatyzmem.

Szafi płakał, kiedy ojciec kazał mu jechać do Delhi, by pilnować rodzinnego interesu. Długo tęsknił za Kaszmirem, za domem, przyjaciółmi i kolegami ze szkoły. Po latach przyznał ojcu rację. W Kaszmirze nie wyuczyłby się na lekarza, bo przez powstanie zamknięto uniwersytety. Musiałby więc i tak wyjechać. W Kaszmirze każdy młody wydawał się indyjskim żołnierzom podejrzany, w każdej chwili mógłby zostać aresztowany, pobity, postrzelony. Ojciec powtarzał, że najważniejsze to przeżyć. Choćby i za cenę wyrzeczenia się młodzieńczych marzeń. Nie uważał, żeby było to wygórowana cena.

Intifada kaszmirska

Po dziesięciu latach powstanie zaczęło przygasać, a do Kaszmiru wrócili letnicy. Znów zapełniły się pensjonaty w domach na wodzie, trasy narciarskie i ścieżki pieszych wędrówek. Zniesiono godzinę policyjną, pousuwano wojskowe posterunki, ufortyfikowane workami z piaskiem i zasiekami z drutu kolczastego. Znów pootwierały się zamknięte z braku klientów sklepy i restauracje.

I kiedy wszystko zdawało się iść ku lepszemu, ogłoszono, że władze postanowiły wydzierżawić 40 hektarów himalajskiego lasu i pobudować w nim schroniska dla hindusów, pielgrzymujących do położonej na wysokości czterech kilometrów jaskini Amarnath i znajdującego się w niej lodowego stalagmitu, czczonego przez wiernych jako *lingam*, źródło wszechświata, Śiwy, boga zniszczenia i stworzenia.

Kaszmirczycy znów wpadli w gniew. Rozeszły się pogłoski, że w dzierżawionym lesie władze zamierzają zbudować osiedle dla hindusów, sprowadzić panditów, wybudować pod Śrinagarem specjalne dzielnice dla emerytowanych wojskowych. Przywódcy kaszmirskich buntowników oskarżyli Indie, że chcą powtórzyć w Kaszmirze scenariusz Izraela, budującego żydowskie osiedla na ziemiach Palestyńczyków. Ulicami Śrinagaru znów ruszyły wzburzone pochody, poleciały kamienie w kierunku żołnierzy i policjantów, znów padły strzały. Wybuchła druga intifada, do której stanęli synowie tych, którzy 20 lat wcześniej wywołali powstanie. Ojcowie znali jeszcze życie w pokoju. Synowie wyrośli w czas rebelii.

Na wodzie pisane

Szafi mówił, że nie chciałby, aby jego chłopcy skończyli w tej samej norze co synowie Baszira i on sam. – Biuro podróży i domy na wodzie w Kaszmirze to niezły, ale niepewny interes – mówił.

Martwił się, kiedy wąskimi bazarowymi uliczkami, wymachując szafranowymi chorągwiami, maszerowali zwolennicy rządzącej partii, wołając „*Dżai Śri Rama!*" (Chwała Panu Ramie!). Słyszał w telewizji, jak mówili, że idzie im jedynie o wolność i o to, żeby przywrócić godność hindusom, niewolonym przez tak długie wieki przez muzułmańskich i brytyjskich najeźdźców.

– Jeśli tak miłują wolność, to może i innym pozwoliliby się nią nacieszyć? Na przykład Kaszmirowi. Ale nie! Nam nie wolno – narzekał Szafi, ilekroć rozmowa schodziła na politykę. – Robią wszystko, żeby nam uprzykrzyć życie. Odgrywają się na nas za czasy, gdy Indiami rządzili muzułmańscy cesarze.

Przyłączając Kaszmir do Indii, maharadża zastrzegł, że rząd w Delhi musi uznać wydane przez niego prawo, że ziemię i nieruchomości w Kaszmirze mogą posiadać jedynie rdzenni mieszkańcy tego kraju. O tym, kto kwalifikuje się na rdzennego Kaszmirczyka, rozstrzyga specjalny urząd w Śrinagarze, który do niedawna odbierał ten przywilej dziewczętom wychodzącym za mąż za obcych.

Odkąd rządy w Delhi w 2014 r. przejęli hinduscy nacjonaliści (w maju wygrali wybory i prawo do kolejnej pięciolatki u władzy), w Kaszmirze huczy od pogłosek, że koniec resztek kaszmirskiej autonomii jest bliski, a awansowani przez szafranowego premiera Narendrę Modiego sędziowie unieważnią stuletni edykt maharadży zastrzegający dla Kaszmirczyków prawo do kaszmirskiej ziemi i nieruchomości. Ze stosownym wnioskiem w tej sprawie zwrócili się do sądu działacze paramilitarnego Narodowego Stowarzyszenia Ochotników, zrzeszającego najzagorzalszych hinduskich fanatyków. Do Stowarzyszenia, z którego wywodził się zabójca Mahatmy Gandhiego, należał także panujący dziś premier Modi.

Jeśli sędziowie unieważnią prawo maharadży, bogacze z Delhi i Bombaju wykupią najlepsze parcele i domy, a na przejętych od Kaszmirczyków ziemiach rząd pobuduje osiedla dla panditów, zacznie sprowadzać do Kaszmiru hindusów, aż w końcu Kaszmir przestanie być jedynym w Indiach stanem, w którym muzułmanie stanowią większość.

Kaszmirczykom grozi też, że stracą domy na wodzie. Władze orzekły, że odprowadzane prosto do wody nieczystości i śmieci uczyniły jezioro Dal jednym z najbrudniejszych na świecie, a z każdym rokiem coraz bardziej się ono kurczy. Za 50 lat może go wcale nie być.

Rząd uznał, że aby uratować jezioro, należy zmniejszyć liczbę zakotwiczonych wokół niego domów na wodzie. Przestał wydawać zgody na budowę nowych i zapowiedział, że każe pozamykać już istniejące, jeśli właściciele nie podłączą ich do sieci kanalizacyjnej półtoramilionowego miasta albo nie zamontują na nich instalacji oczyszczających.

– Taka oczyszczalnia kosztuje majątek, a skąd wziąć pieniądze, jeśli nie można być pewnym, że co roku będzie się miało letników? Ilekroć sytuacja się uspokaja, ludzie myślą o wakacjach w Kaszmirze i interesy zaczynają iść dobrze, zaraz dzieje się coś, co wszystko stawia do góry nogami – narzeka Szafi. – A to wojsko kogoś zabije, a to partyzanci kogoś uprowadzą, nowe strajki, nowe strzelaniny. Interes cierpi, a my po staremu klepiemy biedę.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

ANDRZEJ

Stasiuk:
Ludzie

Spotkałem go w sklepie. Znaliśmy się od wielu lat. Często pracował u mnie. Robił porządki, rąbał drewno, kosił trawę, czasem pomagał przy różnych budowach. Mówił do mnie „prezesie". Zawsze w dobrym humorze, sowizdrzalski samochwała. Z tą dowcipną gadką, którą wyzywał świat na pojedynek i go pokonywał. Mieszkał w najbiedniejszej chałupie dwie wsie dalej. Wokół stały wyelegantowane murowane domy z trawnikami, tujami, szykanami w stylu gminny Luwr. A jego chałupinka była drewniana, nieco zapadnięta, ale wokół miał wysprzątane i poukładane.

Wstawał o piątej rano i brał się do roboty. Mała szklarnia, altanka pokryta winobluszczem, coś tam przycięte, przystrzyżone, ale bez przesady. Wstawał o piątej i pracował. Miał to we krwi. Pracował i gadał. Lubiłem go słuchać. Miał dar pikarejskiej narracji oraz dar autoironii. Miał też szereg heroicznych przygód. Ostatnio, wczesną wiosną wpadł do wezbranej rzeczułki, gdy wieczorem wracał do domu. Nie trafił w mostek. Ubranie w jednej chwili nasiąkło i ciągnęło go w głąb bystrego nurtu: „Myślałem, że już po mnie, bo mnie wywróciło i miałem po szyję. Ale widzisz, prezes, inteligencja mnie nie opuściła i przypomniałem sobie, że mam latarkę w kieszeni. Wodoodporną. Wyjąłem, zapaliłem i zacząłem machać i krzyczeć. Jadźka zobaczyła, bo wyglądała oknem i czekała. Zawołała szwagrów i mnie wyciągnęli. Tylko nogę złamałem w kostce".

Opowiadał mi to wszystko, gdy go odwiedziłem z sześciopakiem tyskiego. Siedział na wersalce dumny ze swojego białego gipsu i popijał z gajowym. Obok siedziała Jadźka z podobnym opatrunkiem na nodze. Złamała sobie parę dni później w niejasnych okolicznościach. Stanowili piękną, bezpretensjonalną parę w nieformalnym związku. Gadali ze sobą jak najęci. Zabierał ją ze sobą do różnych robót. Siedziała obok, on pracował, a Jadźka snuła opowieści. „Ona jest jak radio" – mówił.

A teraz, w sklepie, upychał do reklamówki flaszkę i patrzył na mnie niepewnym wzrokiem: „Wiesz, prezes, miałem wczoraj urodziny. Mówiłem jej, żeby tyle nie piła, ale się uparła, że za moje zdrowie. I teraz tam leży. Nie dam rady jej podnieść". Poszliśmy za rzekę, w cień zarośli, do małpiego gaju, gdzie miejscowi urządzali sobie w pogodne dni garden party. Paliło się ognisko, walały się flaszki. Trzech podrośniętych nygusów z nażelowanymi czubami stało i szydziło. „Wczoraj jednemu je...m" – powiedział. Miał czym. Jego łapa była twarda jak drewno. Jadźka leżała w cieniu, zwinięta w kłębek, w swoich skajowych, skóropodobnych spodniach. „Co, k...a, życia nie widzieliście" – warknąłem w stronę trzech nygusów. Uśmiechy im spełzły. Z trudem ją podnieśliśmy. Wyślizgiwała się jak żywy dowód na teorię powszechnego ciążenia. „Nie damy rady" – powtarzał. „Ale nie mogę jej tak zostawić" – mówił to głosem, w którym mieszały się złość i jakaś rozpaczliwa czułość. Była o parę lat starsza od niego. „Miałem dzwonić po szwagrów, prezes". Jakieś trzysta metrów, wąska kładka, betonowy plac przed sklepem, nie mieliśmy szans. Lała się przez ręce jak półżywa materia. „Objedziemy mostem" – powiedziałem.

Przez pola, łąkę, czyjeś obejście dojechaliśmy pod małpi gaj. Nygusy z niedowierzaniem i szacunkiem patrzyły na potężnego pick-upa. Jakoś Jadźkę dotaszczyliśmy. Otwierała oczy i uśmiechała się błogo widząc znajome twarze. Układaliśmy ją na tylnym siedzeniu, a on mamrotał grubiańsko i zarazem delikatnie. „A było tyle chlać, żeby cię teraz pisarz musiał wozić, było?". No ale widziałem, że jest szczęśliwy, że się udało i teraz tylko do bezpiecznego domu. Do drewnianej chałupinki za rzeczką, gdzie od czasu nieformalnego związku zjawiły się firanki w oknach, kwiaty w doniczkach i pachniało gotowanym jedzeniem. Pozwoliłem mu palić w otwartym oknie, bo nie chciałem mu zakłócać szczęścia. Palił, gadał i wyciągał rękę do tyłu, żeby uspokajająco poklepać Jadźkę. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

To zaszczyt mieć na niego monopol!

PIOTR MUCHARSKI,
REDAKTOR NACZELNY „TP”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

NIE PRZEGAP! Kup wydanie jubileuszowe – dostępne w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/historia**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

REKLAMA

MANTA
Polska firma rodzinna

Polecamy niezawodne telewizory polskiej firmy. Kibicuj naszym!

TELEWIZORY z fabryki W POLSCE

www.manta.com.pl